

SUWEREN PRZEBADANY
Recepty władzy na niedobór
dumy i głód wspólnoty

CZY BÓG KUSI
„Ojciec nasz”
do poprawki

KOLEJNY POWRÓT JEDI
Napiórkowski: uniwersalny
klucz do „Gwiezdnych wojen”

KOSMOS NA SPRZEDAŻ
Bieńczyk o 50 metrach
kwadratowych Konwickiego

Kraków 14 stycznia 2018 nr 3 (3575) cena 7,90 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne

www.TygodnikPowszechny.pl

DONALD TUSK:

**PiS przegra
z PiS-em**

500+ na zawsze

**Spieszmy się
kochać Unię**

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425



KUP PRENUMERATĘ PAPIEROWEGO WYDANIA „TYGODNIKA POWSZECHNEGO” NA 2018 ROK

i otrzymaj **PREZENT NA POWITANIE**
– bestsellerową książkę
Szymona Hołowni
„Instrukcja obsługi solniczki”
– o wartości 22,90!



**Ostatnia szansa,
by otrzymać książkę!**

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ:

Prenumerata	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	299 zł	349 zł
Półroczna (26 numerów)	189 zł	209 zł
Kwartalna (13 numerów)	99 zł	109 zł

Prenumeratę można zamówić przez:

- stronę www.tygodnikpowszechny.pl/wykup-prenumerate
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym:
Tygodnik Powszechny, ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków,
Bank Pekao SA nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987
- opłacenie osobiste w Dziale Prenumeraty „TP”, ul. Wiślna 12 w Krakowie, od poniedziałku do piątku w godz. 9.00–16.00

PRENUMERATĘ ZAGRANICZNĄ można opłacić poprzez stronę internetową www.tygodnikpowszechny.pl, na której podane są ceny.

Szczegółowych informacji udziela Joanna Mazur-Polańska pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl

UWAGA! Oferta ważna do 14 stycznia 2018 r., po tym terminie nie ma gwarancji otrzymania książki.

*„Instrukcja obsługi solniczki”, wydanie papierowe, cena rynkowa 22,90 zł – wydanie pierwsze, WAM 2017.
Wysyłka książek będzie realizowana w styczniu 2018 r. bez dodatkowych opłat.

KS. ADAM

Boniecki: *Daj mi, Panie, poczucie humoru*

KIEDY SPOTYKAM SIĘ Z CZYTELNIKAMI, PRAWIE ZAWSZE PYTAJĄ, CO ZROBIĆ, ŻEBYŚMY NIE BYLI TAK PODZIELENI, JAK JESTEŚMY. PYTAJĄ, JAK ROZBROIĆ DZIELĄCĄ NAS, POLAKÓW, WROGOŚĆ. PYTAJĄ, CHOĆ WIEDZĄ, ŻE TAK JAK ONI, NIE WIEM. NIE WIEM, A JEDNAK ODPOWIADAM.

Czasem ironicznie, że musiałoby nas dotknąć jakieś nieszczęście, np. okupacja, bo, jak napisał Różewicz w wierszu „Zielona róża”: „Pamiętacie / byliśmy otwarci / w czasach największego ucisku / cudze cierpienie i cudza radość / łatwo przenikały do naszego wnętrza / wasze życie biegło do mnie / ze wszystkich stron”. Albo mówię (wiedząc, iż powtarzam banały), że musimy się nauczyć słuchać „innego”. Albo że (odwołując się do chrześcijańskich korzeni) gdyby chrześcijanie zaczęli poważnie traktować Ewangelię, problemu „języka nienawiści” by nie było. Jednak, być może, przyczyną polskich morderczych podziałów jest narodowe ponuractwo, czyli narodowy brak poczucia humoru.

Wyjaśniam, że poczuciem humoru nie jest umiejętność opowiadania dowcipów przy piwie ani pisanie tekstów dla kabaretów. Poczucie humoru to postawa życiowa, dystans do świata i do siebie. Dzięki niemu dostrzega się komiczną stronę ponurych postaci i ponurych sytuacji. Oczywiście do pewnych granic. Leszek Kołakowski napisał gdzieś, że rozwścieczony na niego Gomułka był zabawny, ale – napisał dalej – Stalin nigdy zabawny nie był.

Czym jest poczucie humoru, świetnie wyjaśnia Jerzy Stuhr w autobiograficznej książce „Moje smoki na dobre i na złe” (gorąco polecam rozdział „Italia – comedia dolorosa”!). Stuhr dostrzega w klótniach włoskich polityków coś z przedstawienia, wręcz z opery z odśpiewaniem arii, i porównuje to z naszym „politycznym piekielkiem”, gdzie „wszystko odbywa się na poziomie bruku”. „Oni [Włosi] śmieją się beztrząsco, dla samego śmiechu. U nas ten śmiech zawsze jest przeciw komuś i z kogoś, z jakimś zamierzeniem (...). Radość czerpiemy z szydzenia ze słabości drugiego”. Wspominając reakcję prawicowego posła na rzeźbę Maurizio Cattelana, przedstawiającą Jana Pawła II przygniecionego głazem (poseł uszkodził ją w imię obrony wiary), Stuhr komentuje: „Ot polska dosłowność jako karzący miecz sprawiedliwości”.



Dobrze zapamiętałem wskazówkę udzieloną mi przez starego watykańskiego prałata, kiedy zaczynałem pracować w Watykanie. Powiedział: „młody człowieku, tu, żeby nie zwariować, trzeba żartować ze wszystkiego, poza Panem Jezusem Chrystusem”. Inny włoski prałat (dziś kardynał), kiedy zostałem wybrany generałem zakonu, dał mi taką radę: patrz na wszystkie sprawy tak, jak będziesz na nie patrzył za sześć lat (tyle trwa kadencja).

Z jak śmiertelną powagą traktują siebie sprawujący (jakąkolwiek) władzę. Jakże są wrażliwi na punkcie swej powagi. Nieodżałowany ks. Andrzej Bardecki przestrzegał mnie, bym pisząc o biskupach, nigdy nie pisał, że „poszli” (np. na kolację), bo biskupi „się udają”. Miał rację: żartobliwe potraktowanie dostojnika duchownego czy świeckiego łatwo zostaje uznane za *Crimen Laesae (Divinae) Maiestatis...* i potępione.

A nasze ponure spory? Nasze ponure parcie do zagarnięcia całej władzy i unicestwienia opozycji tak, jakby nigdy nie miała przyjść zmiana ról i władza na wieki mogła pozostać w rękach jednej partii?

Myślę, że Bóg ma poczucie humoru. Weźmy takie Boże Narodzenie. Żydzi przez stulecia czekali na Mesjasza, prorocy uroczyście Go zapowiadali, wizja jego nadejścia obrastała w obrazy tryumfu: zwycięstwa nad wrogami, wyzwolenia Izraela od okupacji Rzymian, chwalebne panowanie, króla królów itd. Oczekiwano Mesjasza przy tryumfalnej bramie, On tymczasem wyszedł w świat ze starej stajni w Betlejem.

*Panie, daj mi duszę, która nie zazna nudy,
zrządzenia, westchnień, lamentów
i nie pozwól, bym zbyt martwił się zawalidrogą,
która nazywa się „ja”.
Daj mi, Panie, poczucie humoru.
Udziel mi łaski zrozumienia żartu,
by odkryć w życiu trochę radości
i by móc użyć jej innym.*

(ŚW. TOMASZ MORUS)

© P

ZAPRASZAMY NA SPOTKANIA Z KS. ADAMEM BONIECKIM

KRAKÓW, środa, 17 stycznia, godz. 19. Małopolski Ogród Sztuki, ul. Rajska 12. Czy Kościół powinien wpływać na państwo? Do czego ten wpływ prowadzi? Czy prawo moralne może stać ponad prawem świeckim i zasadami życia publicznego? Spotkanie po spektaklu „Bolesław Śmiały” Stanisława Wyspiańskiego w reżyserii Pawła Świątka. Spektakl rozpoczyna się o godz. 19, spotkanie po jego zakończeniu, ok. godz. 20.30. Pierwszeństwo udziału w spotkaniu mają widzowie spektaklu.

TARNÓW, czwartek, 18 stycznia, godz. 18. Sala Lustrzana, ul. Wałowa 10. Spotkanie wokół książki „Potaczenie odebrane”, inicjujące także tarnowski Klub „Tygodnika Powszechnego”. Prowadzenie Marcin Pulit.

MSZE ŚW. I SPOWIEDŹ:

Msze św. – kościół zgromadzenia marianów na Stegnach (ul. Bonifacego 9, Warszawa), soboty godz. 18, niedziele godz. 8.30.

Spowiedź – bazylika św. Floriana (ul. Warszawska 1b, Kraków), wtorki godz. 18-19.

Kontakt ws. organizacji spotkań z ks. Adamem: kuczminska@tygodnik.com.pl

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

5 Służba zdrowia w stanie przedzawałowym
MACIEJ MÜLLER

6-9 Wiadomości / Komentarze

16 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ ŚPIEWAK
O. WACŁAW OSZAJCA / PIOTR SIKORA

■ ■ KRAJ

18 Wspólnota normalnych ludzi
PIOTR STANKIEWICZ: *Skąd się bierze poparcie dla PiS? Socjologowie sprawdzili i podważili stereotypy*

22 Co widzi Polak w portfelu
PIOTR WÓJCIK: *Place w górę, ale lekko*

24 Czas na przeżywanie
MARCIN ŻYŁA: *Co widać w finalnym raporcie o lądowaniu kpt. Wróty*

■ ■ WIARA

28 Czy Bóg kusi
MICHAŁ RYCHERT *o problemach z jednym wersem „Ojciec nasz”*

31 Jeden, tradycyjny, zbiorowy, niepapieski
JAREMA PIEKUTOWSKI: *Katolicyzm polski jak Kościół autokefaliczny*

33 Proboszczowie Franciszka
MARIUSZ SEPIÓŁO *o księżach, którym się chce*

36 Człowiek Jezus
KS. JACEK PRUSAK SJ

■ ■ ŚWIAT

38 Teheran: marzenie o kontrrewolucji
KRZYSZTOF STRACHOTA: *Irańskiej wiosny jeszcze nie będzie*

40 Sprytny wojak Szwejk
PATRYCJA BUKALSKA: *Czy prezydent Zeman pozostanie na Hradzie?*

42 Ludzie marnej reputacji
BARTOSZ HLEBOWICZ: *We Włoszech do gry wraca Berlusconi*



BLOOMBERG / GETTY IMAGES

■ ■ TEMAT TYGODNIKA ■ ■

10 Spieszmy się kochać Unię
ROZMOWA Z DONALDEM TUSKIEM,
PRZEWODNICZĄCYM RADY EUROPEJSKIEJ

W Brukseli jest ciągle gigantyczna nadwyżka nadziei – nie mówię o zaufaniu, ono już niestety zginęło – że Polska jednak zostanie w Unii.

Wolałbym, żeby w ciągu dwóch lat, nawet bez mojego udziału, doszło do zmiany politycznej, która na nowo zakorzeni Polskę w Unii. A przy okazji uwolni polską politykę od ciężaru długotrwałego konfliktu, którego sam jestem jednym z biegunów. Naprawdę nie uważam, że najlepszym scenariuszem dla Polski jest ten swoisty kontredans: raz oni, raz my.

Nawet gdybym mógł, nie wybieram się na emeryturę.

■ ■ FELIETONY ■ ■

27 ANNA DZIEWIT-MELLER

37 SZYMON HOŁOWNIA

55 WOJCIECH BONOWICZ

69 PAWEŁ BRAVO

74 STANISŁAW MANCEWICZ

74 BARTOSZ MINKIEWICZ

Okładka: DONALD TUSK

Zdjęcie: GRAŻYNA MAKARA

Redaktor prowadzący: MICHAŁ OKOŃSKI

44 Grecja pęka na pół

AGNIESZKA ROSTKOWSKA

46 Miejsce w pamięci

GRZEGORZ SZYMANOWSKI:
Pomnik polskich ofiar niemieckiej okupacji stanie w Berlinie?

■ ■ HISTORIA

48 Lewicowe początki polskiej niepodległości

REMIGIUSZ OKRASKA

51 Przywracający imiona

ANNA ŁABUSZEWSKA: *Pożegnanie Arsienija Rogińskiego*

■ ■ NAUKA

52 Jak to jest być delfinem

ŁUKASZ KWIATEK

■ ■ KULTURA

56 Naród na wypoczynku

ROZMOWA Z ANNĄ SMOLAR,
REŻYSERKĄ TEATRALNĄ: *Nie chcę przekonywać przekonanych*

60 Niezbyt udany przeszczep

JAKUB MAJMUREK *o polskim „Saturday Night Live”*

62 Niech moc powtórzeń będzie z wami!

MARCIN NAPIÓRKOWSKI:
Jak działają „Gwiezdne wojny”

66 Rozmiar świata

ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Pomniejszenie”*

68 Warto zobaczyć w TV

68 Jest później niż myślicie

LEKTOR o „Polsce” Światlickiego

■ ■ ZMYŚLY

70 Nyża na sprzedaż

MAREK BIEŃCZYK: *Na sprzedaż jest 50 metrów kw. kosmosu w środku Warszawy Konwickiego*

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego
Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Szymon Hołownia, Maciej Müller,
ks. Jacek Prusak SJ, Zuzanna Radzik, Piotr Sikora,
Artur Sporniak (kierownik), Błażej Strzelczyk
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc,
Michał Okoński, Marek Rabij, Mariusz Sepiolo,
Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Łabuszevska, Wojciech Pięciak (kierownik),
Marcin Żyła Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek
(kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski,
Grzegorz Janowski, Katarzyna Kubisiowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska

Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski,
Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepiolo,
Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Feliety: Wojciech Bonowicz,
Anna Dzięwit-Meller, Szymon Hołownia,
Jan Klata, Stanisław Mancewicz,
Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak,
Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek
Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński,
Beata Chomętowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna
Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła,
Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek,
ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, o. Wacław
Hryniewicz, Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewski,
Radosław Korzycki, Dariusz Kosiński, Dorota
Kozłowska, Ryszard Koziołek, Stanisław Łubieński,
Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał

P. Markowski, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocui,
Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki,
Joanna Olech, Olaf Osica, Karolina Przewrocka-Aderet,
Jakub Puchalski, Magdalena Rittenhouse, Adam Robiński,
abp Grzegorz Ryś, Agnieszka Sabor, Tadeusz Sławek,
Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski,
Teresa Stylińska, Marcelina Szumer-Brysz, Paweł Śpiewak,
Joachim Trenkner, Marek Zajac
Wydanie internetowe: Ewelina Burda,
Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
Fotoredakcja: Edward Augustyn,
Grażyna Makara (kierownik)
TP Typografia: Andrzej Leśniak,
Marta Makowska-Bogucka, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Sylwia Frolow,
Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne:
Maja Kuczińska (kierownik), Marta Filipiuk-
Michniewicz, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik

Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczińska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków,
ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11,
redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70,
reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83, prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA



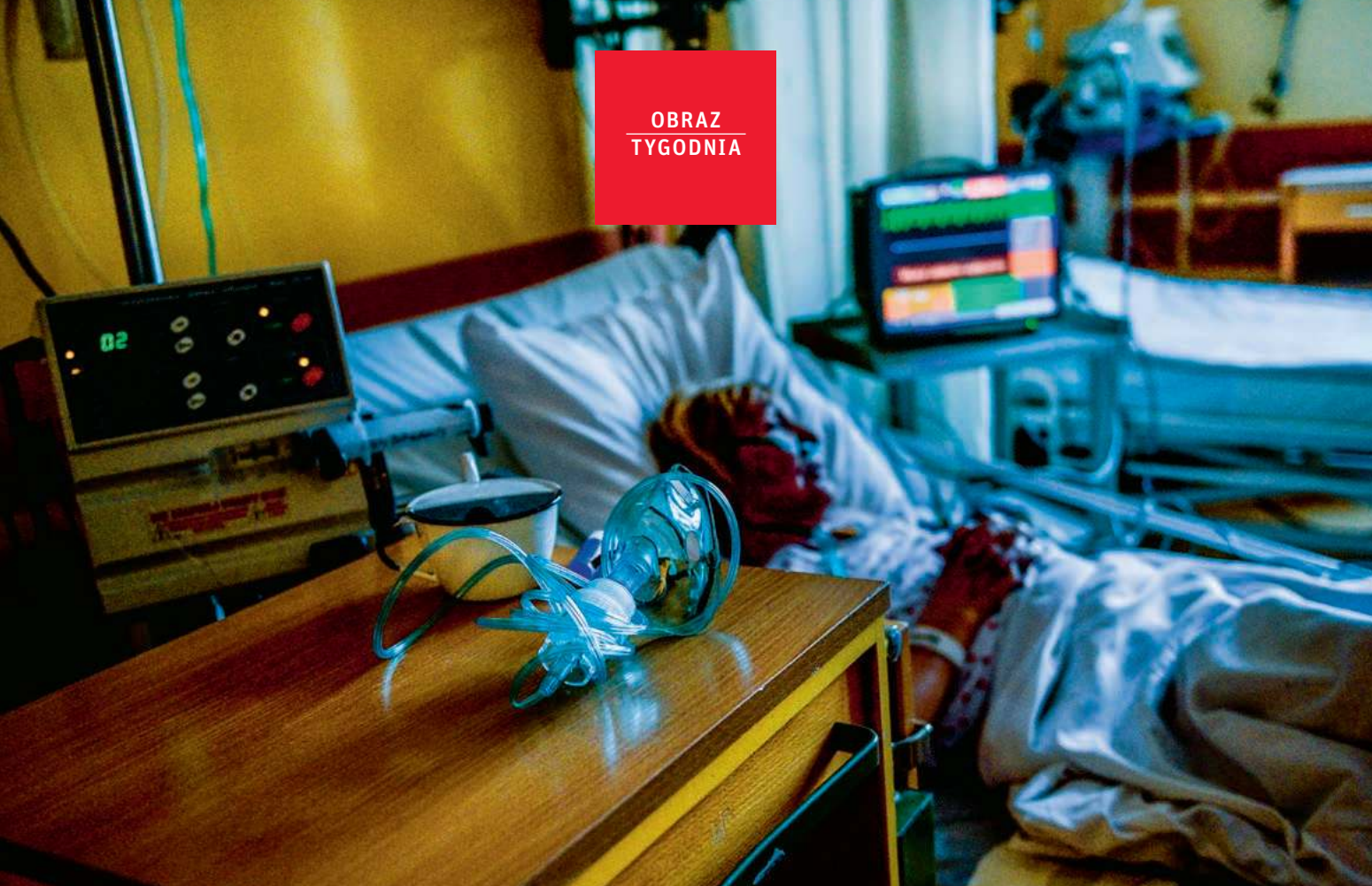
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”



Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ® mogą być wykorzystywane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.



Szpital powiatowy w Kluczborku, który zawiesza działalność oddziału wewnętrzznego po wypowiedzeniu umów przez lekarzy, 4 stycznia 2018 r.

Służba zdrowia w stanie przedzawałowym

MACIEJ MÜLLER

UBIEGŁOTYGODNIOWE ROZMOWY REzydentów z ministrem Konstantym Radziwiłłem skończyły się fiaskiem. Podobnych spotkań było od początku protestu lekarzy w październiku wiele i żadne nie przyniosło efektów. Mają nawet swój rytuał, zgodnie z którym przed rozmowami minister podkreśla, że postulaty lekarzy i resortu są zbieżne, a po nich – że jego rozmówcom brakuje dobrej woli.

Tym razem minister oskarżył rezydentów, że chcieli rozmawiać „jedynie o pieniądzach”. Przeciętny odbiorca mediów zrozumie, że chodziło o podwyżki, tymczasem młodym lekarzom szło o zwiększenie nakładów na cały system ochrony zdrowia – w tempie szybszym, niż planuje rząd.

Prędzej czy później Radziwiłł straci fotel ministra: jest wygodnym kozłem ofiarnym, nietrudno go oskarżyć o nieudol-

ność – a nowy minister dostanie czystą kartę. Kryzys zaś będzie narastał. Liczba rezydentów i specjalistów, którzy wycofali klauzule opt-out (pozwalające na pracę ponad 48 godzin tygodniowo), będzie rosła – wciąż trwają miesięczne okresy wypowiedzenia tych, którzy uczynili to w grudniu. Rezydenci przesadzają, mówiąc o paraliżu czekającym 150 szpitali. Wystarczy jednak, że zabraknie obsady lekarskiej w takich szpitalach, jak Centrum Zdrowia Dziecka czy Centrum Zdrowia Matki Polki, by problemy ochrony zdrowia stały się medialnym tematem numer jeden. Dość przypomnieć kryzys spowodowany strajkiem pielęgniarek w CZD wiosną 2016 r.

Minister nie ma pomysłu na systemową naprawę sytuacji. Sztandarowy PiS-owski plan likwidacji NFZ – nad którym załamywali ręce eksperci – został zawieszony przez samego prezesa Kaczyńskiego. Radziwiłłowi pozostaje gaszenie pożarów. Co proponuje na kryzys opt-outowy? Np. uła-

twienia w praktykowaniu w Polsce dla lekarzy z Ukrainy i Białorusi. Bliższy realizacji jest inny plan: wprowadzenia elastycznego grafiku dyżurów. Na podpis ministra czeka rozporządzenie, które umożliwi dyrektorom szpitali wysyłanie jednego lekarza na dyżur w kilku oddziałach naraz.

Tyle że to pułapka. Jeśli np. laryngolog popełniłby błąd w opiece nad małym pacjentem poradni pediatrycznej – będzie miał kłopot z wybroniemieniem się w sądzie. Kodeks Etyki Lekarskiej głosi, że lekarzowi nie wolno „wykraczać poza swoje umiejętności zawodowe”. Takich sytuacji nie obejmują też lekarskie polisy. Zagranie Radziwiłła może się więc skończyć wypowiedzeniami już nie tylko klauzul opt-out – ale odpływem lekarzy do sfery prywatnej. Albo i za granicę, zgodnie z wykrzyczanym przez posłankę PiS Józefę Hryniewicz wezwaniem „niech jadą”. ©P

Tekst ukończono 8 stycznia.

W SKRÓCIE

PREMIER BEZ WYKRZYKNIKÓW.

Na warszawskiej Ochocie mężczyzna krzyczący „Polska dla Polaków” zaatakował 14-letnią dziewczynę tureckiego pochodzenia. Kolejny w ostatnich miesiącach incydent o podłożu rasistowskim skłonił premiera Mateusza Morawieckiego do napisania na Twitterze: „Nie ma miejsca na rasizm w Polsce. Atak na dziewczynkę z powodu koloru jej skóry jest godny najwyższego potępienia. Zrobimy wszystko, żeby Polska była bezpieczna dla każdego”.



ALEXANDER HASSENSTEIN / GETTY IMAGES

PREMIER Z WYKRZYKNIKAMI.

À propos Twittera: zwycięstwo Kamila Stocha w Turnieju Czterech Skoczni skłoniło polskich polityków do twitterowej rywalizacji na wykrykni. U premiera Morawieckiego było siedem: „Dziś wszyscy tworzymy orszak jednego króla. Kamila!!! Dawid brawo za walkę do końca! Duma i podziw! Brawo trenerzy, brawo sztab! Nic tak nie cieszy, jak polskie zwycięstwa!”, a do tego symbol biało-czerwonej flagi i wzniesiony kciuk. Prezydent Duda miał osiem: „Kamil Stoch! Dziękujemy! Gratulujemy! Duma! Szczęście! Historia skoków narciarskich tworzy się na naszych oczach. Piękna polska historia. Dziękujemy Panu Kamilowi i Ekipie!!!”, a do tego kciuk, biceps, uśmiech i butelka otwieranego szampana. „Kamil. Czwarty król” – napisał po prostu Donald Tusk.

MINISTER BEZ TWITTERA.

W tym tygodniu ma dojść do rekonstrukcji rządu. Wedle przecieków medialnych stanowiska stracą m.in. Anna Streżyńska (nie napisała nic na Twitterze o zwycięstwie Kamila Stocha) i Jan Szyszko (nie ma konta na Twitterze).

O co wolno pytać fundacje



PAWEŁ BRAVO

FUNDACJA OTWARTY DIALOG ZAŻĄDAŁA OD Marcina Ludwika Reya, autora profilu facebookowego „Rosyjska V kolumna w Polsce”, żeby usunął z niego raport nt. darczyńców fundacji, źródeł jej finansowania i działalności związanej z Ukrainą. W piśmie przedprocesowym domaga się też 550 tys. zł zadośćuczynienia i nie wyklucza starań o skasowanie profilu. Chociaż większość analiz tam publikowanych dotyczy faktów wskazujących na zbieżność działań pewnych polskich środowisk (zwłaszcza nacjonalistycznych i antyukraińskich) z celami Kremla (patrz wywiad z Reyem: powszech.net/rei), raport o Fundacji nie zawierał takich sugestii. Sta-

wiał natomiast pytania dotyczące związków z oligarchami z obszaru postsowieckiego, nieświadczące o tym, że może być ona narzędziem polityki władz Rosji.

Kluczową zasadą działania trzeciego sektora – zwłaszcza gdy działa w delikatnych politycznych obszarach – musi być przejrzystość źródeł finansowania i celów projektów. Zadawanie pytań w tej kwestii jest niezbywalnym prawem i warunkiem zdrowego społeczeństwa obywatelskiego. Rey w swoich publikacjach wykazał się nieraz cenną dociekliwością i nawet jeśli niektóre jego wnioski mogą być odczytane jako zbyt daleko idące, to próba zamknięcia ust poprzez groźbę dotkliwych kar jest aktem, który nie służy ani otwartości, ani dialogowi. ©P

Prof. Beisert:
Obowiązki
państwa, obowiązki
obywateli

PUBLICZNY REJESTR PEDOFILÓW

stworzony przez resort sprawiedliwości przypomina nóż – narzędzie przydatne, ale też groźne. Przydatne, bo może wpłynąć na obniżenie przestępczości. Groźne, bo zachęca obywateli, by przejęli obowiązki państwa i sami zaczęli dbać o bezpieczeństwo. W konsekwencji osoby skazane za pedofilię,

które odbyły wyrok i wróciły do społeczeństwa, zamiast się leczyć, zaczynają ukrywać swoją tożsamość. A narastające w nich agresja i gniew skłaniają raczej do działań odwetowych niż asymilacyjnych. Warto dodać, że nie wszystkie czyny ulegają zatarciu, a część ze skazanych, nawet po odbyciu wyroku i leceniu, nie powinna nigdy wrócić do pracy z dziećmi. Dlatego lepszym rozwiązaniem byłoby przygotowanie rejestru, z którego skorzystają służby państwa i – po

spełnieniu odpowiednich warunków – placówki lub osoby pracujące z dziećmi. Umieszczenie w rejestrze publicznym powinno być poprzedzone oceną ryzyka powrotności do przestępstwa. Trzeba rozróżnić – czego rejestr nie zapewnia – którzy skazani są dalej groźni, a którzy nie, i doprowadzić do polepszenia dozoru post-penitencjarnego. ©

Notowała ANNA GOC

PROF. MARIA BEISERT jest psychologiem, seksuologiem i prawnikiem, pracuje w Instytucie Psychologii UAM.

Rzeczpospolita Łowiecka

„WSZYSTKIEGO ŁOWIECKIEGO” życzył przed świętami w internecie Polski Związek Łowiecki. Na najważniejszy prezent myśliwi czekali do 28 grudnia. Andrzej Duda podpisał wtedy ustawę dotyczącą zwalczania afrykańskiego pomoru świń, uzupełnioną nowymi przepisami prawa łowieckiego. Wprowadzono m.in. karę grzywny za przeszkadzanie w polowaniach, przy czym przeszkadzaniem tym może być zwykły spacer czy zbieranie grzybów (również na terenach prywatnych). PZŁ dostał także głos regulujący odstrzał zwierząt w parkach narodowych i rezerwach, a jego członkowie dodatkowych sześć dni płatnego urlopu, jeśli zdecydują się na sanitarne strzelanie do dzików.

Choć łowiectwo jest w Polsce zajęciem niszowym i coraz głośniej krytykowanym, lobby myśliwych ma w kolejnych kadencjach parlamentu posłuch większy niż jakakolwiek inna grupa społeczna. Trzy miesiące temu tylko sprzeciw Jarosława Kaczyńskiego zdecydował o utrzymaniu moratorium na odstrzał łosi. Najlepszym komentarzem do całej sytuacji są słowa samego Dudy, które natychmiast wypomnieli mu internauci. „Pragnę zapewnić wszystkich Polaków, że nie podpiszę żadnej ustawy, która by pogarszała los zwierząt” – pisał w maju 2015 r. jako kandydat na prezydenta. „Kto nie jest wrażliwy na krzywdę zwierząt, ten zazwyczaj nie jest również wrażliwy na krzywdę ludzi” – zauważał Duda. Zanim ustawę podpisał, za jej przyjęciem głosowało 433 posłów ze wszystkich partii. Nikt nie był przeciw. ©

ADAM ROBIŃSKI



MARK MAKELA / GETTY IMAGES

ATAK ZIMY W AMERYCE PÓŁNOCNEJ: niskie temperatury (do minus 50 stopni w Kanadzie) i obfite opady śniegu, nawet w Kalifornii i na Florydzie, spowodowały zamknięcie lotnisk, dróg, szkół i urzędów. Na zdjęciu: Atlantic City, 4 stycznia 2018 r.

Lotnictwo pasażerskie: jest bezpiecznie jak nigdy dotąd

NARESZCIE DOBRA WIADOMOŚĆ: rok 2017 był najbezpieczniejszym w historii lotnictwa pasażerskiego, donosi portal Aviation Safety Network. Na ponad 36,8 mln odbytych lotów tylko dziesięć zakończyło się wypadkami śmiertelnymi (zginęły 44 osoby na pokładach i 35 na ziemi; czterokrotnie mniej niż rok wcześniej). Statystycznie

wypadkiem śmiertelnym skończył się jeden na 7,36 mln lotów pasażerskich. Połowa wypadków śmiertelnych dotyczyła samolotów cargo. Analizy dotyczą rejsów samolotów przewożących co najmniej 14 pasażerów. Jest coraz bezpieczniejsze: „Od 1997 r. średnia liczba wypadków z udziałem statków powietrznych wykazuje stały spadek, w dużej mierze za sprawą stałych wysiłków międzynarodowych organizacji lotniczych, dla których celem nadrzędnym jest bezpieczeństwo” – tłumaczy Harro Ranter z ASN. ©P ŻYM

Wybory bez Nawalnego



ANNA ŁABUSZEWSKA

GRUPA INICJATYWNA POPIERAJĄCA KANDYDATURĘ Aleksieja Nawalnego na prezydenta Rosji złożyła wymagane dokumenty w Centralnej Komisji Wyborczej. CKW je przyjęła, po czym ogłosiła: Nawalny nie może startować, bo ciąży na nim wyrok (wydany, dodajmy, w ustawionym procesie).

Nie jest to zaskoczenie. Kreml chce ograniczyć ryzyko związane z przeprowadzeniem w marcu reelekcji Władimira Putina, a start niesfornego Nawalnego poszerzałby pole nieprzewidywalności. Toteż jest on marginalizowany: nie dopuszcza się go do głosu w telewizji, głównej (i dla rzeszy Rosjan jedynej) tubie informacyjnej. Kampania stworzyłaby Nawalnemu możliwość dotarcia do tych, którzy nie mają pojęcia o jego istnieniu. Na razie pozostanie mu internet: wyniki śledztw jego Fundacji Walki z Korupcją publikowane są w sieci.

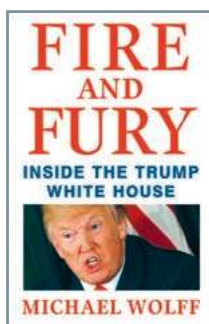
Co teraz? Nawalny wezwał do bojkotu wyborów i na 28 stycznia zapowiedział akcję nieposłuszeństwa, którą nazwał „strajkiem wyborców”. To jest coś, czego Kreml się obawia, bo Putinowi zależy na frekwencji, co najmniej 65–70 proc. Wtedy – przy równie wysokim dla niego poparciu – legitymacja władzy będzie przynajmniej z wierzchu wyglądać przekonująco. Czy ten zamysł się powiedzie? ©

Więcej: labuszevska.blog.tygodnikpowszechny.pl

Biały Dom w czasach Trumpa: jest gorzej, niż myśleliście

NAJGŁOŚNIEJSZA KSIĄŻKA 2018 R. już się ukazała. „Fire and Fury” to efekt rozmów, które z członkami prezydenckiej administracji i osobami wspierającymi Donalda Trumpa podczas kampanii przeprowadził dziennikarz Michael Wolff. Materiał zbierał przez półtora roku. W Białym Domu był, jak pisze, niczym mucha, która wpada do pokoju: przez nikogo nie zapraszana, lecz ostatecznie tolerowana. Usłyszał wiele, napisał dużo – pierwsi krytycy książki twierdzą wręcz, że za dużo; wiele historii opiera się na pojedynczych źródłach, nie-

które przeczą sobie nawzajem, zdarzają się fragmenty nieznośnie plotkarskie. Jednak nawet potraktowanie ich wszystkich przez pół – wywołuje szok. Wolff opisuje niekompetentnego prezydenta, który nie czyta analiz, nudzi się słuchając ekspertów, a ważne decyzje (np. tę o raketowym nalocie na Syrię w kwietniu 2017 r.) podejmuje pod wpływem emocji. Jest człowiekiem, którego zaskoczyło własne zwycięstwo w wyborach



(podobno, gdy w dniu głosowania okazało się, że może wygrać, najpierw mocno zbłądł, po czym... szybko uwierzył, że będzie najlepszym prezydentem); na którego decyzje i opinie, zwłaszcza w kwestiach złożonych, może z łatwością wpłynąć ostatnia osoba, z którą o nich rozmawiał. I choć w „Fire and Fury” obrywa się też niechętnym prezydentowi mediom – za uproszczenia i opisywanie go wyłącznie w kategoriach

czarno-białych – to w opowieści Wolffa również nie ma niuansów. Poza wszystkim książka sprawi więc przyjemność tym, którzy lubią utwierdzać się w swoich przekonaniach. Trump uznał książkę za zbiór zmyślonych historii, jej autora nazywając „oszustem”. Kłopot w tym, że sam zaczął pisać jej drugi tom – jego tweet z kolejną groźbą wobec Korei Północnej („Mój guzik atomowy jest większy i skuteczniejszy”) świetnie wpisuje się w naszkicowany przez Wolffa psychologiczny portret amerykańskiego prezydenta. ©P ŻYM

W SKRÓCIE

SPIS PRZESTĘPCÓW BEZ

KSIĘŻY. „Nie ma żadnego spisku PiS i Kościoła” – powiedział portalowi wp.pl o. Adam Żak, komentując reakcję Fundacji Nie Lękajcie Się, która zaalarmowała media, że w opublikowanym przez władze 1 stycznia „rejestrze pedofilów” nie ma żadnego księdza. Koordynator Episkopatu ds. ochrony dzieci i młodzieży zwrócił uwagę, że rejestr zgodnie z ustawą zawiera nazwiska recydywistów, a żaden ze skazanych dotychczas księży nie był recydywistą.

POWOLNA SEKULARYZACJA.

W 2016 r. w niedzielnej mszy uczestniczyło średnio 36,7 proc. katolików, a do komunii przystąpiło 16 proc. W stosunku do 2015 r. wskaźniki te spadły odpowiednio o 3,1 oraz o 1 pkt. procentowy – wynika z najnowszego badania religijności Polaków przeprowadzonego przez Instytut Statystyki Kościoła Katolickiego. „Proces sekularyzacji jest wolniejszy niż był w Hiszpanii czy w Irlandii, ale dociera do naszego kraju” – skomentowała badania dyrektor CBOS, prof. Mirosława Grabowska.

WATYKAŃSKA APLIKACJA

DLA KSIĘŻY. Kongregacja ds. Duchowieństwa we współpracy z Sekretariatem ds. Komunikacji uruchomiła #ClerusApp – bezpłatną aplikację na smartfona, która ma pomóc księżom w przygotowaniu homilii. Co czwartek pojawiać się ma na niej komentarz do niedzielnych czytań oraz sugestie i tematy pomocne w tworzeniu homilii.



Pierwsze
Radio
Informacyjne

BARTOSZ HLEBOWICZ, autor korespondencji z Włoch (s.42), będzie gościem Agnieszki Lichnerowicz w „Światopodglądzie” Radia TOK FM w środę 10 stycznia o godz. 16.20. 95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław 96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź 97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań – www.tokfm.pl



PAWEŁ SUPERNAK / PAP

ŚWIĘTO TRZECH KRÓLI to święto osób poszukujących – mówił biskup koszalińsko-kołobrzewski Edward Dajczak w uroczystość Objawienia Pańskiego. W tym dniu przez 644 miejscowości w Polsce i kilkanaście na świecie przeszły Orszaki Trzech Króli (na zdjęciu powyżej jeden z króli w Warszawie), w których wzięto udział 1,2 mln osób – podali organizatorzy akcji określanej jako największe jasełka na świecie. ©P

Modlitwa za uchodźców

„**WSZECHMOGĄCY BOŻE**, dla Ciebie nikt nie jest obcy i nikogo nie pozbawiasz swojej pomocy, wejrzyj łaskawie na uchodźców i wygnańców, (...) pozwól im powrócić do ojczyzny, a nam daj serce czułe na potrzeby ubogich i przybyszów” – to jedna z modlitw formularza mszy za uchodźców i wygnańców ze zbioru mszy okolicznościowych

ściowych Mszału Rzymskiego. Janina Ochojska zaapelowała, by księża użyli tego formularza 14 stycznia w Światowy Dzień Migranta i Uchodźcy. Akcję mszazauchodzcow.pl wsparli m.in. prymas abp Wojciech Polak, przewodniczący Episkopatu abp Stanisław Gądecki oraz odpowiedzialny za duszpasterstwo migrantów bp Krzysztof Zardarko. Ponieważ liturgia wypadła w niedzielę, użycie formularza ze zbioru mszy okolicznościowych

wymaga zgody biskupów diecezjalnych. O taką zgodę wniosek krakowskich dominikanów wystarał się rzecznik Episkopatu ks. Paweł Rytel-Andrianik. Akcja łączy różne środowiska – od Laboratorium „Więzi” do tygodnika „Niedziela”. „Tygodnik Powszechny” także w nią się włącza. Liczymy, że w przyszłą niedzielę nie będzie w Polsce świątyni, w której nie zabrzmi modlitwa za uchodźców. ©P

REDAKCJA

Arcybiskup Grzegorz Ryś o Reformacji i Sejmie

„**CHCĘ PRZESŁAĆ WYRAZY** swojej solidarności i bliskości wobec nieszczęsnej debaty i decyzji naszego Sejmu” – napisał metropolita łódzki w liście do duchownych ewangelickich. 14 grudnia Sejm nie przyjął uchwały dotyczącej upamiętnienia 500-lecia Reformacji (sprzeciwiła się temu jedna z posłanek PiS, a uchwały okolicznościowe przyjmowane są przez aklamację), w odpowiedzi zaś biskupi Kościołów ewangelickich poprosili o wycofanie projektu. „Nie chcemy, aby w ten sposób dyskutowano o dziedzictwie Reformacji” – napisali. „Stała się rzecz bolesna i niezrozumiała – napisał abp Ryś. – Nie jest przecież rzeczą Parlamentu ustalanie i przegłosowywanie prawdy historycznej – a już szczególnie w tak delikatnej i skomplikowanej materii, jaką stanowi geneza reformacji. (...) Dziś dobrze

wiem, że w 1517 r. Marcin Luter zgłosił nie występował przeciwko Kościołowi katolickiemu, lecz raczej przeciw temu, co w nim było niekatolickie i nieewangeliczne. Pragnął poważnej rozmowy na najważniejsze dla naszej wiary tematy (...) Ta historia jest wspólną dramatyczną historią naszych Kościołów – musimy ją unieść, wypowiadając również – wobec Pana i wobec Braci – swoją prośbę o przebaczenie”. Metropolita łódzki zauważył, że wszystkie wspólnoty chrześcijańskie w Polsce włączały się „we wspólne dobro naszego społeczeństwa i naszej Ojczyzny – przez tyle wieków przeciw wielonarodowej i wielowyznaniowej, a nawet wieloreligijnej” – i że można było temu dać wyraz także w Sejmie. ©P

Cały list abp. Rysia: powszech.net/ewangelicy

Niebezpieczne bity: większość procesorów jest dziurawa



ODKRYCIE DWÓCH POWAŻNYCH LUK

bezpieczeństwa w architekturze procesorów firm Intel, AMD i ARM ogłosili 3 stycznia badacze z Google. Produkty dwóch pierwszych firm znajdują się w ogromnej większości serwerów, komputerów i laptopów. Procesory ARM występują w ok. 90 proc. telefonów. Meltdown i Spectre, jak nazwano dziury, dotyczą więc prawie wszystkich urządzeń – niezależnie od systemu operacyjnego. Współczesne procesory, by działać szybciej, wykonują obliczenia, zanim ich wynik będzie potrzebny – a nawet zgadują, czy w ogóle będzie potrzebny. Meltdown i Spectre pozwalają uzyskać dostęp do takich właśnie danych: mogą to być np. hasła, dane bankowe, zdjęcia, e-maile, wiadomości czy poufne informacje biznesowe. Badacze przedstawili kilka przykładów możliwych ataków. Nie wiadomo, czy luki zostały kiedykolwiek wykorzystane przez przestępców.

Pierwsze poprawki do najpopularniejszych systemów operacyjnych już powstały, ale problem jest na tyle złożony, że ostatecznie rozwiąże go dopiero wymiana procesorów. Jak na razie można się spodziewać spowolnienia

w działaniu urządzeń. Zwykli użytkownicy raczej ich nie zauważą, kłopoty mogą mieć administratorzy aplikacji działających w tzw. chmurze. Dla nich nawet kilkuprocentowy spadek wydajności może oznaczać dużo wyższe rachunki.

W tej sprawie pojawia się też wątek etyczny. Dobrą praktyką w branży bezpieczeństwa informatycznego jest zgłaszanie wykrytych defektów producentom przed ujawnieniem ich opinii publicznej. W ten sposób producenci dostają szansę na „załatwienie dziur”, zanim będą mogli skorzystać z nich hakerzy. Taką szansę dostał też Intel... już w czerwcu 2017 r.

A w listopadzie prezes firmy, Brian Krzanich, sprzedał wartość ok. 40 mln dolarów akcje spółki. ©

KRZYSZTOF KORNAKIEWICZ

Tam, gdzie pieprz rośnie

VANUATU, wyspiarskie państwo na Pacyfiku, chce rozmów z Polską ws. pieprzu metystynowego (tzw. kawy) – rośliny, z której m.in. parzy się napoje pobudzające. Jesteśmy jedynym państwem UE,

w którym kawa jest zakazana, i to mimo opinii Głównego Inspektoratu Sanitarnego, radzącego usunąć ją z wykazu środków odurzających.

Spożywanie kawy to część tożsamości wielu Melanezyjczyków, zaś jej eksport przynosi spore dochody. W 2012 r. dyplomaci z Vanuatu postawili ministrów z UE przed faktem

dokonanym: podczas przerwy w oficjalnym spotkaniu zamiast kawy podali im kawę. „Nikt nie umarł, a niektórzy zabrali ze sobą do Brukseli roślinę w proszku” – przekonuje w vanuatuińskiej prasie b. ambasador kraju przy UE, dodając, że zna też kavoszy z Polski. ©P

ŻYM

Śmierć giganta

W WIEKU 87 LAT ZMARŁ JOHN YOUNG – astronauta, który służył w aż trzech programach kosmicznych USA. Jedyny człowiek, który stąpał po Księżycu i pilotował prom kosmiczny. W kosmos poleciał w 1965 r., w pierwszym załogowym locie programu Gemini (drugiej generacji lotów kosmicznych po programie Mercury). W 1969 r. brał udział w misji Apollo 10, poprzedzającej pierwsze lądowanie na Księżycu. W 1972 r. w ramach Apollo 16 spędził na Księżycu trzy noce i przejechał po nim ponad 25 km łazikiem. W 1981 r. dowodził protem Columbia w pionierskim locie wahadłowca, a dwa lata później – pierwszą misją Spacelab. „Będziemy stać na jego ramionach, spoglądając ku kolejnym granicom ludzkości” – napisał o nim w pożegnaniu szef NASA Robert Lightfoot. ©P

MK/NASA.GOV



CHARLIE DUKE / NASA

W SKRÓCIE

NA RAZIE PRZEBÓJ. Pierwsze odcinki „Korony królów”, jednego z najgorszych seriali w dziejach telewizji publicznej, cieszyły się nadspodziewaną popularnością. W czasie ich emisji TVP1 była zdecydowanym liderem oglądalności. Niskobudżetowa produkcja spotkała się z falą krytyki i kpin jako niezamierzona parodia popularnych dzisiaj seriali historycznych – to też niewątpliwie przysporzyło jej widzów. Kto jeszcze nie oglądał albo uważa, że doniesienia o serialu są przesadzone, może obejrzeć kolejne odcinki o godz. 18.30 w TVP1, lub nadrobić zaległości korzystając z platformy vod.tvp.pl. Serial polecają też gorąco „Wiadomości” TVP.

ZMARŁ AHARON APPELFELD.

Pisarz izraelski tworzący w języku hebrajskim, autor ponad 40 książek, w tym powieści, tomów wierszy i wspomnień. Urodził się w 1932 r. w Czerniowcach. Większość członków rodziny Appelfelda została zamordowana w czasie wojny, on sam zdołał uciec z obozu koncentracyjnego, przez dwa lata ukrywał się, następnie wstąpił do Armii Czerwonej, po wojnie zaś wyemigrował do Palestyny. W przekładzie na język polski ukazały się dwie jego powieści – „Badenheim 1939” oraz „Droga żelazna”.

ZMARŁ ZBIGNIEW OSIŃSKI.

Teatrolog, historyk teatru, profesor Uniwersytetu Warszawskiego, twórca Ośrodka Badań Twórczości Jerzego Grotowskiego i Poszukiwań Teatralno-Kulturowych (dziś: Instytut im. Jerzego Grotowskiego) we Wrocławiu. Autor licznych prac poświęconych m.in. twórczości Grotowskiego oraz teatrowi Gardzienice. Miał 79 lat.

LICZBA TYGODNIA

23249425

– tyle cyfr liczby niedawno odkryta największa znana liczba pierwsza. Jest ona równa 2 do potęgi 77232917 minus 1.



DANNY GYS / REPORTERS / EAST NEWS

SPIESZMY SIĘ KOCHAĆ UNIE

DONALD TUSK, PRZEWODNICZĄCY RADY EUROPEJSKIEJ:

Opozycja w Polsce ma zdecydowanie za dużo racji,
a za mało argumentów.

PAWEŁ BRAVO, MAREK RABIJ: Umówiliśmy się, że nie całkiem zgodnie z protokołem będziemy się zwracać do Pana po swojsku: Panie Premierze.

DONALD TUSK: Słusznie. Wolę nie być nazywany panem prezydentem.

Do polityków zwykle trzeba jechać na wywiad, tymczasem Pan Premier przyjechał do nas.

Jako wasz stały czytelnik, gdzieś od początku lat 70., nie mogłem nie skorzystać z waszego zaproszenia. Zwłaszcza że przy okazji mam sposobność spotkać się w Krakowie z moim przyjacielem, Bronkiem Majem. Ale zanim sobie z nim pokolęduję, czeka mnie ciężka próba tu, w redakcji.

Ciężka to teraz jest atmosfera w Brukseli. Mamy na karku artykuł 7.

Jego uruchomienie to smutny dzień dla wszystkich, którzy z obecnością i silną pozycją Polski w UE wiązali nadzieje – sam należę do tej grupy. Na razie nie przesadzałbym z dramatycznymi konsekwencjami o charakterze formalnym i finansowym, bo do tego na szczęście wciąż daleka droga. Zresztą PiS nadal może zakończyć ten kryzys, wycofując się ze zmian w systemie wymiaru sprawiedliwości. Ale polityczne koszty są nie do zlekceważenia. Polska – i to jest szokujące także dla Europy, a nie tylko dla proeuropejsko nastawionych Polaków – stała się okoniem wobec wszystkiego, co dla Unii ważne. I to z rozmysłem, bo uważam, że rządzący nie są entuzjastami, delikatnie mówiąc, naszej obecności w Unii.

Nam kluczowa wydaje się interpretacja źródeł tej polityki, nie reakcje na nią. Nie wygląda to Panu na przygotowanie przedpola pod negocjacje w sprawie kolejnego unijnego budżetu, który na pewno nie będzie dla Polski równie hojny, co poprzedni?

Nie trzeba szukać drugiego dna ani sięgać po teorie spiskowe, żeby zrozumieć, o co chodzi rządowi oraz co jest prawdziwym powodem takiej, a nie innej decyzji Komisji Europejskiej. Jarosław Kaczyński nigdy nie ukrywał fascynacji filozofią polityczną, w której władza jest ponad prawem, a nie prawo ponad władzą. Gdzie rządzą ludzie, albo jeden człowiek, a nie zasady i reguły. Gdzie mandat otrzymany w wyborach jest ważniejszy niż konstytucyjny ustrój, który nakłada na władzę ograniczenia i rygory. Liderzy partii z jej prezesem na czele głęboko wierzą, że jak się ma władzę, to nie po to, by akceptować ograniczenia ze strony jakiegokolwiek regulacji czy instancji. Pamiętacie panowie głośne swego czasu narzekanie marszałka Sejmu Marka Jurka na imposybilizm władzy w Polsce? W tym nieczytelnym sformułowaniu czaił się żal, że mamy władzę, a tak niewiele możemy zrobić, bo ogranicza nas prawo. A historia Europy uczy nas, że kiedy godzimy się na wyjęcie władzy z ram prawa i przekazanie w ręce człowieka, prędzej czy później dochodzi do dramatu, zarówno w wymiarze wewnętrznym, jak i międzynarodowym. Po to wynaleziono Unię, aby zapobiec takim scenariuszom.

A co z imposybilizmem Brukseli? Weźmy sprawę rurociągu Nord

→

Bruksela, październik 2017 r.

→ **Stream 2.** Nagle okazuje się, że Rada Europejska przedstawia ekspertyzę prawną idącą wbrew bliskiemu polskiemu interesom stanowisku Komisji Europejskiej. Nie wygląda to Panu na potykanie się o własne nogi?

Zasada, że ja nie mogę szepnąć, jako przewodniczący, prawnikom UE, która opinia będzie odpowiadać interesom mojego kraju albo moim poglądom, jest fundamentem rządów prawa. Czy to rodzi ograniczenia? Oczywiście, że tak.

Zawsze mam w głowie tę fascynującą historię z Aleksandrem Wielkim i węzłem gordyjskim – przypowieść o kimś, kto mieczem przecina coś, co jest nie do rozplątania. Nieprzypadkowo legenda głosi, że kto to robił, zyskiwał władzę nad Azją. Bo Europa była, jest i oby nadal była miejscem, gdzie dylematy i spory się rozwiązują – zamiast sięgać po miecz, żeby je po prostu przeciąć. W przypadku Nord Stream jest identycznie. Jedni mają swoje interesy, my też mamy pełne prawo walczyć z ekspansją gazową ze strony Rosji. I mamy w tej przestrzeni i porażki, i sukcesy.

Uważa Pan, że to demokratyczne rozsuptywanie odbywa się wciąż na zasadach fair play? A kwestia niedawnej dyrektywy o pracownikach delegowanych? Plany wydzielania osobnego budżetu dla strefy euro?

Europa jest pod tym względem taka, jak opisują ją często ci, którzy jej szczerze nie znoszą: to płatanina interesów, egoizmów, gdzie często wygrywa silniejszy. Unia Europejska nie unieważniła tego wszystkiego, co jest istotą polityki, ale czyni ją bardziej cywilizowaną, przewidywalną. Nord Stream jest tutaj bardzo dobrym przykładem, bo pokazuje, jak często pieniądze są w Unii ważniejsze niż polityka. W tym konkretnym przypadku liderzy państw zainteresowanych niemal na każdym posiedzeniu Rady powtarzają, że politycznie to nie ma żadnego sensu, a potem już ciszej dodają, że to kwestia biznesu, a nie polityki, i że nie oni o tym decydują.

Jeśli pieniądze tak często są ważniejsze od polityki, to znaczy, że jako kraj na dorobku jesteście skazani w Unii na marginalizację.

Polska nadal uchodzi w Europie za jeden z nielicznych przykładów permanentnego sukcesu gospodarczego. Właśnie dlatego coraz częściej bywa traktowana tak, jak stare państwa europejskie traktują siebie nawzajem. Czasami bezlitośnie, z pełną świadomością, że to groźny konkurent. Budowaliśmy swoją siłę w Unii Europej-

skiej i robiliśmy to naprawdę skutecznie do niedawna, także w politycznym sensie. Musimy sobie uświadomić, że państwa starej Unii przestają się nami opiekować, a zaczynają z nami konkutować. Gdyby w sprawie pracowników delegowanych Polska mądrzej postępowała i mądrzej organizowała cały region, może uzyskałaby lepsze warunki.

Mówiąc o tym, jak dobrze budowaliśmy pozycję Polski w UE, ma Pan na myśli lata, kiedy był Pan premierem?

Nie tylko, ale głównie.

Ale pozycji UE w Polsce Pan raczej nie zbudował. Mamy wrażenie, że lwia część naszej klasy politycznej nie rozumie dziś mechanizmów funkcjonowania Unii. Zwłaszcza ta, która jest teraz u władzy.

Przeciwnie: raczej zbudowałem, o czym świadczy wciąż rekordowe poparcie Polaków dla Unii. Natomiast ci, którzy trzymają ster władzy w Polsce, źle się w niej czują z wielu różnych powodów: kulturowo-cywilizacyjnych, historycznych, a także osobistych. W tym sensie bardzo trudno będzie znaleźć wzajemne zrozumienie czy kompromis pomiędzy racjami, które ją reprezentują w tej kwestii, a z drugiej strony, powiem wprost, Jarosław Kaczyński, bo on rozstrzyga dzisiaj o polskiej polityce i to on jest autorem nowego podejścia do UE.

Spór, który był tak wyraźny, kiedy byłem premierem, nie jest ani sporem archaicznym, ani personalnym między Tuskiem a Kaczyńskim. To konflikt o fundamenty polskiej polityki. Nie mam żadnych wątpliwości, że dla PiS jednym z celów jest „uwolnienie” polityki polskiej od ciężaru, jakim jest UE z jej ograniczeniami. Nie mamy więc do czynienia ze sporem o to, jaka ma być Europa, tylko ze sporem o to, czy Polska ma być dalej jej częścią.

Bruksela liczy się już z tym, że może nastąpić Polexit?

W Brukseli jest ciągle gigantyczna nadwyżka nadziei – nie mówię o zaufaniu, ono już niestety zginęło – że Polska jednak zostanie w Unii. Nie mam złudzeń i w Brukseli nikt ich też raczej nie ma, że wszystkie te decyzje, z tak różnych dziedzin – jak Puszca Białowieska, sądy, Trybunał Konstytucyjny – mają wspólny mianownik. Są one jakby uszyte na miarę tego wymarzonego konfliktu z Unią Europejską, jako ograniczającą wszechwładzę rządzącej partii.

Dlatego w głośnym wpisie na Twitterze apelował Pan o przebudzenie? Pisał Pan do Europy czy do Polaków?

Publiczność była duża, więc nie będzie problemu z identyfikacją adresatów. Jak na polskie standardy – moje konto śledzi całkiem sporo osób.

Prosimy w takim razie o doprecyzowanie, co miał Pan na myśli, pisząc o „planie Kremla”? Zdaje Pan sobie przecież sprawę, że każde odwołanie do Moskwy to broń atomowa w polskiej polityce.

Przez całe polityczne życie staram się unikać emfazy i hiperboli. Uważam, że to rujnuje debatę, jeśli każde zdanie kończy się wykrzyknikiem i zawiera najtwardsze oskarżenia. W tej sprawie miałem jednak nie tylko prawo, ale i obowiązek głośno powiedzieć, że wszystko, co dzieje się dzisiaj w Polsce, bardzo odpowiada pewnej wizji, jaką Moskwa nie od dziś prezentuje w odniesieniu do swojego sąsiedztwa. Nie bawię się w insynuacje, bo się nimi brzydzę. Ten tekst mówi jedno: „Ludzie, obudźcie się”.

Prawie wszystko, co w kluczowych sprawach politycznych proponuje partia rządząca w Polsce, odpowiada publicznie sformułowanym, opisanym interesom i oczekiwaniom Moskwy. Stosunek do Unii Europejskiej. Próba budowy odrębnej grupy państw, które sąsiadują bezpośrednio lub pośrednio z Rosją i coraz bardziej oddalają się od centrum Zachodu. Stosunek do liberalnej demokracji, do organizacji pozarządowych, niezależności sądów i mediów, do mniejszości seksualnych – mógłbym wymienić jeszcze wiele spraw, w których PiS i Moskwa mają bliźniaczo podobne poglądy i cele.

Ale musi Pan również zdawać sobie sprawę z tego, że wpis odebrano przede wszystkim jako zapowiedź Pańskiego powrotu do polskiej polityki.

Wiem, że jestem przedmiotem takich spekulacji. Dostyc zresztą dla mnie krępujących. A poza tym Bruksela to nie emigracja i nie Sulejówkę. Będąc tam, i szefując Radzie Europejskiej, działałem tak samo na rzecz polskich interesów, jak działałem, kiedy moje miejsce pracy było w Warszawie.

To nie jest ucieczka od pytania, bo w tej chwili po prostu nie wiem, co będę robić za dwa lata. Gdybyście mnie pytali o mój pożądany scenariusz, to wolałbym, żeby w ciągu tych dwóch lat, nawet bez mojego udziału, doszło do zmiany politycznej, któ-

ra na nowo zakorzeni Polskę w Unii i jednocześnie zdoła wymazać ze zbiorowej europejskiej pamięci wszystko to, z czym niestety zaczyna się dziś kojarzyć nasz kraj pod rządami PiS. A przy okazji uwolni polską politykę od ciężaru długotrwałego konfliktu, którego sam jestem jednym z biegunów. Naprawdę nie uważam, że najlepszym scenariuszem dla Polski jest ten swoisty kontredans: raz oni, raz my.

Na emeryturę może Pan przejść już teraz. Ma Pan 60 lat, a PiS właśnie obniżył wiek emerytalny.

Wspomniana przez was granica wieku dotyczy kobiet. Ale nawet gdybym mógł, nie wybieram się na emeryturę.

Czyli nie widzi Pan w Polsce nowych środowisk myślenia politycznego, proeuropejskiego, modernizacyjnego, które mogłyby być zaczynem czegoś, co za kilka lat, kiedy będą wybory, nabierze znaczenia także w wymiarze polskiej sceny politycznej?

Największą nadzieję pokładam w tych badaniach, które potwierdzają, że blisko 70 proc. Polaków jest zadowolonych z obecności Polski w UE i chce ją utrzymać. Można w uproszczeniu założyć, że mniej więcej tyle samo Polaków w poprzednich wyborach nie zagłosowało na PiS. To napawa nadzieją na przyszłość, ale oczywiście w polityce nic nie jest dane na zawsze.

Wiele może tu zmienić choćby kontekst migracyjny. Nawet nie tyle istota samego problemu, ile lęki, jakie rządzący wzbudzają w umysłach Polaków, wykorzystując jako pretekst kryzys migracyjny. To może zmienić nastawienie wielu Polaków. Jeśli moi oponenty są w czymś lepsi ode mnie, to właśnie w straszeniu. Jeśli więc PiS ciężko nad tym popracuje, wówczas UE, która dziś wielu Polakom wydaje się oazą stabilności i przewidywalności, może zacząć kojarzyć się z niestabilnością, z tym obrazem imigrantów jako główną ilustracją wszystkiego, co w Unii złe.

Wystarczy tego ciasta na Polexit?

W tej chwili nikt nie jest chyba w stanie odpowiedzieć na tak postawione pytanie. Co innego nie budzi jednak moich najmniejszych wątpliwości: dla PiS rachunek korzyści z obecności w UE sprowadza się do bilansu płatności, z całkowitym pominięciem innych korzyści, jak wspólny rynek, porządek prawny, gwarancje bezpieczeństwa itd. Dopóki nie jesteśmy płatnikiem netto, gra jest dla nich warta świeczki. Mogę więc łatwo wyobrazić sobie sytu-



GRAŻYNA MAKARA

Polska coraz częściej
bywa traktowana tak,
jak stare państwa
europejskie traktują
siebie nawzajem.
Czasami bezlitośnie,
ze świadomością,
że to groźny konkurent.

ację, że gdy pewnego dnia Polska znajdzie się w gronie tych płatników, władza w Polsce uzna, że czas zapytać Polaków, czy nadal chcą Polski w UE, a potem zrobi wiele, by doszli do wniosku, że należy pożegnać się z członkostwem. Moją największą nadzieją są więc ci, którzy opowiadają się po stronie Unii. I modłę się, by wytrwali w tej postawie.

Czyli powtórzymy: następnych wyborów PiS nie ma z kim przegrać?

Ależ ma! Pamiętacie, jak na początku moich rządów powiedziałem, że nie widzę nikogo, z kim Platforma mogłaby przegrać? Interpretowano potem te słowa na wiele sposobów, ale zwykle pomijano to, co powiedziałem w kolejnym zdaniu: że skoro nie mamy z kim przegrać, to pewnie przegramy sami ze sobą.

No i się udało.

Tak. Każdemu w demokracji udaje się prędzej czy później przegrać samemu ze sobą, kiedy jest u władzy, dlatego pierwszą partią, która zagraża PiS-owi, jest on sam. To, co PiS robi i czego zrobić się nie odważy, doprowadzi do sytuacji, że wyborcy prędzej czy później zaczną szukać alternatywy. Ale na razie Polacy chcą testować władzę,

którą wybrali. Z doświadczenia wiem, że wyborcy gotowi są sprawdzać długo i cierpliwie. Dlatego nawet przy tak drastycznych zdarzeniach, jak te, które obserwujemy ostatnio w Polsce, sondaże nie wskazują na zmianę politycznych nastrojów.

Proszę mi wierzyć, że nie mówię tego po to, by ukryć moje rozczarowanie opozycją, bo moim zdaniem robią, co mogą. Nie mówię tego również po to, żeby przemycić sugestię, że ja bym potrafił lepiej. Czas na rozglądanie się za alternatywą nadejdzie. On prawie zawsze nadchodzi pod koniec kadencji.

Porozmawiajmy w takim razie o schyłkowym okresie Pańskich rządów.

Czytał i słyszał Pan zapewne te analizy, które zarzucają Platformie – a pośrednio Panu jako głównemu architektowi partii – utratę społecznej wrażliwości, słuchu, nawet instynktu politycznego.

Jestem ostatnim, który na takie pytanie może odpowiedzieć obiektywnie, dlatego nie będę owijać w bawełnę: nie zmieniłbym praktycznie żadnej kluczowej decyzji. Za długo jestem w polityce, by nie zdawać sobie sprawy, jak trudno utrzymać poparcie wyborców, nie mogę więc zgodzić się również z tezą zawartą w pytaniu: „Jak mogliście tak brzydko przegrać?”. Według mnie historia Platformy skłania raczej do pytania o to, jak udało się nam wygrać drugą kadencję w tak niesprzyjających okolicznościach. Że przypomnę tylko światowy kryzys finansowy, z którym Polska poradziła sobie najlepiej ze wszystkich państw europejskich. Platforma poniosła porażkę wyborczą – to normalne w demokracji. Na pewno nie poniosła klęski.

W 2014 r., pod koniec rządów, mówił Pan: „Dziś mogę przepraszać za to, że będąc w opozycji domagałem się niskich podatków. Mam teraz już duże doświadczenie jako premier, jesteśmy w Unii Europejskiej i duże grupy społeczne oczekują większej opieki państwa i lepszych usług”. W 2007 r. „duże grupy społeczne” miały przecież identyczne oczekiwania, ale wtedy jakoś nie zdobył się Pan na podobną deklarację.

Ale w 2014 r. miałem już za sobą doświadczenie wykorzystania funduszy strukturalnych. Wiem, że to brzmi nudno, nikt dziś na to nie zwraca uwagi, bo te wszystkie drogi, stadiony, dworce są, stoją i działają. Państwo polskie po ośmiu latach naszych rządów stało się zupełnie innym państwem od tego, które zastaliśmy. Nasza →

→ zasługa w tym jest oczywiście umiarkowana, ale jest. Tylko ja wiem, ile wysiłku kosztowało zdobycie tych pieniędzy, a potem lepsze lub gorsze, ale generalnie najskuteczniejsze w Europie ich wykorzystanie. Nie domagam się poklasku, ale wiem, że pięć z siedmiu lat mojego premierowania upłynęło pod znakiem wspomnianego ostrego kryzysu gospodarczego. I w tym czasie musieliśmy znaleźć w budżecie miliardy złotych, by wykorzystać fundusze strukturalne.

„Znaleźć w budżecie” to taki polityczny eufemizm, za którym niemal zawsze kryje się zwiększony fiskalizm.

Uważam, że innej metody nie było i że ten jakościowy i ilościowy skok w polskiej infrastrukturze jednak się dzięki temu dokonał.

Lata kryzysu finansowego były ostatnimi, w których jeszcze widać było u Pana te liberalne korzenie. Z drugiej strony wciąż używa Pan chętnie słowa „liberalny”, mówiąc np. o Europie. Co ten termin znaczy dzisiaj?

To, co dzieje się dzisiaj w wielu krajach od USA, przez Europę, aż po Azję, utwierdza mnie w przekonaniu, że fundamentalny postulat liberalizmu politycznego, jakim jest wolność jednostki, jedynie zyskał na znaczeniu. Liberalizm w polityce nie sprowadza się dziś do podatku liniowego. Obserwujemy, jak w wielu miejscach właściwie dzień po dniu w imię politycznego koniunkturalizmu wyrzuca się do kosza podstawowe wartości, włącznie z prawami człowieka i obywatela.

Wartości, o których przez ostatnie lata się nie dyskutowało, bo były oczywistością. Mnie się również wydawało, że przypomnienie o tych prawach, o trójpodziale władzy jako jednym z fundamentów państwa prawa nie jest w Polsce potrzebne. No i dzisiaj – proszę. Nagle przypominamy sobie, że władza polityczna musi mieć jakieś ograniczenia. Mogę więc dopuszczać do siebie, że na płaszczyźnie ekonomicznej liberalizm wymaga sporej korekty, ale przywiązanie do wolności jest mi tak samo bliskie jak w latach 80.

Powtarzał Pan też kiedyś za Barrym Goldwaterem, że „ekstremizm w obronie wolności nie jest złem”. Nadal tak Pan uważa?
No cóż, „Wolności oddać nie umiem”...

Mamy jednak wrażenie, że światopoglądowo trudno Panu – politykowi urodzonemu w PRL – nawiązać po-



GRAŻYNA MAKARA X2

Odrzucam kategorycznie
pełne bezradności
oświadczenia, pojawiające
się czasami w Brukseli
i w niektórych innych
stolicach, że fala migracyjna
jest zbyt duża, abyśmy
mogli ją zastopować.

rozumienie z 20-latkami, którzy praktycznie nie pamiętają Polski poza Unią, więc i demokrację uważają za coś równie oczywistego jak powietrze. Jak chce ich Pan namówić na „ekstremizm w obronie wolności”, gdy konkurencja daje 500 plus?

Zawsze zależało mi na tym, żeby ideały liberalizmu połączyć z politycznym pragmatyzmem i – w konsekwencji – z wyborczą skutecznością. Budowałem Platformę właśnie z tą myślą. W polityce racja bez siły potrafi czasem być ujmująca, ale nie sprawcza, siła bez racji – zawsze odrażająca. Jak pogodzić siłę i rację, moralność i skuteczność – o to godzinami spierał się z bohaterem plakatu wiszącego tu na ścianie...

„Siła spokoju” z kampanii prezydenckiej Tadeusza Mazowieckiego z 1990 r. Dawne czasy.

Racja to jednak jest w polityce za mało. Opozycja w Polsce ma dziś zdecydowanie za dużo racji i za mało argumentów. To dotyczy również 500 plus. Hamletyzowanie opozycji, czyli co zrobić z tym programem, jest groźną pułapką. Ten dylemat musi być unieważniony, bo nie można się dłużej spierać, czy to dobra, czy zła decyzja.

Dla Polaków 500 plus jest dobrym programem, bo daje im więcej pieniędzy. Z punktu widzenia bezpieczeństwa państwa i stabilności finansów jego realizacja rodzi oczywiście pewne ryzyko, wydaje mi się jednak, tak jak obserwuję to teraz w Polsce i na świecie, że raz podjęta i wdrożona taka decyzja staje się nieusuwalna.

Trzeba więc uświadomić sobie potrzebę zdjęcia z afisza problemu 500 plus. Uważam, że tam się wiele lepiej nie da niczego wymyślić – oczywiście przy założeniu, że intencją programu był transfer pieniędzy na wielką skalę do polskich rodzin. Dlatego nie ma sensu wchodzić w spór w tej sprawie. PiS robi wystarczająco dużo złych i istotnych rzeczy, żeby odnaleźć pole do zwycięskiej konfrontacji.

Proszę więc odpowiedzieć opozycji, jakim językiem ma dziś opisywać Polskę Polakom.

Nie dam się zrobić w rolę złośliwego recenzenta, który daje do zrozumienia, że wie więcej i lepiej. Polityka to sfera akcji. Chcesz w niej mieć coś do powiedzenia, musisz w niej uczestniczyć, brać bezpośrednią odpowiedzialność, nadstawiać karku. Jestem ostatni, który chciałby odgrywać mądralę z Brukseli i suflować: „No, Schetyna... oj, Petru, co wy tutaj robicie?”.

Mądrale w Brukseli wierzą, że naprawdę dojdzie do Brexitu?

Od początku brytyjskiego kryzysu powtarzam za Hannah Arendt, że nieodwracalne jest tylko to, co ludzie gotowi są uznać za nieodwracalne. Z Brexitem jest podobnie. Lepiej byłoby dla wszystkich, gdyby do niego nie doszło. Ale już za dużo powiedziałem, bo każdy z kontynentu, kto mówi, że Brexit należy zatrzymać, jedynie wzmacnia brexistersów w Londynie. W tym problem. A brexistersom wiele pomogło aroganckie zachowanie niektórych urzędników i polityków pouczających Wielką Brytanię. Ten sam mechanizm wiadać niestety w relacjach z Polską: sprowokować niechęć jest prawie równie łatwo jak sprowokować lęk.

A widzi Pan w ekipie Theresy May ludzi, którzy wierzą, że ten proces można odwrócić?

Nie mogę o tym mówić.

Porozmawiajmy więc o Libii. Dla przeciętnego obywatela Unii sytuacja w Afryce Północnej jest trudna do przyjęcia. Europa za pomocą narzędzi politycznych i pieniędzy chce załatwić problem imigrantów



Spotkanie z redakcją „TP”, Kraków, 20 grudnia 2017 r.

cudzymi, do tego nie zawsze czystymi rękami.

Uważam taką opinię za głęboko niesprawiedliwą. To Europa jest miejscem, do którego ludzie podążają, przyjęła też wielokrotnie więcej migrantów niż wszystkie razem wzięte rozwinięte państwa pozaeuropejskie. Najchętniej wytykają nas palcami ci, którzy są bogaci i nie przyjęli nikogo, lub ci, którzy ze względów geostrategicznych nie byli zainteresowani uregulowaniem kwestii migracji. To Europa płaci za pomoc dla migrantów, to europejskie statki ratują ich na morzu. Na miejscu Europejczyków wyżej podnosiłbym głowę, bo jeśli chodzi o stosunek do migrantów, mamy więcej powodów do dumy niż wstydu.

W Afryce nie mamy partnerów, na których możemy polegać, wiedząc, że będą działać nie tylko skutecznie, ale i w zgodzie z elementarnymi standardami. Libia jako państwo praktycznie nie istnieje.

Europa musi odzyskać kontrolę nad granicą zewnętrzną – nie tylko ze względu na nielegalną migrację. Po to mamy granice, żeby wiedzieć, kto, po co i na jak długo przyjeżdża do nas. Odrzucam kategorię pełnej bezradności oświadczenia, pojawiające się czasami w Brukseli i w nie-

Na razie Polacy chcą
testować władzę, którą
wybrali. Z doświadczenia
wiem, że wyborcy
gotowi są sprawdzać
długo i cierpliwie. Czas
na rozglądanie się za
alternatywą nadejdzie.

których innych stolicach, że ta fala migracyjna jest zbyt duża, abyśmy mogli ją zastopować. Ponad rok temu powiedziałem coś dokładnie odwrotnego: musimy ją zatrzymać, bo jest zbyt duża. Musimy zrobić wszystko, co w naszej mocy, żeby nie było zdarzeń takich jak ostatnio w Libii. Ale nie możemy dać sobie wmówić ze strony tych, którzy nic nie robią, że Europa jest odpowiedzialna za tę tragedię.

W naszej rozmowie jak refren powraca wątek bezsilności Unii. Jeden z krajów członkowskich ogranicza swobodę

działania sądów – ale nie wiadomo, czy Bruksela zrobi mu coś więcej poza pokiwaniem palcem. Inne kraje prowadzą jawnie protekcyjną politykę gospodarczą – i znowu nic nie można z tym zrobić. Kryzys migracyjny – musimy się z tym pogodzić. Dziwi się Pan, że Europejczycy tracą serce do Europy?

Unia Europejska inna nie będzie. Spieszymy się ją kochać, póki ją mamy taką, jaka jest. Unię stworzono po to, aby w Europie nie było więcej wojny – i dzięki Bogu to działa. Żeby znieść zbędne bariery między państwami – i to działa. I żeby była strefa wolnego handlu – co także działa. Mam świadomość – jak mało kto – jakie to jest wszystko czasem niefunkcjonalne, ile czasu kosztuje, jakie to skomplikowane.

Z punktu widzenia rodzimych malkontentów to twór co najmniej niedoskonały, ale z punktu widzenia całego świata zewnętrznego Europa jest wciąż uznawana za najlepsze miejsce na ziemi. Wszystko inne jest od niej wyraźnie gorsze i mniej bezpieczne. Tylko że to kosztuje. Chcicie mieć władzę opartą na dialogu, to nie oczekujcie, że będzie przecinała węzły gordyjskie.

©P

Rozmawiali PAWEŁ BRAVO, MAREK RABJI

PAWEŁ

Śpiewak: Śmierć Dawida



WYBRANIEC BOGA, UMIŁOWANY PRZEZ NAJWYŻSZEGO syn Jessego panował nad Izraelem lat czterdzieści, z tego trzydzieści trzy w Jerozolimie. Żył lat siedemdziesiąt. Dożył, jak na tamte czasy, wieku pięknego. Zasnął w swoim łóżu – jak czytamy w Księdze Królewskiej – i został pogrzebany w Jerozolimie. Salomon zasiadł na tronie swego ojca i wzmocnił jego królestwo. Ale nim Dawid zmarł, wydał kilka wyroków godnych filmowego ojca chrzestnego. Nakazał synowi trzymać się nakazów Boga, jak je zapisano w zakonie Mojżeszowym, i zabić wszystkich wrogów. Nie miał powodów, by żegnać się z innymi dziećmi, żonami, choćby Abigail czy Batszebą. Na koniec Dawid zostawił sobie porachunki.

Adonijasz, który już myślał, że sam przejmie berło, gdy dowiedział się, że tron przypadł Salomonowi, złapał się rogów ołtarza i zawołał: „niech mi Salomon wysięgnie, że nie zabije mieczem sługi swego”. Salomon wprowadzony w arkana władzy obiecał, że na razie go nie utłucze, ale po niedługim czasie brata swojego zabił. Wedle biblijnej opowieści niedoszły król wdał się w tak głupią intrygę, iż wygląda na to, że była tylko pretekstem do tego, by miecz zanurzyć w jego ciele. Adonijasz rzekomo postanowił, że poślubi ostatnią z bliskich kobiet Dawida, młodzieńką Abisag, która grzała ciało zziębniętego Dawida. Wyszedł w ten sposób po raz kolejny na uzurpatora. Chciał wziąć kobietę ojca, co w tamtej kulturze oznaczało, że zyskałby tytuł do tronu. To był idiotyczny pomysł godny samobójcy. Zbrodnia głupoty musiała zostać jak najsurowiej ukarana.

Dawid kazał zabić swego hetmana Joaba, który towarzyszył mu niemal we wszystkich kampaniach wojennych. Kazał go zabić za to, że ten przed laty wykonał wyrok śmierci na Abnerze, hetmanie Saulowym. Słabe to uzasadnienie. Trudno w nie uwierzyć. Tym bardziej że chyba Joab wykonał w ten sposób wyrok podjęty przez samego Dawida. Zapewne umierający król zemścił się na swoim dawnym wodzu, najwierniejszym z wiernych, za to, że ten pociągnął się w uznaniu Adoniasza za króla bez zgody Dawida. Mściwość siedemdziesięciolatka na tym się nie kończyła. Kazał Salomonowi zabić Semeja, syna Giery, który ubliżał Dawidowi, gdy ten uciekał z Jerozolimy przed swoim synem Absalomem. Nie chodziło w tym przypadku o zniewagę, ale o to, że Semej miał posłuch pośród Benjamitów, z których wywodził się Saul. Zabijając Semeja pokazywał, że teraz rządy mają w całości należeć do potomków Judy. Z rozkazu Dawida wygnano (coż za łagodny wyrok) Abithara, stronnika Adoniasza. Wygnano go, a nie zamordowano pewnie dlatego, że kapłanowi należały się wówczas pewne względy.

Salomon znany ze swojego mądrego i wyważonego sądu, człowiek pokoju, zaczynał rządy od wykonania na rozkaz ojcowi kilka wyroków śmierci. Odsunął od siebie najbliższe niebezpieczeństwo ze strony dworaków. W Biblii czytamy słowa uspokajające, ktoś by niechętnie powiedział: zakłamanie, że tych kilka szybkich egzekucji utwierdziło na dziesiątki lat królestwo Salomona. Okazał się równie bezwzględny i okrutny jak ojciec. Dobrze zdał egzamin na króla.

©

O. WACŁAW

Oszajca: Jezus nie przyjedzie



ROZPOCZYNAJĄC ZWYKŁY OKRES LITURGICZNY, warto zatrzymać się i pomyśleć nad przykazaniem: „Nie będziesz brał imienia Pana, Boga swego, nadaremno”. Nie chodzi tylko o bezmyślne okrzyki typu: „Jezusmaria”, „Ojezu” „Jakbogakocham” czy „Ależna boga”. Sprawa nabiera znaczenia, gdy przywołujemy Boga w sytuacjach poważnych, mogących zaciążyć na życiu jednostki lub całych społeczności.

Bywało i bywa bowiem tak, że przywołując Boga, zamiast Niego, możemy przywołać diabła i tej podmiany nie zauważyć. Ktoś powiedział, że wcale nie łatwo odróżnić diabła od anioła, tak jak trudno odróżnić głos ludzki od Bożego. To ostatnie nieporozumienie przydarzyło się młodemu Samuelowi. Oddany pod opiekę Helego, doświadczanego w rozeznawaniu spraw boskich i ludzkich, spał razem ze swoim mistrzem w pobliżu Arki Przymierza. Kiedy pewnej nocy usłyszał, że ktoś go woła, myślał, że to Heli, ten jednak nie potwierdził przypuszczeń ucznia. Kiedy wydarzenie się powtórzyło, Samuel znowu „wstał i pobiegł do Helego mówiąc: »Oto jestem: przecież mnie wołałeś«, a ten mu odpowiedział: »Nie wołałem cię, synu. Wróć i połóż się spać«. Samuel bowiem jeszcze nie znał Pana, a słowo Pana nie było mu jeszcze objawione”. Dopiero za trzecim razem rzecz się wyjaśniła. Samuel po prostu przypisywał głos Boga człowiekowi – Helemu.

Nie pierwszy to i nie ostatni tego typu przypadek, kiedy człowiek albo myli Boga z człowiekiem, albo, co gorsza, celowo podszwyla się pod Boga. Stąd przypominane na początku przykazanie. Jeśli tak, to czym jest to, do czego nie powinniśmy nawiązywać Boga, by się tym zajął?

Odpowiedzią na to pytanie jest inne przykazanie: „Nie będziesz miał bogów cudzych przede Mną”, co znaczy, że nic i nikogo nie postawisz na równi z Bogiem, ani tym bardziej ponad Nim. Jedynym twoim *sacrum* będzie Bóg, a nie co innego i nikt inny: ani ojczyzna, ani rodzina, ani rasa, ani honor, ani sława, ani nawet życie, ani nawet Kościół. Ignacy Loyola mówi: „Człowiek po to jest stworzony, aby Boga, Pana naszego, chwalił, czcił i Jemu służył, a przez to zbawił duszę swoją. Inne zaś rzeczy na obliczu ziemi są stworzone dla człowieka i aby mu pomagały do osiągnięcia celu, dla którego został stworzony”. Z tego nie wynika, że pomiędzy Bogiem a tymi rzeczami zionie przepaść. Nic podobnego, skoro, mówiąc za Pawłem Apostołem, całe stworzenie jest ciałem i słowem Boga. Wszyscy przecież jesteśmy dziećmi Boga i nosimy Jego imię. Dlatego rabin Michael Schudrich, zaniepokojony wydarzeniami z jesieni ubiegłego roku, ma prawo i obowiązek powiedzieć: „Mam takie bardzo abstrakcyjne pytanie: jeżeli nie ma w Polsce miejsca dla Żydów, to co będzie, jeżeli Jezus będzie chciał przyjechać do Polski? To znaczy, że dla niego też nie będzie miejsca? Być może, jeżeli nie ma miejsca dla Żydów, to nawet Jezus nie może być tutaj”. Jeśli papież Franciszek mówi, że Jezus ma twarz uchodźcy, to trzeba wciąż przypominać, że od dawna ma twarz Żyda, jest Żydem, który karmi nas swoim ciałem i krwią. Sobą.

©

ABP GRZEGORZ

Ryś: Przy 10. stacji

*Rzekł Błogosławiony:
„Strzeżcie się, aby was
nikt nie zwiódł, mówiąc wam:
»oto tu« albo: »oto tam«.
Bo Syn Człowieczy
jest w waszym wnętrzu.
Postępujcie za Nim”.*

EWANGELIA MARIII MAGDALENY



*Boskie Światło (...) podobne jest
do wytwarzania jedwabiu
i cennej purpury,
kiedy robak, wytwarzający
jedwab, sam ukrywa się
wewnątrz (...) wydaje
z siebie jedwabną nić
i otula się nią, dopóki się nią
nie okryje zupełnie
i stanie się ukrytym dla oczu.*

ZOHAR



Wybrał PIOTR SIKORA



KTOŚ MOŻE POWIEDzieć, że refleksja nie na czasie, ale chcę się nią podzielić „na świeżo”. Modliłem się ostatnio Drogą Krzyżową i jej 10. stacja pokazała mi się zupełnie inaczej niż do tej pory.

Obnażenie z szat. To musiało boleć. Nie tylko z racji na upokorzenie i wstyd. Musiało boleć dosłownie – fizycznie. Oddzielenie sukni od poranej biczem skóry – sukni zapewne przyschniętej wraz z zakrzepłą krwią i oderwanej gwałtownie od ciała.

To była wyjątkowa suknia – nie szata, lecz „cała tkana od góry do dołu” (jak mówi pobożna tradycja: przez Matkę) – tak że egzekutorzy nie podzielili jej na części, lecz rzucili losy: do kogo ma należeć (J 19, 23-24).

Właśnie dlatego na całe wieki owa tunika stała się symbolem Kościoła – „szaty” Jezusa: jednej i niepodzielnej. Ból Jezusa. Ból zadany w momencie oddzielenia Jego „sukni” od Jego Osoby.

Myślę o tym, jak często i z jaką łatwością Mu go zadajemy. Zawsze wtedy, gdy mówimy: Chrystus – tak; Kościół – nie. Zawsze wtedy, gdy deklarujemy wielką duchową bliskość z Jezusem i równie wielki (większy?) dystans do Kościoła. Zawsze, gdy radykalnie i gwałtownie odrywamy Kościół od Jezusa, myśląc (mówiąc): „to tylko ludzka instytucja”, „to wyłącznie struktura, przepisy, prawo, pieniądze”, „to jedynie grzech: pycha, dążenie do władzy, zachłanność na pieniądze”.

Jeszcze bardziej wtedy, gdy – porzucając wrażliwość wykazaną przez rzymskich katów – targamy Jezusową suknię.

Nie, żebyśmy byli schizmatykami czy tymi, którzy dokonują rozłamów. Co to, to nie.

Ale czy nie za łatwo na co dzień godzimy się z podziałami chrześcijan?

Czy nie oswoił się z faktem, że jesteśmy podzieleni?

Czy łatwiej przychodzi nam myśleć o tym, co nas fundamentalnie łączy (jeden chrzest – w jednym Duchu – w jedno Ciało), czy o tym, co nas dzieli (i to prawda, że dzieli)?

Czy nie wprowadzamy do Kościoła nowych linii podziałów, które niewiele mają wspólnego z podstawowymi treściami wiary, za to o wiele więcej z doraźną polityką?

Czy nie za łatwo dzielimy Kościół, etykietując poszczególne osoby, a czasami całe środowiska?

Czy nie absolutyzujemy własnego przeżywania wiary, własnej wrażliwości religijnej, własnych form kultu, postaw i ich rozumienia? Czy nie jest dzieleniem Kościoła duch ekskluzywizmu?

Skąd bierze się w nas ochota, by to, czego nie znamy albo nie rozumiemy, albo co po prostu inne – od razu uznać za hereetyckie i błędne lub co najmniej podejrzane?

Dlaczego okazuje się ona silniejsza w nas od pragnienia poddania się Duchowi Świętemu, który w Kościele Jezusa Chrystusa jest rzeczywistym i aktualnym (dynamicznym) Suwerenem?

Zapewne pytań tego typu można zadać znacznie więcej.

To jest ich czas – czas Tygodnia Modlitw o Jedność Chrześcijan.

To jest ich Czas – Czas nieustanny, bo... ostateczny. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (14 – 21 I)

2. niedziela zwykła: 1 Sm 3, 3b-10. 19;
Ps 40; 1 Kor 6, 13c-15a. 17-20; J 1, 35-42;
Poniedziałek: 1 Sm 15, 16-23; Ps 50; Mk 2, 18-22;
Wtorek: 1 Sm 16, 1-13; Ps 89; Mk 2, 23-28;
Środa: 1 Sm 17, 32-33. 37. 40-51;
Ps 144; Mk 3, 1-6;

Czwartek: 1 Sm 18, 6-9; 19, 1-7; Ps 56; Mk 3, 7-12;
Piątek: 1 Sm 24, 3-21; Ps 57; Mk 3, 13-19;
Sobota: 2 Sm 1, 1-4. 11-12. 19. 23-27;
Ps 80; Mk 3, 20-21;
3. niedziela zwykła: Jon 3, 1-5. 10;
Ps 25; 1 Kor 7, 29-31; Mk 1, 14-20.

WSPÓLNOTA NORMALNYCH LUDZI

Poparcia dla PiS-u nie tłumaczą bieda, populizm czy 500+.
Żeby zrozumieć, skąd się bierze, wystarczy posłuchać mieszkańców jednego miasteczka.
Grupa badaczy z UW właśnie to zrobiła.

PIOTR STANKIEWICZ



WCZESNYM LATEM UBIEGŁEGO ROKU socjologowie z Uniwersytetu Warszawskiego pod kierunkiem Macieja Gduli zjawili się w anonimowym mieście powiatowym w interiorze województwa mazowieckiego. Ich raport z badań nazywa je Miastkiem, dla utrzymania tajemnicy. Wiemy o nim, że nie jest zapadłą prowincją, że jest ładne i ogarnięte, widać wpływ funduszy strukturalnych. Wiemy, że w 2015 r. PiS zdobył w Miastku prawie 50 proc. głosów i że w intencji badaczy jest ono archetypem „prawdziwej Polski”, tej powiatowej, różnej od jasných światła aglomeracji i od miast Springer-srednich. Badacze przeprowadzili 30 wywiadów z mieszkańcami z klasy średniej i ludowej (niższej). Klasa wyższa okazała się w Miastku statystycznie nieistotna.

Z badania wyszło, że poparcia dla „dobrej zmiany” nie tłumaczy bieda, populizm czy 500+, że nie jest ono wynikiem nierówności społecznych ani buntem ofiar transformacji ustrojowej. To nie jest

tak, że PiS wypchnęły do władzy głosy rozczarowanych. Poparcie dla PiS-u jest bardzo zdwyersyfikowane, nie ma żadnych oczywistych przełożeń między sytuacją życiową a preferencją wyborczą. Wysokie poparcie dla PiS to nie „kupienie głosów” ani realizacja interesów tej czy innej grupy, ale zręczność, z jaką partia Kaczyńskiego zaprasza wyborców z różnych grup do uczestnictwa w procesie politycznym czy wręcz dziejowym.

Wspólną ścieżkę wskazał wódz

Tyle streszczenie. Teraz przejdźmy do szczegółów, w których tkwi jeśli nie diabeł, to chochlik. Badanym miastczanom polityka wydaje się generalnie zawiła, trudna do zrozumienia. Po politykach spodziewają się niewiele. PO i okres jej rządów jest postrzegany jako porażka, a politycy Platformy są uważani za skompromitowanych. Powszechną niechęcią darzony jest KOD, który, co nieprzypadkowe, nie jest postrzegany jako oddolny ruch społeczny,

ale jako bezideowa, sztucznie sterowana hucpa w obronie interesów starych elit.

Unisono jest za to akceptowany przez badanych program 500+, również przez tych, którzy PiS-u nie popierają. Co istotne, nie jest to tylko radość z pieniędzy w portfelu, ale też zadowolenie wobec szlachetnej likwidacji biedy, dowód na aktywność państwa, a nawet doszlusowanie do standardów Zachodu.

Jeszcze większa, niemal miażdżąca jednomyślność panuje w kwestii uchodźców, których w Miastku nie chce niemal nikt. Są jednak odcienie tej niechęci: w klasie ludowej ma ona podłoże wyraźne ekonomiczne (mamy zbyt szczupłe środki, trzeba pomagać raczej Polakom niż obcym, uchodźcy zabiorą pracę etc.), a w klasie średniej – ideologiczne. Dla klasy średniej niechęć do uchodźców jest, paradoksalnie, wyrazem europejskości: Europa to spójny i skończony projekt, do którego przybyś z zewnątrz nie będą ani umieli, ani chcieli się włączyć. Dla klasy średniej uchodźcy to ➔

Kampania wyborcza PiS do Parlamentu, Wyszków, lipiec 2015 r.



→ cwaniacy, którzy uciekają nie tyle od wojny, co do lepszego życia. Więcej: to tchórze, którzy porzucili własny kraj, zamiast za niego walczyć, jak Polacy kiedyś. Każdy mężczyzna docierający do granic Europy jest z definicji niemoralny – bo uciekł. I jako takiemu nie należy mu się pomóc.

Ze wszystkich spraw, o które ich zapytano, najbardziej polaryzuje mieszkańców Miastka spór o Trybunał Konstytucyjny. Rozkład opinii był dość oczywisty: ci, którzy byli przeciwni rządowi PiS-u, sprzeciwiali się atakom na Trybunał jako nadużyciu władzy. Zwolennicy „dobrej zmiany” te poczynania aprobowali. Najciekawszy był jednak sens tej aprobaty: zdaniem autorów raportu nie ma tam symetrii, „jednych boli nadużycie władzy, a drugich nie boli”. Ci drudzy w ogóle nie widzą nadużycia, uważają bowiem, że PiS ma demokratyczny mandat do wprowadzenia takich zmian, jakie chce. To, co dla jednych jest „zamachem na demokrację”, dla drugich jest właśnie realizacją demokratycznego mandatu. Zwolennicy PiS-u nie są więc antydemokratami. Oni po prostu rozumieją proces demokratyczny jako szeroką wolność raz wybranej władzy – a próby jej ograniczania postrzegają jako antydemokratyczne, KOD-owskie paroksyzmy wspomnianych starych elit.

Jest to mechanizm samodowodliwy i samonakręcający się. Poczynania PiS-u dowodzą jego władzy i siły – i to właśnie się w nich ludziom podoba. To nie jest tak, że wyborcy PiS-u w Miastku w punkcie wyjścia nie lubią Trybunału Konstytucyjnego, więc akceptują ataki nań. Jest odwrotnie: oni akceptują je dlatego, że PiS się na nie zdecydował. Chodzi tutaj o radość ze wspólnego podążania ścieżką wyznaczoną przez wodza.

Utrwalanie granic

I nie przez przypadek jest to podążanie wspólne. Potężne poparcie dla PiS-u bierze się również stąd, że rządy tej partii dają poczucie uczestnictwa we wspólnocie, choć jest to wspólnota z założenia ekskluzywna, powstająca przez odróżnienie. Jest to wspólnota „normalnych, ciężko pracujących ludzi”, którzy różnią się tak od skompromitowanych polityków PO czy hochsztaplerów z KOD-u, jak też od patologicznej rodziny ze stereotypu, która przepija pieniądze z 500+.

To ostatnie tłumaczy zarazem ciekawy paradoks, który wychwyciło badanie: to klasa ludowa, a więc najbiedniejsi, są najbardziej skłonni temu stereotypowi ulec i obruszać się, że ktoś może wydać banknot z królem Sobieskim na wódkę. To wła-

Pogarda dla „tamtych”

jest politycznie nieskuteczna.

Mając krytyków pełnych wyższości, PiS może spać spokojnie.



śnie klasa ludowa najchętniej zgodziłaby się na jakąś odgórną kontrolę, kto na co 500+ wydaje. Dlaczego? Po to właśnie, żeby podkreślić swoją przynależność do „ludzi normalnych, racjonalnie gospodarujących pieniędzmi”, w odróżnieniu od patologii, która przepija. Chodzi o to, że „my” jesteśmy lepsi i czystszy niż „oni”. A tymi „onymi” mogą być też oczywiście obcy, czyli uchodźcy, którzy nie dość, że nie są Polakami, to jeszcze chcieliby sutoj opieki społecznej.

Właśnie ta odśrodkowość wspólnoty (czy wręcz nacjonalizmu), którą proponuje PiS, oparcie jej na opozycji wobec tych, którzy są na zewnątrz, sprawia, że PiS jest tak atrakcyjny dla tak różnych grup społecznych. Wypełnienie tej wizji konkretniejszym programem pozytywnym i treściwszą identyfikacją byłoby dla PiS-u potencjalnym strzałem w stopę. Wprowadziłoby bowiem napięcia między różnymi częściami elektoratu, a to właśnie poparcie wszystkich tych grup jest potrzebne do legitymizacji władzy.

To specyficzne myślenie raportu Gduli nazywa „moralnością dla aspirujących” (nie najszcześniejsze określenie, swoją drogą). Moralność nie oznacza tu jednak podstawy sprawiedliwości, ale raczej zabezpieczenie hierarchii i utrwalenie granic wspólnoty. Poparcie dla PiS-u jest wyrazem chęci przywrócenia jasnego ładu moralnego, porzuconego czy zniekształconego przez poprzednie, zdeprawowane elity.

Głosując na partię Kaczyńskiego „dobry”, „swojszy”, „normalni”, ciężko pracujący Polacy, należący do oczywistej i raz na zawsze danej „Europy”, przeciwstawiają się uchodźcom, skompromitowanym starą autorytetem i leniwym biedakom.

Uczestnictwo w Historii

Głos na PiS jest więc udziałem w tworzeniu nowego ładu moralnego. Ale nie tylko moralnego: staniecie po stronie PiS-u staje się uczestnictwem w szerszym dramacie dziejowym. Partia ta niejako wciąga swoich wyborców w sanacyjno-reformatorską spiralę działań, których poparcie staje się współsprawstwem, a przez to wyrazem mocy, do której ci wyborcy aspirują. W tym sensie te mocne działania będą się im podobały niejako z definicji.

Stąd też absurdalne są oczekiwania liberalnych komentatorów, że jeszcze kilka razy Kaczyński „pojedzie po bandzie”, a wtedy „ludzie się obudzą”, „milion wyjdzie na ulice” i zaprotestuje. Nie obudzą się i nie wyjdą, bo dla połowy społeczeństwa burzenie starego porządku oznacza długo wyczekiwaną podmiotowość. Połowa społeczeństwa dała Kaczyńskiemu czek *in blanco*: cokolwiek zrobi, będzie w porządku, bo to uczyni sprawczymi tych, którzy mu zaufali. PiS wygrywa, bo umie zaprosić swoich wyborców do uczestnictwa w Historii. To jest to, czego nie umiała robić Platforma. „Ciepła woda w kranie” to było już za mało, aspiracje rosły – i nie chodziło bynajmniej o wrzątek w kranie, ale o sprawczość na arenie świata. I to właśnie dał ludziom PiS.

To poczucie bywa tak silne, że może iść wbrew interesom prywatnym. Raport przywołuje znamienne rozmowę z nauczycielką z Miastka, która cieszy się z likwidacji gimnazjów, mimo że świetnie się jej w gimnazjum pracowało. Widać tu wyraźnie, że to już nie o wąskie interesy idzie. Polityczne może mówić nad prywatnym, a za współudział w zmianie świata warto czasem zapłacić w życiu osobistym.

Magazyn Porażka

Czy to są wszystkie słuszne diagnozy? Podpisałbym się pod większość. Kilka ważnych wątpliwości podsunął w swoim komentarzu Michał Bilewicz z Centrum Badań nad Uprzedzeniami UW. Zwraca on uwagę, że powiatowe Miastko trudno uznać za Polskę w pigułce, bo statystycznie nie jest wcale tak, że „Polska jest krajem małych miast” (trzy czwarte Polaków mieszka bowiem na wsi lub w dużym mieście). Ponadto i przede wszystkim nie powinniśmy tak łatwo zaniedbywać czynni-

ka ekonomicznego, który autorzy już na wstępie marginalizują. Raport stara się pokazać, że samą biedą i brakiem perspektyw nie wytłumaczymy sukcesu PiS-u. I to jest prawda, ale ekonomii nie wolno nam spuścić z oka. Odnowione za unijne pieniądze fasady przy rynku i goły wskaźnik bezrobocia nie przekładają się bowiem wprost na sytuację życiową konkretnych ludzi, zwłaszcza jeśli połowa wyjechała w międzyczasie pracować na zmywaku w Dublinie.

Bilewicz podkreśla, że przewroty społeczne i polityczne nie zachodzą wtedy, kiedy warunki życia się pogarszają, ale wtedy, gdy przestają rosnąć i nadszają za aspiracjami, które wciąż rosną. W naukach politycznych określa się to zjawisko mianem „krzywej J” Jamesa Daviesa, a w dzisiejszej Polsce jego wyrazem jest np. strona na Facebooku „Magazyn Porażka”, poświęcona, jak deklaruje jej autor, „tym, którym się nie udało, czyli prawie wszystkim”. Warto też wspomnieć o „Zawodzie” Kamila Fejfera, czarnym reportażu z polskiego rynku pracy, który ma młodym do zaoferowania dużo mniej, niżbyśmy tego chcieli. Z punktu widzenia dwudziesto- i trzydziestolatków III RP to stan zawieszenia. Szerokie kontakty ze światem Zachodu rozbudziły wielkie aspiracje, których państwo nie jest w stanie spełnić.

Poza populizmem

Z tego raportu dowiadujemy się o źródłach sukcesu PiS-u więcej niż z większości publicystyki ostatnich dwóch lat. Rozbija uklepane, a bezpodstawne stereotypy o tym, dlaczego Kaczyński wygrywa. Polska polityka wyszła ze stadium populizmu, wyborów nie wygrywa już ten, kto sprawniej „kupi głosy ciemnego ludu”. Nie wygrywa ich ten, kto lepiej wstrzelił się w przyziemne oczekiwania i bezpośrednie interesy, ale ten, kto włączy swoich wyborców w wielki projekt tworzenia nowego świata. Stąd też w płot i próżnię pójdzie logika „dać więcej, przelicytować” i wszystkie liberalne nadzieje, że dla odebrania władzy PiS-owi wystarczy dać 500 zł „również na pierwsze dziecko”. Raport jasno stwierdza, że wszelka alternatywa dla rządów PiS-u „wymaga tworzenia konkurencyjnych form zaangażowania w zmianę świata”. A czy taka alternatywa jest dzisiaj widoczna – to już zupełnie inne pytanie.

Wychodząc zaś w stronę spraw ogólniejszych niż kwestia „co z tym PiS-em”, w raporcie uderzyło mnie swego rodzaju „odpolitycznienie”, które widać w wypowiedziach mieszkańców Miastka. Widzą oni polityków jako ludzi złej woli, którzy po-

Poczynania PiS-u
dowodzą siły tej partii.
To się właśnie ludziom
podoba. Oni wręcz czekają,
że „Kaczyński pojedzie
po bandzie”.



WITOLD ROZBICKI / REPORTER X2

ciągają za ciemne sznurki w Warszawie. Z polityki przychodzi samo zło. Natomiast dobre rzeczy, które się w Polsce dzieją, nie są wynikiem czyjegokolwiek działania politycznego, ani żadnej polityczności w ogóle. Pieniądze unijne płyną same z siebie, a drogi budują się same – to są procesy nie tyle państwowe, co przyrodnicze.

Ta „apolityczność” jest szczególnie smutna tam, gdzie dotyczy ruchów społecznych, oddolnych. Mieszkańcy Miastka w nie po prostu nie wierzą, nie wierzą w ogóle w politykę jako wyraz konkretnej aktywności żywych ludzi. Polityka to wódz, „góra”, wyznaczająca kierunek, w którym należy podążać, a nie działalność moja własna i mnie podobnych. Mieszkańcy Miastka są umiarkowanie sceptyczni wobec Czarnego Protestu i wrodoży wobec KOD-u nie tylko dlatego, że się nie zgadzają z nimi ideowo, lecz przede wszystkim dlatego, że nie wierzą w ich autentyczność. Uważają, że to ruchy sztuczne i sterowane z zewnątrz.

Wyjść poza fantazmaty

Ten raport jest też dobitnym przypomnieniem, że to, co politycy i komentatorzy myślą o społeczeństwie, a także nasze własne wyobrażenia o tym, co poza naszą bańką, to często zupełna fantazja. I dlatego właśnie badania takie jak to są potrzebne. Poza naszą bańką nawet logika może być inna: z punktu widzenia racjonalnego analityka trudno przecież wytłumaczyć panią

Aleksandrę z klasy średniej, która głosowała na „Barbarę Nowacką z Partii Razem” (Nowacka była w 2015 r. nie kandydatką, ale konkurentką Razem).

Raport jest mocnym przypomnieniem, że jeśli chodzi o politykę, to żyjemy fantazmatami. O sobie samych myślimy, że głosujemy racjonalnie, zgodnie z własnym interesem, ba, zgodnie z „obiektywną słuszością” i racją stanu. To fantazmat numer jeden. Drugi zaś, bardziej niepokojący, jest taki, że zupełnie nie wiemy, czym się kierują inni. Minęła już połowa kadencji rządów PiS-u (pierwszej kadencji, trzeba pewnie dodać), a połowa społeczeństwa wciąż nie rozumie wyborów tej drugiej. Nie rozumie, bo gra z nią w głuchy telefon ten korowód jednostronnych mędrców, którzy powtarzają wciąż te same zbite frazy. Słyszymy więc, że „Polacy zostali kupieni za 500+”, że „Edkowie i wózkowe nie doceniają demokracji”, a „niewdzięczna młodzież nie wie, że komunizm był naprawdę”. PiS może spać bezpiecznie: na żadną polityczną sprawczość ta mantra się nie przekuje.

Oderwane od rzeczywistości konstrukcje są nie tylko fałszywe i nie tylko politycznie nieskuteczne – gorzej: one są pełne pogardy. I to właśnie jest najbardziej niepokojące i długofalowo najbardziej niszczące dla demokracji. Myśląc w ten sposób, uczymy się wyrażać swoją polityczność nie poprzez troskę o dobro wspólne czy mniej lub bardziej płomienny dialog z drugą stroną, ale przez totalną tej drugiej strony delegitimację. Przez pogardliwe przekreślenie jej wyboru i głosu, niemal odmówienie jej prawa do istnienia. To zaś wróży bardzo źle, tak Polsce jako wspólnocie, jak i nam wszystkim jako ludziom.

Od jakiegoś czasu pojawia się coraz więcej głosów, które idą wbrew takiemu podejściu. I bardzo dobrze. Trzeba do nich doliczyć raport zespołu Gduli. Warto coś takiego robić, warto działać, wychodzić zza biurka (czy kawiarnianego stolika), jechać w ten półmityczny „teren”, konfrontować się z realiami. Raportowi można zarzucić niejedno, choćby to, że interpretacja stacza się nieraz w luźną impresję, że metodologia jest nieco frywolna, a całość wygląda trochę tak, jakby grupa socjologów pojechała sobie do miasteczka, które im się wydaje już Polską B, ale do którego można z Warszawy dojechać kolejką podmiejską. To jednak szczegóły. Idea jest ze wszech miar słuszną – warto badać, trzeba jeździć. Bez tego będziemy wiecznie chodzić w kółku graniastym naszych domniemań.

©

PIOTR STANKIEWICZ



Co widzi Polak w portfelu

PIOTR WÓJCIK

W ciągu dwóch lat płace poszły lekko w górę. Ale i tak połowa pracujących zarabia mniej niż 2,5 tys. zł na rękę, a wśród 10 proc. najlepiej zarabiających aż 70 proc. stanowią mężczyźni.

W PAŹDZIERNIKU UBIEGŁEGO ROKU średnie miesięczne wynagrodzenie wyniosło 4574 zł brutto, czyli 3254 zł na rękę. W większości z nas taka informacja musi budzić zdziwienie. W końcu niemal każdy Polak uważa się za przeciętnego, tymczasem o takiej pensji większość społeczeństwa może pomarzyć. Podobne odczucia pojawiają się w dużej części z nas w reakcji na informacje o wzrostach płac. Skoro pensje w Polsce wzrosły o kilka procent, to dlaczego nie widać tego w moim portfelu? Jak to możliwe, że

podawane co miesiąc liczby tak bardzo roz mijają się z odczuciami obywateli? Czy to dane są tak oderwane od rzeczywistości, czy większość społeczeństwa żyje jak we śnie?

Oczywiście subiektywne oceny siłą rzeczy opierają się na bardzo wycinkowym oglądzie rzeczywistości. Niestety wiele danych statystycznych również oświecla jedynie jej wąski odcinek. Analizowanie ich pojedynczo, bez odniesienia do szerszej perspektywy, może wprowadzać w błąd lub co najmniej budzić dysonans. W taki

właśnie sposób analizujemy podawane co miesiąc średnie wynagrodzenie w kraju – dowiemy się, ile wynosi i o ile wzrosło, ale odniesień do kontekstu społecznego zwykle brak. Na szczęście co dwa lata GUS publikuje dużo dokładniejsze dane dotyczące pensji Polaków.

Biedni, ale coraz mniej

Ostatnia taka publikacja GUS przedstawia dokładną strukturę wynagrodzeń w Polsce w październiku 2016 r. Przeciętna pensja wyniosła wtedy 4347 zł brutto. Problem ze średnią polega głównie na tym, że nic nie mówi o rozkładzie dochodów. Prezes banku zarabiający 100 tys. zł miesięcznie oraz niewykwalifikowany pracownik na pensji minimalnej (2 tys. zł) zarabiają średnio 51 tys. zł na miesiąc. Ten drugi solidnie by się zdziwił, widząc taki wynik.

Dużo lepsza poznawczo jest mediana płac, nazywana również wynagrodzeniem środkowym. Mówiąc w uproszczeniu, to poziom wynagrodzenia, który dzieli społeczeństwo idealnie na pół – połowa zarabia więcej, a druga połowa mniej. W omawia-

nym czasie wyniosła ona 3511 zł, możemy więc powiedzieć, że naprawdę przeciętny Polak zarabia miesięcznie około 2,5 tys. zł na rękę. Czyli ok. 600 euro. I to już jest dużo bardziej zbliżone do rzeczywistości i przynębiające.

Dane GUS pokazują też, że jednak zmierzamy w dobrą, przynajmniej z punktu widzenia pracowników, stronę. W 2014 r. mediana wyniosła 3292 zł, a więc w dwa lata wzrosła o 6,7 proc. Co więcej, wzrosła szybciej niż średnia krajowa (5,8 proc.). Co oznacza, że pensje większości społeczeństwa rosły nieco szybciej niż tylko ludzi najwięcej zarabiających. W ubiegłym roku ogólny poziom płac szybko rósł – od października 2016 r., w zaledwie rok, średnia wzrosła jeszcze o ponad 5 proc. Oczywiście ten wzrost nie mówi nic o tym, jak te podwyżki się rozkładają, ale mimo wszystko można postawić tezę, że wszyscy stawali się coraz mniej biedni.

Kobiety mają gorzej

Nie tylko nieliczna grupa najlepiej zarabiających sprawia, iż najpopularniejsze wskaźniki płacowe nie odzwierciedlają złożonej rzeczywistości. Za dysonans między suchymi liczbami a sytuacją społeczną odpowiada nadal kwestia płci. Mimo iż jesteśmy już w XXI w., kobiety zarabiają zwykle mniej niż mężczyźni, i to nawet w Unii Europejskiej, która i tak jest pod tym względem stosunkowo najbardziej sprawiedliwa. Tak zwaną nieskorygowaną lukę płacową określa się poprzez porównanie średniego wynagrodzenia kobiety i mężczyzny. Według Eurostatu w 2015 r. w Polsce wyniosła 7,7 proc., co było piątym najniższym wynikiem w UE – średnia unijna wyniosła 16,3 proc. Jeśli więc wierzyć europejskim służbom statystycznym, choć Polki zarabiały mniej niż Polacy, to i tak na tle większości kontynentu mamy bardzo przyzwoitą sytuację.

Niestety dane GUS pokazują, że problem jest dużo głębszy, a luka płacowa wynosi dwa i pół razy więcej niż według Eurostatu. Średnie wynagrodzenie mężczyzny w 2016 r. wyniosło 4706 zł, a kobiety jedynie 3971 zł. Tak więc panowie zarabiali średnio 18,5 proc. więcej niż panie.

Z czego to wynika? Eurostat porównuje tylko płace godzinowe, tymczasem Polacy przepracowują miesięcznie więcej godzin niż Polki. W skali miesięczą luka jeszcze się więc powiększa. Oczywiście najczęściej wynika to ze wspólnej decyzji małżonków, że mężczyzna przejmuje na siebie większy ciężar zapewnienia środków do życia, a żona wedle tradycyj-

nego modelu zajmuje się domem. Jednak bez wątpienia łatwiej o taki właśnie podział ról, gdy to mężczyzna z definicji zarabia więcej, nawet jeśli ta różnica nie jest wielka. Widać więc, że nawet nieduża, 8-procentowa różnica w stawkach godzinowych może petryfikować podział obowiązków w domu i przyczyniać się do jeszcze większej realnej luki płacowej w skali miesięczą.

Najlepszym dowodem na to, jak Polki są pokrzywdzone w kwestii płac, jest fakt, że wśród 10 proc. najlepiej zarabiających Polaków (zarobki powyżej 7200 zł) aż 70 proc. stanowią mężczyźni. Co więcej, Polki zarabiają wyraźnie mniej także w obrębie tych samych grup zawodowych. Np. w kategorii „władze publiczne, wyżsi urzędnicy” przeciętne zarobki mężczyzn wynoszą 9999 zł, a kobiet 7360 zł. Pracownik biurowy płci męskiej zarobi średnio 3591 zł, a płci żeńskiej 3480 zł. Niestety panie wciąż otrzymują niezależną od kompetencji „negatywną premię” za swoją płć – choćby za sam fakt, że to one rodzą dzieci, a więc potencjalnie mogą zniknąć z miejsca pracy na dłuższy czas. Pocieszające jest jedynie to, że te różnice w ciągu dwóch lat wyraźnie spadły – jeszcze w 2014 r. Polak miesięcznie zarabiał średnio aż 20,5 proc. więcej od Polki.

Klasa średnia czy elita?

Ciekawsze niż śledzenie, jak zmienia się ogólny poziom płac, jest spojrzenie, jak wygląda ich podział wśród różnych kategorii. Zawyżone przez najlepiej zarabiających średnie wynagrodzenie jest nieosiągalne dla dwóch trzecich społeczeństwa. Inaczej mówiąc, średnią krajową lub więcej zarabia tylko jeden na trzech polskich pracujących. Nic więc dziwnego, że wśród większości Polaków jej wysokość budzi zdziwienie. Z drugiej strony pensje na poziomie dwóch średnich lub więcej otrzymuje 6,3 proc. zatrudnionych nad Wisłą. 10 proc. najlepiej zarabiających otrzymuje pensję przynajmniej 7200 zł brutto. Widać zatem, że osoby zarabiające w okolicach 10 tys. zł miesięcznie, często określane w debacie publicznej jako „klasa średnia”, należą tak naprawdę do kilku procent najzamożniejszych Polaków. Tak więc zwiększenie obciążeń osób zarabiających powyżej 10 tys. zł, czy to w postaci zniesienia limitu składek ZUS, czy wyższych stawek podatku dochodowego, nie byłoby żadnym „uderzeniem w średniaków”, jak lubi powtarzać wielu komentatorów, lecz w górę kilka procent, które niemal wszędzie na Zachodzie płaci wyższe podatki, tylko nie w Polsce.

Z drugiej strony dane GUS pokazują, że rozkład płac stał się trochę bardziej egalitarny. Po pierwsze mediana nieco zbliżyła się do średniej. W 2014 r. wyniosła 80,1 proc. przeciętnego wynagrodzenia, a w 2016 r. 80,8 proc. Wyraźnie spadł odsetek osób najmniej zarabiających. W 2014 r. mniej niż połowa średniego wynagrodzenia zarabiała aż 19 proc. polskich pracujących. Minimalnie spadł też odsetek osób zarabiających dwie średnie krajowe lub więcej – w 2014 r. wynosił on 6,4 proc. W 2016 r. mieliśmy więc do czynienia z niewielkim, ale widocznym spłaszczeniem płac.

Mała firma mało płaci

Największym jednak echem w mediach po ogłoszeniu raportu odbił się inny wskaźnik, czyli najczęściej otrzymywane wynagrodzenie, zwane dominantą. Wyniosła ona 2074 zł, a więc 1512 zł na rękę. Najczęstszą płacą w Polsce była więc pensja ledwo przewyższająca płacę minimalną. Co więcej, w ciągu tych dwóch lat wyraźnie... spadła. W 2014 r. wyniosła 2469 zł brutto. Niektórzy komentujący stwierdzili, że to dowód na powiększenie się nierówności oraz pogorszenie się sytuacji na rynku pracy. To jednak nieprawda – spadek dominanty nic takiego nie mówi. W gruncie rzeczy może oznaczać zarówno spadek płac osób mniej zarabiających, jak i ich wzrost. Wystarczyłoby, że osoby zarabiające w 2014 r. mniej niż 2074 zł po dwóch latach masowo się podciągnęły do tego poziomu, przez co stały się największą grupą zarobkową. W takiej sytuacji spadek dominanty byłby wręcz przejawem zjawiska pozytywnego.

Tak więc przy bliższej lekturze raportu GUS wyłania się nie całkiem jednoznaczny obraz: płace w Polsce wciąż są na niskim poziomie, a ich podział jest nierówny. Notujemy natomiast zarówno wyraźny wzrost zarobków, jak i widoczne spłaszczenie krzywej pokazującej, do jakiego stopnia ich rozkład jest nierówny.

Warto jednak mieć w pamięci, że wszystkie przytoczone tu dane obejmują tylko przedsiębiorstwa zatrudniające więcej niż dziewięć osób. Tymczasem ponad 16 proc. Polaków pracuje w mikrofirmach nieobjętych tym badaniem GUS. A w nich zarabia się wyraźnie mniej. W 2015 r. średnie wynagrodzenie w przedsiębiorstwach, które zatrudniają nie więcej niż dziewięciu pracowników, wyniosło 2,4 tys. zł brutto i stanowiło zaledwie 62 proc. średniej krajowej. A zatem średnia i mediana obejmujące wszystkich zatrudnionych byłyby jeszcze niższe. ©

Czas na przeżywanie

MARCIN ŻYŁA

Sześć lat po awaryjnym lądowaniu kapitana Tadeusza Wrony ukazał się końcowy raport w sprawie przyczyn wypadku. O ostatnich minutach tamtego rejsu opowiada „Tygodnikowi” szef pokładu boeinga.

TO BYŁO KATHARSIS: 1 LISTOPADA 2011 R., półtora roku po katastrofie smoleńskiej, w której 96 osób zginęło wskutek niechlujstwa i lekceważenia procedur, w Warszawie kapitan Tadeusz Wrona wylądował awaryjnie boeingiem 767 bez podwozia. Największej w historii polskiego lotnictwa katastrofie zapobiegły nie tylko umiejętności załogi. „Lider, organizacja i planowanie tego lądowania były tak samo istotne jak umiejętności pilotażu” – tymi słowami komplementował personel LOT-u i Lotniska Chopina Chesley Sullenberger, który wcześniej wodował pasażerskiego airbusa na rzece Hudson w Nowym Jorku.

Imponujące lądowanie oraz ewakuacja pasażerów, w czasie której nikt nie odniósł obrażeń, pomogły przywrócić nadwerężone po Smoleńsku zaufanie do procedur i instytucji. Wrona stał się w Polsce bohaterem; wraz z drugim pilotem Jerzym Szwarem i ośmioosobową załogą został szybko odznaczony przez prezydenta.

Sześć lat później wiemy już, że podczas ostatnich, krytycznych 80 minut lotu nie

wszystko zadziało tak, jak powinno. Pod koniec grudnia Państwowa Komisja Badania Wypadków Lotniczych opublikowała końcowy raport w sprawie wypadku. Jego lektura daje pojęcie o tym, co dokładnie działo się na pokładzie lotowskiego boeinga i na warszawskim lotnisku.

Awaria: wiedzą trzy osoby

Jerzy Konofalski, podczas tamtego lotu szef pokładu, odpowiedzialny za kabinę pasażerską, wspominać wypadek zaczyna od kwestii czasu: – Pracuję w powietrzu 45 lat, miałem kilka sytuacji awaryjnych. Z psychologicznego punktu widzenia im więcej jest czasu, tym gorzej. Upływ czasu działał wtedy na niekorzyść naszych emocji.

Oprócz dwóch pilotów Konofalski był jedyną na pokładzie osobą, która już od startu w amerykańskim Newark wiedziała, że samolot ma poważną usterkę. Awaria nie zagrażała bezpieczeństwu lotu, więc po konsultacji z centrum operacyjnym LOT-u w Warszawie kapitan zdecydował się na kontynuację podróży. Dla drugiego pilota, Jerzego Szwarca, był to już drugi lot przez

Atlantyk ze świadomością, że przed lądowaniem podwozie będzie trzeba otworzyć przy pomocy systemu alternatywnego.

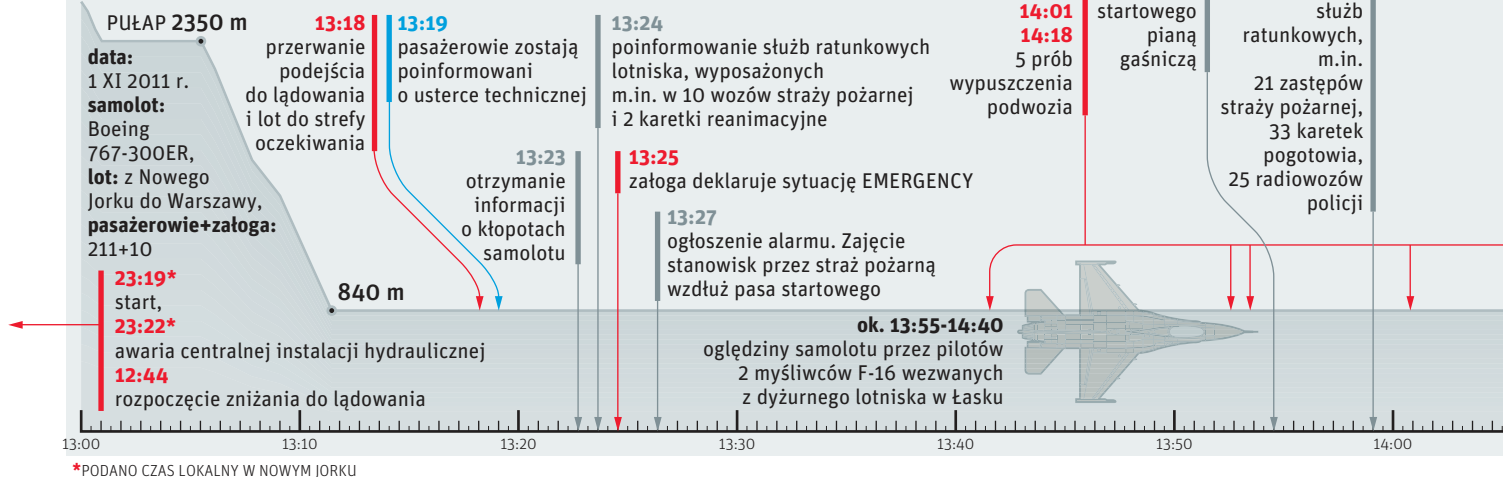
– Liczyliśmy się z tym, że mogą nie zadziałać klapy i będziemy lądować z większą niż zwykle prędkością – mówi „Tygodnikowi” szef pokładu. – Ale nikomu do głowy nie przyszło, że sytuacja będzie aż tak poważna. Nie niepokoiłem tym swoich dziewczyn i chłopaków. Wystarczyła świadomość, że my wiemy.

Raport Państwowej Komisji Badania Wypadków Lotniczych wymienia trzy przyczyny wypadku – bo tak, pomimo braku ofiar, klasyfikowane jest awaryjne lądowanie boeinga: uszkodzenie przewodu hydraulicznego (które spowodowało niemożność opuszczenia podwozia w sposób



NAJWAŻNIEJSZE FAKTY KOŃCOWEJ FAZY LOTU

■ SAMOLOT ■ PRZEDZIAŁ PASAŻERSKI ■ LOTNISKO





SŁAWOMIR GÓRECKI / FOTONOWA

Ewakuacja boeinga – zdjęcie wykonane przez jednego z pasażerów, Warszawa, 1 listopada 2011 r.

uległ awarii po starcie – biuletyn ten był jednak nieobowiązkowy, LOT postanowił go nie realizować).

Nerwy w kokpicie

Faza krytyczna lotu zaczyna się o godz. 13.18 czasu polskiego – na 80 minut przed lądowaniem, kiedy, na skutek wyłączonego bezpiecznika, nie udaje się opuszczenie podwozia przy pomocy systemu alternatywnego. Wtedy zaczyna się odliczanie.

Samolot zostaje skierowany na tzw. holding – od tego momentu przez kilkadziesiąt minut będzie krążył na południowy wschód od Warszawy. To standardowa procedura: samoloty często oczekują tak na miejsce w kolejce do lądowania lub poprawę pogody. Kłopot w tym, że dopiero teraz załogę zostaje umożliwiony kontakt z ekspertem na ziemi.

Każda linia lotnicza utrzymuje całodobowy dyżur mechaników, techników i informatyków, którzy są dostępni dla załóg w powietrzu. Ale 1 listopada 2011 r. w Warszawie nie obywa się bez kłopotów. Radiostacja eksperta okazuje się niesprawną; musi on pojechać do Centrum Operacyjnego LOT-u, które znajduje się poza lotniskiem. „Skróciło to efektywny czas wsparcia załogi przez mechanika z około godziny do 43 minut” – czytamy w raporcie. Czy gdyby czasu było więcej, lądowania bez podwozia można byłoby uniknąć?

Tymczasem w kokpicie, na polecenie kapitana i konsultując się z Centrum Operacyjnym, drugi pilot sprawdza przełącz-

nik awaryjnego wypuszczania podwozia, a także bezpieczniki. Dwukrotnie wychodzi z fotela, przesuwa go, żeby widzieć panel w całości, i klęcząc ogląda panel, na którym znajduje się ponad 50 bezpieczników. Wszystko sprawdzone – brzmi meldunek. Konofalski monitoruje czynności Szwarca. Do dziś mówi, że wszystkie bezpieczniki wydawały się wtedy być włączone.

Z Warszawy nie nadchodzi wsparcie. – Wystarczyłoby jedno trafne polecenie z ziemi: o zresetowaniu właściwego bezpiecznika, i nie mielibyśmy teraz o czym rozmawiać. Samolot wylądowałby z podwoziem – mówi Konofalski.

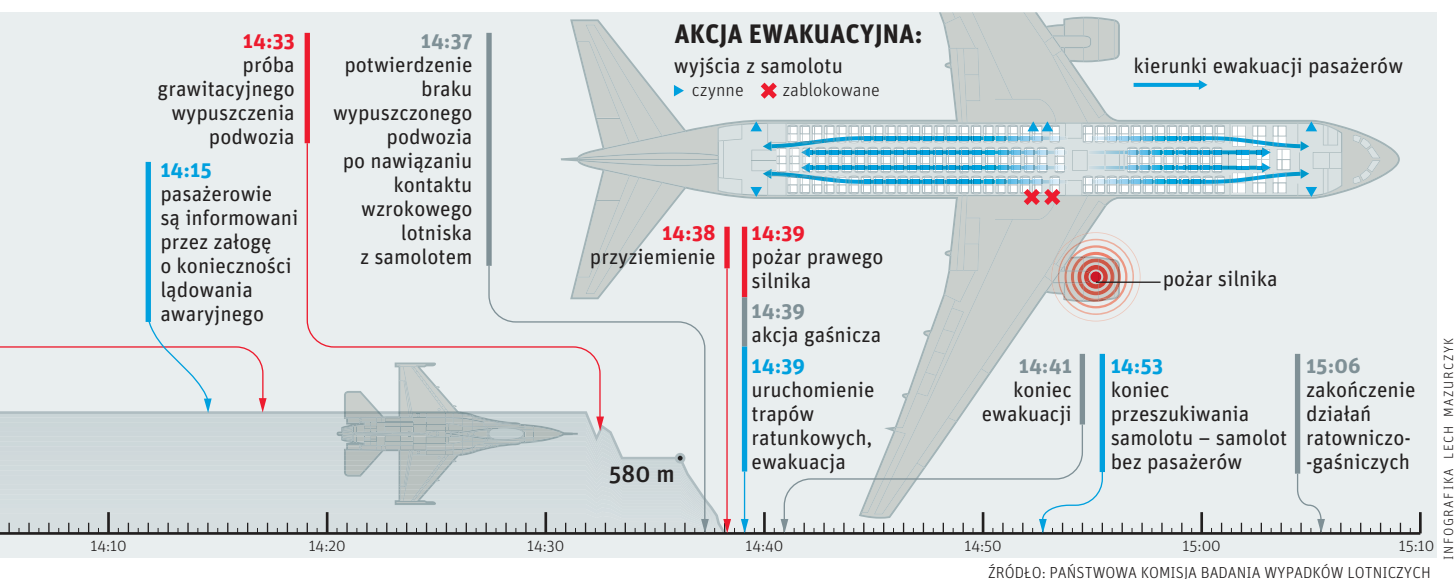
Dlaczego trzy osoby nie zauważyły wyciągniętego bezpiecznika? Elżbieta Stolarek, autorka ekspertyzy psychologicznej działania załogi, pisze w raporcie, że po długim locie ze świadomością awarii obniża się czujność. Dochodzi do zawężenia percepcji wzrokowej: „koncentracja uwagi na określonym odcinku sensorycznego pola pracy sprawia, że nie spostrzega się bodźców występujących w obwodowym polu widzenia”. Zachodzi zjawisko tzw. widzenia tunelowego, pomijania informacji ważnych.

„Przypadkowe niezamierzone wyłączenie bezpiecznika C829 podczas lotu LO 16 jest bardzo prawdopodobne” – orzeka w raporcie Państwowa Komisja Badania Wypadków Lotniczych. Ale stwierdza też, że nie można uznać, iż to załoga wyłączyła przypadkowo bezpiecznik.

Tymczasem sytuacja psychologiczna w kokpicie się pogarsza. Okazuje się, że lista kontrolna – instrukcja postępowania w konkretnych sytuacjach – nie zawiera wskazówek, co robić w przypadku →

standardowy), otwarty bezpiecznik (który w warunkach niesprawności głównego systemu przerwał obwód zasilania instalacji awaryjnego otwierania podwozia), wreszcie: niewykrycie przez załogę otwartego bezpiecznika (system awaryjny zadziałałby, gdyby bezpiecznik był zamknięty).

Komisja wymieniła też cztery „czynniki sprzyjające zaistnieniu zdarzenia”: brak osłon na bezpieczniku, jego skrajną, utrudniającą obserwację pozycję (znajdował się tuż nad podłogą, blisko prawej krawędzi fotela). Ale także: brak skutecznych procedur w Centrum Operacyjnym PLL LOT i niewykonanie przez LOT jednego z wcześniejszych biuletynów Boeinga (chodzi o tzw. biuletyn serwisowy, dotyczący instalacji przewodu hydraulicznego, który



→ niezadziałania obu systemów wypuszczania podwozia. „Piloty stracili zaufanie do podstawowego dokumentu i byli zmuszeni do szybkiego poszukiwania brakujących informacji niezbędnych do rozwiązania problemu. Wystąpiła skrajna maksymalizacja wysiłku poznawczego” – czytamy w raporcie.

Kapitan Wrona mówił później, że był skoncentrowany na monitorowaniu lotu. Prowadził korespondencję radiową z kontrolą lotów, Centrum Operacyjnym oraz pilotami dwóch myśliwców F-16, które zbliżają się do boeinga, żeby dokonać oględzin z zewnątrz.

Jerzy Konofalski: – Kiedy próbowaliśmy coś znaleźć w instrukcjach, dowódca strażcy zapytał przez radio, czy kapitan życzy sobie pianę na pasie. Spojrzeliśmy po sobie ze zdziwieniem. Powiedziałem do Tadka: „To oni się ciebie pytają, czy sobie życzysz? To jest koncert życzeń?”. Kapitan odpowiedział: „Proszę postępować zgodnie z procedurą”. To oni powinni wiedzieć, czy pianą nam pomoże, czy nie.

Jest wczesne popołudnie, 1 listopada, dzień Wszystkich Świętych. Niektórzy krewni członków załogi dowiadują się o sytuacji awaryjnej od znajomych pracujących na Okęciu w drodze z cmentarza.

Spokój na pokładzie

O tym, jak wyglądało przygotowanie pasażerów, opowiadano potem legendy. Jedna z nich głosi, że w ramach odstresowania załoga puściła pasażerom „Bolka i Lolka” – kreskówki miały odciągnąć ich uwagę od sytuacji w samolocie. Zaprzecza temu Jerzy Konofalski: – Nie pamiętam nawet, czy mieliśmy „Bolka i Lolka” w naszym systemie rozrywki pokładowej.

Szef pokładu tłumaczy: – Postanowiłem, że o tym, iż decydujemy się na awaryjne lądowanie, powiem swojemu zespołowi dopiero wtedy, gdy do przyziemienia zostanie ok. 25 minut. Po sobie i kolegach lotnikach widziałem, że informowanie ich wcześniej nie miało sensu. Chciałem skrócić reszcie do minimum czas na przeżywanie.

Upływ czasu jest coraz bardziej nie do zniesienia: niektórym trudno szacować, czy latają już nad Warszawą godzinę, czy dwie. – Kiedy wypaliliśmy paliwo na tyle, że zostało go tylko na ewentualne odejście na drugi krąg, wszyscy pomyśleli: „Niech to się wreszcie skończy. Dobrze albo źle, ale niech się skończy” – mówi Konofalski.

Formułka przygotowania pasażerów do awaryjnego lądowania jest dość długa, odczytuje się ją w języku polskim i angielskim. Zaczyna się od słów: „Kapitan poinformował nas, że z przyczyn technicz-

Jerzy Konofalski:

Kiedy wypaliliśmy paliwo na tyle, że zostało go tylko na ewentualne odejście na drugi krąg, wszyscy pomyśleli: „Niech to się wreszcie skończy. Dobrze albo źle, ale niech się skończy”.

nych...”. – Miałem kłopot z gardłem i bałem się, że załamię mi się głos, a pasażerowie w takich sytuacjach są bardzo wrażliwi – opowiada szef pokładu. – Kolega, któremu poleciłem odczytanie tekstu, zrobił to spokojnym, pewnym głosem, niczym lektor radiowy. To plus profesjonalne zachowanie koleżanek na pewno przełożyło się na spokój pasażerów.

Kiedy wiadomo było już, że samolot będzie lądował awaryjnie, załoga pokładowa wybiera i szkoli szesnastu pasażerów, którzy mają pomagać innym w czasie ewakuacji (tzw. AP – *assistant passenger*). Niektórzy mają problem z koncentracją, docierają do nich tylko proste komendy. Załoga rezygnuje z posługiwania się tekstem z podręcznika, zaczyna używać własnych słów.

– Wielu pasażerom dopiero przygotowanie kabiny do awaryjnego lądowania uzmysłowiło, że dzieje się coś poważnego – mówi Konofalski. – Ale prawda jest taka, że do końca ich trochę oszukiwaliśmy. Nie mówiliśmy, że podwozie nie wychodzi, tylko że mamy z nim kłopot. Cała prawda nie była wtedy nikomu potrzebna.

– Jak brzmiał komunikat?

– Że na skutek usterki technicznej będziemy lądować awaryjnie. Tyle.

Załoga pokładowa jest zaskoczona spokojem, jaki panuje przed lądowaniem w ostatnich sekundach lotu. Kilka osób zaczyna się modlić na głos, kilka – płacze.

Brawa za lądowanie

O godz. 14.38 lotowski boeing przyziemia z prędkością 235 km/h na drodze startowej nr 33 warszawskiego lotniska. Samolot dotyka pasa tylną częścią ogona i łagodnie kładzie się na przedniej części kadłuba. Waży 118 ton, w zbiornikach ma jeszcze 1,6 t paliwa. Tarcie gondoli prawego silnika o ziemię wywołuje iskry i niewielki pożar, który chwilę potem ugaszą strażacy.

Kapitan Chesley Sullenberger, ten od „cudu na rzece Hudson”, będzie potem ko-

mentował: „Dwie rzeczy różniło to lądowanie od normalnego. Bez wysuniętego podwozia, podczas przyziemienia samolot znajdował się niżej, bliżej ziemi niż zwykle – piloty mieli przez okna w kokpicie inną perspektywę. Po drugie, nie było możliwości sterowania samolotem na pasie przy pomocy przedniego podwozia”.

Sunąc samolotem po pasie, kapitan Wrona może używać wyłącznie steru kierunku – im mniejsza prędkość, tym jest to trudniejsze. Ale boeing przemieszcza się idealnie wzdłuż środkowej osi pasa. Zatrzymuje się po 45 sekundach.

– Wszystko nam pomagało: pogoda, brak wiatru. Przecież wystarczy, żeby dmuchnął leciuteczki wiatr z boku, byśmy poszli z pasa w trawę, gondola silnika by złapała ziemię, byłaby wywrotka – mówi Konofalski. I dodaje: – Po lądowaniu awaryjnym czeka się na ewentualną komendę do ewakuacji z kokpitu. Powiedziałem jednak zespołowi: „Jeśli z kokpitu nie padnie komenda »ewakuacja«, a wy nie będziecie mieli żadnych złudzeń, że podwozia nie ma, po zatrzymaniu samolotu macie natychmiast otwierać drzwi, nie czekać na komendę”. Dziewczyny z tyłu kabiny nie miały złudzeń; gdy tylko samolot dotknął ziemi tylną częścią ogona, słyszały, że trzemy brzuchem samolotu o pas. Ale u nas z przodu wszystko odbywało się w kompletnej ciszy i łagodności. Pasażerowie zaczęli bić brawo, bo byli przekonani, że mamy podwozie. Ich emocje przeniosły się też na mnie. Na krótki moment sam uwierzyłem, że wyładowaliśmy z podwoziem. Wszedłem do kokpitu, aby upewnić się, czy ewakuacja jest konieczna.

Konofalski dodaje jeszcze: – Ewakuacja przebiegała modelowo. Tak, jakbym miał do czynienia z pozorantami podczas ćwiczeń na symulatorze. Nie było żadnego przepychania się. Zawiedli tylko AP, których szkoliliśmy – zajęli miejsce przy wyjściach awaryjnych i pierwsi uciekli. Widziałem przez drzwi, jak pryskają. A przydali się na dole – choćby po to, żeby przechwytywać ludzi zjeżdżających po trapie.

Kiedy wszyscy pasażerowie już wyszli z kabiny i nawet drugi pilot opuścił pokład samolotu, Jerzy Konofalski zatrzymuje się obok kapitana Wrony w przedniej części kabiny. – Staliśmy tak co najmniej z 10 minut. Nie potrafiłmy sobie potem w racjonalny sposób wytłumaczyć, dlaczego. Może stojąc tam, chcieliśmy się przekonać, że wszystko się udało? A może to był ten czas, który tak przyspieszył przed lądowaniem – i w ten sposób chcieliśmy go odzyskać?

©P

MARCIN ŻYŁA

ANNA

Dziewit-Meller:

Jak być leniwym



W OKRESIE NOWOROCZNYM, PRÓCZ TRADYCYJNYCH rodzinnych awantur o politykę przy wigilijnym stole, sylwestrowych frustracji związanych a to z niemożliwością wciśnięcia spasionych karpami ciał w zeszłoroczne kreacje, a to – jak ponoć było w Zakopanem na dworcu – niemożnością wciśnięcia się do składu odjeżdżającego do Krakowa, prócz przeżarcia, przepicia i przeinwestowania, są pewne rzeczy, na które można czekać cały kolejny rok z utęsknieniem.

Dla mnie kluczowe w tym czasie jest owo – usankcjonowane obyczajem – prawo do nieobarczonej poczuciem winy NUDY. Raz do roku bowiem, w czasie gdy gwiazdy prowadzą do Betlejem, nikt nie może czynić ni nam, ni sobie samemu wyrzutów z powodu tego, że przez pół dnia leżymy rozwaleni na kanapie przed telewizorem albo na fotelu z książką, albo dalebóg nawet w łóżku, jeśli najdzie nas taka chętka. Jeśli nie jest strażakiem, lekarzem, co dyżuruje, albo pracownikiem stacji benzynowej – leż i nie podnoś głowy, chyba że pożar.

Ja w tych dniach zawieszonych między Starym a Nowym, ukrytych gdzieś w mroku grudnia i rozwałkowanych w długie godziny, które jako żywo przypominają wnętrze krówki ciągutki – są kojące, miękkie i słodkie – uwielbiam czytać tę samą wspaniałą książkę, którą gorąco Państwu polecę, choćby po to, byście nabrali odwagi w próżnowaniu za rok, a może nawet zdecydowali się na ten śmiały ruch wcześniej.

„Jak być leniwym” Toma Hodgkinsona to rzecz, której wymiętolony egzemplarz trzymam przy łóżku w domu na wsi, i który stosuję niczym terapię w chwilach, gdy mój wrodzony, śląski pracoholizm odbija się na moim zdrowiu i czyni mnie do głębi nieszczęśliwą.

Ten zbiór krótkich esejów pisarza i wydawcy miesięcznika „Idler” to balsam dla duszy udręczonej robotą na czterech etatach i nocnymi atakami paniki, gdy ze snu wyrывa mnie wizja wielkiej wskazówki zegara docierającej do godziny, która nazywa się *deadline* i jest zaiste śmiertelna.

Tu bowiem na trzystu stronach wielkie umysły wszech czasów przekonują mnie usilnie, że mój brak ochoty i woli do roboty, który mnie (z rzadka niestety) dopada, to nie tylko nic złego, ale wręcz przeciwnie.

„W dzisiejszych czasach – pisze w 1888 r. Robert Louis Stevenson – gdy każdy pod rygorem skazania za obrazę moralności publicznej jest zobowiązany do zatrudnienia na lukratywnej posadzie i pracowania tamże z entuzjazmem, głos ze strony przeciwnej, która zadowala się zyskiem wystarczającym, a poza tym lubi się rozglądać i cieszyć życiem, brzmi niemalże brawurowo i ryzykancko. A tak być nie powinno. Tak zwane próżnowanie, które nie polega na nierobieniu niczego, ale na robieniu wielu rzeczy nieuznawanych przez dogmaty klasy rządzącej, ma takie samo prawo bytu, co pracowitość”.

Z pomocą pragnącym nudy przychodzi też Kartezjusz, który beczyność cenił wielce i nawet wiadra zimnej wody, które

wylewali nań co rano jezuici, u których pomieszkował, nie były w stanie zmusić go do zrywania się na jutrznię, wołał bowiem poleżeć sobie dłużej i w łóżku pracować nad (kartezjańskim, rzecz jasna) dualizmem.

Władza nie lubi nierobów, to element podejrzany, potencjalnie wywrotowy, taki, który trzeba zaprząć do roboty, aby nie pozostawić mu miejsca na zbyt intensywne drapanie się po głowie. Rzucić tu można śmiało argumentem *ad Hitlerum* i napisać, że 29 stycznia 1938 r. Heinrich Himmler zarządził, aby wszyscy obywatele Rzeszy „uchylający się od pracy” zostali natychmiast wsadzeni do obozów, co też się stało, zaś w Buchenwaldzie ludzie ci otrzymali czarny trójkąt przyszyty do ubrań jako wyrazny znak tego, który z grzechów sprowadził ich tu pomiędzy ludzi z żółtą gwiazdą i różowym trójkątem.

A przecież, jeśli wierzyć Oscarowi Wilde’owi, próżniacy to sól ziemi. „Ludzie do tego stopnia podlegają tyranii tego okropnego ideału społecznego, że spotykając się, przystępują do ciebie z całą beczelnością i pytają się na cały głos »co pan teraz robi?«. Człowiek kulturalny zaś zapytałby szeptem »nad czym pan rozmyśla?«. Kontemplacja jest w opinii społeczeństwa najcięższym grzechem, jakiego obywatel może się dopuścić, a ze stanowiska etyki jest jedynym zajęciem godnym człowieka”.

Hodgkinson przywołuje wielokrotnie Obłomowa, bohatera powieści Iwana Gonczarowa, człowieka niejako genetycznie niezdolnego do pracy, który gdy został na krótką chwilę urzędnikiem carskiego aparatu administracji, wzywanych nocami przez zwierzchników, by czynić jakieś niemające znaczenia ni sensu notatki z wizytacji, pytał retorycznie: „Kiedy więc żyć? Kiedy żyć?”, i miał rację – no kiedy?

„»Panie, czy Ci to obojętne, że moja siostra zostawiła mnie samą przy usługiwaniu? Powiedz jej, żeby mi pomogła«”. Pan jej odpowiedział: »Marto, Marto, troszczysz się i niepokoisz o wiele, a potrzeba mało albo tylko jednego. Maria obrała najlepszą część, której nie będzie pozbawiona«” (Łk 10, 40).

Demaskujemy więc zachodnią kulturę pracy do utraty tchu, obnażając paradoksy jej etosu, który nas wyniszcza, choć wmawia nam, że nas buduje. Łódźka pełna niedojedzonych resztek ze świąt niech będzie symbolem – za dzień, dwa wszystkie stare śledzie i coraz mniej świeże pieczenie noworoczne, których już nie sposób zjeść, trafią do kosza. Troszczymy się i niepokoiimy o wiele, a potrzeba nam mało. ©

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie, Wydziałem I Cywilnym, przy ul. Wrocławskiej 6, toczy się pod sygn. I Ns 89/17 postępowanie z wniosku Elżbiety Muc i Leszka Muca, o stwierdzenie nabycia własności nieruchomości przez zasiedzenie. Wniosek dotyczy zabudowanej nieruchomości położonej w Cielczu, oznaczonej na mapie do zasiedzenia z 22 września 2017 r.:

- jako działka 562/5 o powierzchni 0,02,81 ha,
- jako działka 562/3 o powierzchni 0,01,30 ha,

wchodzącej w skład większej nieruchomości, dla której prowadzona była księga wieczysta Cielcza k. 64, gdzie wpisanym właścicielem była Bolesława Koras.

Sąd zwoła zainteresowanych, by w terminie 3 miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili swe prawa, gdyż w przeciwnym razie postępowanie będzie się toczyć bez ich udziału.

OGŁOSZENIE

CZY BÓG KUSI

Tłumaczenie wersetu Modlitwy Pańskiej
– „I nie wódź nas na pokuszenie”
– sprawia teologiczny i duszpasterski kłopot.
Być może niedługo to się zmieni.

MICHAŁ RYCHERT

W GRUDNIU W KOŚCIELE FRANCUSKIM weszło w życie nowe sformułowanie szóstej prośby Modlitwy Pańskiej, które dotychczas brzmiało: „I nie wódź nas na pokuszenie” (Mt 6, 13). Celem zmiany jest uniknięcie dwuznaczności tradycyjnego tekstu mogącego sugerować, że Bóg kusi ludzi do złego.

Nie była to pierwsza próba tego rodzaju – problem jest dyskutowany od wielu lat – ale może się okazać, że ta będzie ostatnia. Sprawą zajął się Watykan. Papież wyraził życzenie, aby uległy zmianie słowa szóstej prośby. Na antenie TV 2000 w odcinku poświęconym modlitwie „Ojciec nasz” Franciszek powiedział: „To ja upadam, a nie On popycha mnie ku pokusie, aby zobaczyć potem, jak upadłem, bo żaden ojciec tak nie postępuje. Ojciec pomaga, by podnieść się od razu. Tym, kto wodzi cię na pokuszenie, jest szatan, to jego praca”. Zdaniem papieża modlitewna prośba została źle przetłumaczona. Kwestionowane słowa mają być zastąpione określeniem „nie pozwól, abyśmy ulegli pokusie”.

Potrzeba wyjaśnienia

Przez stulecia egzegeci i wierni mieli trudność z treścią szóstej prośby, bo czy rzeczywiście Bóg może kusić człowieka? Słowa te wywoływały niepokój. Już św. Jakub w swoim liście próbuje sprostować tę kwestię: „Kto doznaje pokusy, niech nie mówi: że Bóg go kusi. Bóg bowiem ani nie podlega pokusie ku złemu, ani też nikogo nie kusi. To własna pożądliwość wystawia każdego na pokusę i nęci. Następnie pożądliwość, gdy pocznie, rodzi grzech, a skoro

grzech dojrzeje, przynosi śmierć. Nie dajcie się zwodzić, bracia moi umiłowani!” (Jk 1, 13-16).

Wcześniej temat pochodzenia zła został podjęty w księdze Syracha: „Nie mów: »Pan sprawił, że zgrzeszyłem«, czego On nienawidzi, tego On nie będzie czynił. Nie mów: »On mnie w błąd wprowadził«, albowiem On nie potrzebuje grzesznika. Pan nienawidzi wszystkiego, co wstrętne, i nie pozwala, by ci, którzy się Go boją, mieli z tym styczność” (Syr 15, 11-14). Bóg nie może kusić człowieka, ponieważ oznaczałoby to, że pragnie dla nas zła – takie jest zgodne świadectwo Biblii.

Bóg wystawia na próbę

Dopóki człowiek nie osiągnął możliwości badania świata i poznawania naturalnych przyczyn różnych zjawisk i zachowań ludzkich, za którym stoi autonomia świata, wszystko przypisywał siłom nadprzyrodzonym. Świat był pełen bogów, a każdy z nich odpowiadał za swój rewir. W przypadku wiary monoteistycznej Jedyń Bóg jako Stwórca i Pan całego świata był uważany za źródło wszystkiego. Bóg jawił się więc również jako ten, który dopuszcza na człowieka różnego rodzaju zło, tak jak w przypadku Hioba. Echo tego rodzaju myślenia pojawia się w szóstej prośbie. Protagonistą, stroną działającą prośby jest faktycznie Bóg. Rodzi się zatem pytanie, czy Bóg kusi, czy doświadczają.

Gerhard Lohfink, niemiecki egzegeta Nowego Testamentu, chcąc dotrzeć do głównej treści szóstej prośby, wskazuje na te fragmenty Pisma Świętego, które





Duccio „Kuszenie Jezusa”, Frick Collection, Nowy Jork

→ mówią o tym, że Bóg poddaje próbie wiarę człowieka. W Księdze Rodzaju czytamy, że „Bóg wystawił Abrahama na próbę” (Rdz 22, 1), nakazując złożyć w ofierze całopalnej dużego wycekiwanego, jedynego syna Izaaka. Hebrajskie sformułowanie „wystawić na próbę” w greckim tłumaczeniu Septuaginty znajduje odpowiednik w pojęciu *epeirazen*, to jest dokładnie takim, który w formie rzeczownikowej (pokusa, próba, doświadczenie – gr. *peirasmon*) znajduje się w szóstej prośbie Modlitwy Pańskiej. O ile tekst grecki zostawia kwestię otwartą, czy chodzi o doświadczenie, czy pokusę, o tyle Wulgata (tłumaczenie Biblii na łacinę dokonane przez św. Hieronima) nadając prośbie brzmienie: „*Et ne nos inducas in tentationem*” jednoznacznie wskazuje, że chodzi o pokusę – *temptatio* – namowę do złego. Problemem jest więc sposób tłumaczenia.

W przekładzie interlinearnym (Remigiusz Popowski i Michał Wojciechowski, 1994) prośba ta dosłownie brzmi następująco: „i nie wprowadź nas w doświadczenie”. „Doświadczenie” (gr. *peirasmon*) nie oznacza wyłącznie kuszenia do złego, zauważa Lohfink, chodzi raczej o próbę, a nie namowę do złego. Historia Abrahama ukazuje nam, że Bóg nie chce zła ani dla Abrahama, ani dla Izaaka, usiłuje jedynie wypróbować jego wiarę.

Również naród wybrany, przemierzając pustynię w drodze do Ziemi Obiecanej, znalazł się w różnych sytuacjach, które stały się okazją sprawdzenia wiary. Brak jedzenia, pragnienie, nieobecność Mojżesza, zagrożenia ze strony innych plemion to sytuacje, które obnażały słabość ludu Izraela. Wobec każdej z tych trudności Żydzi buntowali się, okazywali brak zaufania aż po bałwochwalczy taniec wokół cielca. W ujęciu retrospektywnym natchniony autor podsumowuje czterdziestoletni okres: „Utrpił cię, dał ci odczuć głód, żywił cię manną, której nie znależś ani ty, ani twój przodekowie, bo chciał ci dać poznać, że nie samym tylko chlebem żyje człowiek, ale człowiek żyje wszystkim, co pochodzi z ust Pana” (Pwt 8, 2-3). Z tej perspektywy staje się jasne, że szósta prośba – jak zauważa Lohfink – wyraża pragnienie, które można streścić słowami: „Nie wprowadzaj nas w sytuację próby, które mogą przekraczać nasze siły”.

Z różnych miejsc Biblii i z własnego doświadczenia wiemy, że pewne wydarzenia i sytuacje pełnią dla nas rolę testu wiary. Próbie zostaje poddana nasza wierność, uczciwość, prawdomówność. W „Ojcze nasz” chodzi jednak jeszcze o coś.

Dochowanie wierności

Klucza do właściwego zrozumienia szóstej prośby Modlitwy Pańskiej możemy doszukiwać się w próbie, jakiej został poddany Jezus na progu swojej misji. Synoptycy zgodnie zapisują, że po chrzcie w Jordanie „Duch wyprowadził Go na pustynię – po czym przez czterdzieści dni przebywał na pustyni, kuszony przez szatana” (Mk 1, 12). Sytuacja ta pokazuje, że Bóg sam nie kusi do zła, ale wprowadza w sytuację, w której Jezus jest kuszony przez Szatana. Jezus został poddany próbie podobnej do tej, której był poddany Izrael na pustyni. Z opisu kuszenia widzimy, że pokusie została poddana nie tyle Jego moralność, ostatecznie nie chodzi też o pokusy, na jakie wszyscy jesteśmy narażeni. Chodzi – jak podkreśla to Lohfink – o coś znacznie ważniejszego i fundamentalnego: próbie zostaje poddane Jego powołanie!

Kusiciel trzy razy usiłuje zwiść Jezusa. Trzy razy chce Go skłonić do odstąpienia od Jego misji. Mami łatwiejszą, wygodniejszą drogą, aby Jezus odstąpił od swojej drogi, zadania i zaparł się mesjańskiego powołania. Po co cierpieć głód, po co dokonywać wielu niejednoznacznych znaków (Mk 3, 22), wreszcie umierać na krzyżu, wystarczy kamienie przemienić w chleb, jeden widowiskowy pokaz możliwości, wreszcie wystarczy skłonić się – ulec Szatanowi, a cel zostanie osiągnięty. Jezus trzy razy odpowiada cytatami z Biblii, dając wyraz wierności misji, jaką ma podjąć. Jest nią zapoczątkowanie ostatecznego panowania Boga. W „Ojcze nasz” chodzi przecież o królestwo Boże, wszystkie prośby tej modlitwy są podporządkowane temu jednemu celowi.

W Ewangelii Mateusza słowa „Ojcze nasz” padają w kontekście Kazania na Górze, konstytucji królestwa Bożego. W tej mowie zawarte są fundamentalne słowa dla zrozumienia misji uczniów Jezusa, nas chrześcijan: „Wy jesteście solą dla ziemi... Wy jesteście światłem świata” (Mt 5, 13-14). Sól może jednak utracić swój smak, a knot może zostać zgaszony. Wyznawcy Jezusa powinni wciąż modlić się modlitwą, której nauczył nas Pan, bynajmniej nie po to, aby zaznać sytości chleba, zdrowia i pomyślności, ale aby pod wpływem trudności, przesładowań lub pokusy bogactwa, władzy i pychy tego żywota nie zaprzecić swojej misji, swojego powołania. Największą a zarazem fundamentalną pokusą, przed którą stoi wierzący, jest pokusa sprzeniewierzenia się własnemu powołaniu.

Królestwo Boże tylko wówczas może się rozwijać, jeśli znajdują się ci, którzy będą w stanie, w mocy wiary, całkowicie

powierzyć się Bogu i Jego sprawie. Autor Listu do Hebrajczyków, świadomy przeciwności i słabości ludzkiej, wzywa: „Dlatego [postępujcie], jak mówi Duch Święty: Dziś, jeśli głos Jego usłyszycie, nie zatawardzajcie serc waszych” (Hbr 3, 7-8). Innymi słowy, podejmujcie w posłuszeństwie wiary drogę powołania, którą wskazuje Bóg.

Spór o brzmienie prośby

Ks. Antoni Paciorek, autor obszernego komentarza do Ewangelii Mateusza (Edycja Św. Pawła, 2005), widzi możliwość, aby szósta prośba przyjęła postać: „Spraw, abyśmy nie ulegli pokusie”, a więc taką, jaką zaproponował Franciszek i jaką podaje Biblia Tysiąclecia. Taki sens tej prośby – wyjaśnia ks. Paciorek – wynikałby z czytania tekstu greckiego w duchu aramejskim. Sam jednak opowiada się za zachowaniem przekładu dosłownego. Argumentem jest fakt, że szósta prośba wyjaśnia się niejako sama za sprawą ostatniej, siódmej prośby przekazanej przez Mateusza: „ale nas zbaw ode złego”.

Nawet najpoważniejsze argumenty egzegetyczne muszą wziąć pod uwagę aspekt pastoralny Modlitwy Pańskiej, jej znaczenie i pozycję, jaką zachowuje w życiu chrześcijańskim. Jezus przekazał nam słowa „Ojcze nasz”, abyśmy się nimi modlili, a nie abyśmy nad nimi prowadzili uczone dysputy. Dla wielu chrześcijan są to jedyne słowa Pisma Świętego, które znają i recytują. Słowa tej modlitwy powinny zatem wyrażać w sposób czytelny, zrozumiały i jednoznaczny swój właściwy i pełny sens, tak aby bez konieczności uciekania się do fachowej wiedzy egzegetycznej modlący się mógł wyrazić swoją ufność Bogu Ojcu bez podejrzliwości i niepokoju.

Z tego względu tłumaczenie i sens dosłowny, który nadal może być przedmiotem badań biblistów, powinien ustąpić sensowi pełnemu, który wyraża najgłębsze znaczenie tekstu, zamierzone przez Boga, nawet jeżeli nie zostało wyrażone bezpośrednio przez autora ludzkiego (por. Papieska Komisja Biblijna, „Interpretacja Biblii w Kościele”; II, B). Papież postuluje, aby każdy chrześcijanin bez wyjątku miał dostęp do tekstu, który wyraża pełny sens szóstej prośby, aby tym samym tekst ten był zrozumiały i w nim kim nie budził wątpliwości wiary. ©

MICHAŁ RYCHERT

Autor jest teologiem i tłumaczem, wydał książkę „Kościół jako społeczność alternatywna”.



GRZEGORZ SKOWRONEK / AGENCJA GAZETA

Jeden, tradycyjny, zbiorowy, niepapieski

JAREMA PIEKUTOWSKI

Statystyki i sondaże pokazują, że polski katolicyzm różni się od tego spotykanego w innych częściach świata. Momentami wydaje się wręcz Kościołem autokefalicznym.

OILE JESZCZE KILKA WIEKÓW TEMU Polacy toczyli spory z papieżem, o tyle wiek XX zdecydowanie był czasem zbliżenia Warszawy i Watykanu. Wydawałoby się, że okres pontyfikatu Jana Pawła II sementował tę więź na długo. Okazało się to jednak złudzeniem. Dzisiejsze kontrowersje, które budzi papież Franciszek w wielu katolickich kręgach, wskazują, że polska religijność katolicka jest pod wieloma względami paradoksalna – a niektóre jej cechy powodują, że staje się unikatowa na mapie Kościoła rzymskokatolickiego, przede wszystkim na tle innych krajów Zachodu.

Razem, nie oddzielnie

Pierwszą cechą, która wyróżnia polską religijność na tle Europy, jest z pewnością silne przywiązanie do praktyk religijnych. Jak wskazują dane European Social Survey, o ile we Francji, Wielkiej Brytanii czy Belgii ponad 50 proc. mieszkańców nigdy nie uczestniczy w obrzędach religijnych (w Czechach: nawet 65 proc.), to w Polsce jest to jedynie 5 proc., i jest to jeden z najniższych odsetków na kontynencie.

Czy oznacza to, że Polacy biorą sobie do serca nauczanie Kościoła, według którego nieobecność na niedzielnej Eucharystii jest grzechem ciężkim? Możliwe. Tylko że jednocześnie nie traktują tak samo poważnie innych zaleceń Kościoła. Indywidualna modlitwa, której praktykowanie Kościół także nakazuje, choć nie pod groźbą popełnienia grzechu ciężkiego, nie jest już tak popularna. Jak wskazuje raport Pew Research Center, codziennie modli się tylko 27 proc. Polaków. Specyficzną cechą polskiego Kościoła jest więc społeczny charakter wyznawanej religii. Łączy się ona z tradycjami rodzinnymi, a bardzo często – także z uczuciami patriotycznymi.

Obraz przedstawia się tak, jakby Kościół rzadziej sam w sobie był punktem odniesienia, a stawał się nim jako część ojczyzny lub jej kultury. W efekcie w tych miejscach, w których Kościół jako instytucja na świecie odbiega od lokalnych zwyczajów czy utartych poglądów lub się im sprzeciwia, Polacy często idą raczej za tym, co lokalne. Dlatego też twarz polskiego Kościoła jest specyficzna.

Szczególne przywiązanie Kościoła do tradycji narodowej nie jest zaskakujące – polski Kościół przez wiele lat stał po stronie Polaków pod zaborami (choć Rzym nie wypowiadał się zdecydowanie przeciwko naszej podległości innym mocarstwom, a wręcz przeciwnie – np. Grzegorz XVI →

→ w encyklice „*Cum primum*” potępił uczestników powstania listopadowego). Następnie – choć przetrzebiony po II wojnie światowej – wziął zdecydowanie stronę obywateli w sporze z władzą komunistyczną.

Dla Polaków przez całe lata Kościół był miejscem schronienia – tam ukojenia szukały matki i żony powstańców i żołnierzy, tam spotykała się antykomunistyczna opozycja, tam przechowywano pamięć o narodowych symbolach. Ów „zbiorowy” i „tradycjonalistyczny” charakter polskiej religijności wiąże się też z jej szczególnym nasileniem na wsi – to stamtąd wywodziła się (zwłaszcza w pierwszych latach po II wojnie światowej) większość księży, to tam naturalny rytm pór roku związany był z rytmem modlitwy.

Zbiorowość i obrzędowość polskiej religijności często nie idą jednak w parze z głębszą refleksją intelektualną, co rzutuje na wiedzę religijną społeczeństwa. Ks. prof. Janusz Mariański, socjolog religii, wskazuje np., że ok. 15 proc. więcej Polaków badanych przez UKSW wierzy w Tróję Świętą niż w osobowego Boga – podczas gdy bez osobowego Boga, logicznie rzecz biorąc, Trójca Święta jest niemożliwa, gdyż składa się z trzech Osób.

Moralność przede wszystkim

Specyfika polskiego Kościoła polega także na położeniu nacisku na nauczanie moralne, zwłaszcza to regulujące codzienne postępowanie i stosunek do obrzędów. Ogólnosiwiatowe badania Center for Applied Science in The Apostolate, działającego przy Uniwersytecie w Georgetown, wskazują, że 75 proc. katolików na świecie nie chodzi do spowiedzi w ogóle (lub rzadziej niż raz w roku), a tylko 2 proc. chodzi regularnie, podczas gdy w Polsce, jak wskazuje CBOS, przynajmniej raz w roku do spowiedzi wybiera się 68 proc. mieszkańców.

Odejście katolików z zagranicy od spowiedzi wynika w dużej mierze z braku przekonania o popełnianiu przez nich grzechu śmiertelnego – dlatego np. w zachodniej Europie rzadko zdarza się, by ktoś z powodu takiej świadomości nie szedł do komunii. W Polsce przekonanie, że bez spowiedzi nie wolno przystępować do Komunii, jest jednak silne, dlatego ci, którzy nie spowiadali się, pozostają często w ławkach. Mamy więc do czynienia ze szczególnym na tle świata przywiązaniem do sakramentów lub do nakazów związanych z nimi, albo też ze szczególną świadomością zasad dotyczących grzechu śmiertelnego i przebywania w łasce sakramentalnej.

Jest to jednak obszar szczególny – fakt wypełniania nauczania Kościoła w tej

Istnieje zbiór nakazów i zakazów, w respektowaniu których polscy katolicy górują nad resztą Europy. Ma to jednak niewielkie oddziaływanie na codzienność.

dziedzinie nie przekłada się na dziedziny inne. Według nauczania Kościoła, podobnie jak opuszczanie mszy grzechem śmiertelnym jest choćby także sztuczna antykoncepcja – jednak wiele badań wskazuje na to, że większość polskich katolików opowiada się za jej stosowaniem. Według raportu Instytutu Statystyki Kościoła Katolickiego pt. „Postawy społeczno-religijne Polaków 1991–2012” stosowanie sztucznej antykoncepcji dopuszcza również 50 proc. osób regularnie uczestniczących w praktykach religijnych (choć prawdopodobnie – jeśli jej używają – przychodzą na mszę, ale nie przystępują do komunii). Można więc powiedzieć, że jedne zakazy i nakazy moralne Kościoła zdają się być dla Polaków ważniejsze od innych.

Innym przykładem specyfiki polskiego Kościoła jest trzymanie się pewnych tradycji w nauczaniu moralnym, które w innych krajach zostały porzucone lub nie przyjęły się, słowem: nie należą do głównego depozytu nauki Kościoła. Jedną z tych tradycji jest post polegający na niejedzeniu mięsa w piątki. Decyzja o utrzymaniu tej tradycji jest w mocy polskiego Episkopatu, nie Watykanu – jest ona jednak cały czas utrzymywana w przeciwieństwie do wielu innych krajów.

Kolejną kwestią, mającą bardziej ogólny charakter, jest przywiązanie polskich katolików do tzw. sześciu prawd wiary, opisujących Boga jako sędziego sprawiedliwego, który za zło karze, a za dobro wynagradza – nie mówiących natomiast np. o Bożej miłości czy zmartwychwstaniu. Jak się okazuje, „główne prawdy wiary” nie pochodzą z Katechizmu, będącego podstawowym dokumentem kościelnym, a co więcej: w niektórych krajach w ogóle się o nich nie mówi, podczas gdy w Polsce w zbiorowej świadomości należą do podstaw nauczania kościelnego.

Wskazuje to na szczególną orientację polskiego katolicyzmu (przynajmniej po stronie nauczających) na niektóre zasady

moralne i na „prawną” stronę religii. Jak wskazuje o. Kasper Kaproń, franciszkanin i misjonarz w Boliwii: „W Polsce mamy (...) do czynienia z Kościołem prawa, świętego Oburza, kanonicznych upomnień”.

Franciszek – tak, ale...

Nie oznacza to oczywiście, że Kościół za granicą odszedł od nauczania moralnego, jednak priorytety tam postawione są inne niż w Polsce – większy nacisk kładzie się na dzieła charytatywne, pomoc ubogim i wspólnotowość, na co także wskazuje o. Kaproń: „Inaczej były też rozłożone akcenty w rozumieniu sakramentu Eucharystii. Dla zakonników z Ameryki Łacińskiej była ona nade wszystko miejscem spotkania z Bogiem we wspólnocie (wymiar komunii). Dlatego też nie akceptowali oni indywidualnego celebrowania Mszy Świętej. Woleli w ogóle jej nie odprawić, niż sprawować ją indywidualnie”. Wydaje się, że także przepaść między kapłanami a ludem jest w Polsce większa niż w Ameryce Południowej czy Europie Zachodniej, gdzie częstym obrazkiem jest ksiądz czy nawet biskup podający po mszy rękę każdemu z wiernych.

Ze względu na te inaczej rozłożone akcenty trudno się dziwić, że w polskim Kościele wątpliwości budzi także Franciszek ze swoją reformatorską i dialogiczną wobec świata polityką, krytyką księży i otwarciem na uchodźców. Czy jednak faktycznie Polacy krytycznie podchodzą do Papieża? Badanie CBOS z 2014 r. wskazało, że w społeczeństwie jest on oceniany bardzo pozytywnie, nawet lepiej niż uważany za konserwatywnego Benedykt XVI. Rok później 84 proc. Polaków wskazywało, że Franciszek jest dla nich autorytetem. Z drugiej strony sympatia dla Franciszka niekoniecznie przekłada się na akceptację jego głosu. Badanie krakowskich kleryków, przeprowadzone przez dr. Konrada Pędziwiatra z Uniwersytetu Ekonomicznego, wskazuje, że choć na poziomie ogólnym 70 proc. respondentów zgadza się z papieskim nauczaniem w kwestii uchodźców, to z prośbą o przyjęcie jednej uchodźczej rodziny przez każdą parafię zgadza się już tylko 30 proc. Jednocześnie chyba przy żadnym wcześniejszym pontyfikacie w polskiej prasie nie pojawiało się aż tyle artykułów radykalnie krytycznych wobec papieża. Grzegorz Kucharczyk w „Do Rzeczy” zarzucał Franciszkowi „zanegowanie nauczania samego Chrystusa”, a Tomasz Terlikowski mówi o zerwaniu z nauczaniem Jana Pawła II, który dla polskich księży cały czas pozostaje głównym punktem odniesienia.

Kościół rzymskokatolicki w Polsce wydaje się więc momentami wręcz Kościo-

lem autokefalicznym. Jak oceniać to zjawisko? Tradycjoniści, wskazując na część wyżej wymienionych faktów, są zdania, że Polska jest ostatnim bastionem katolicyzmu, że to ona w najbardziej skrupulatny sposób trzyma się istoty, a inne kraje ze względu na liberalizację i sekularyzację odeszły od tradycji jednego, Chrystusowego Kościoła; ba, od tej tradycji odchodzi samo papieństwo, i niedługo prawdziwego katolicyzmu szukać będzie można tylko na polskich, tradycyjnych parafiach. Przedstawiciele tzw. otwartej ortodoksji są w tej kwestii bardziej pesymistyczni – według nich to spełnienie katolicyzmu z polską kulturą i polityką, i jego dość „moralistyczna” specyfika powodują, że bywamy raczej narodowi i kościelni niż ewangeliczni. Tym drugim dodatkowych argumentów dostarcza często sam Franciszek, choćby w najnowszym dokumencie Stolicy Apostolskiej pt. „Odpowiedź uchodźcom i migrantom”.

Czy można podzielać optymizm tradycyjistów? To zależy od tego, gdzie widzimy istotę chrześcijaństwa i katolicyzmu. Owszem, z pewnością istnieje pewien zbiór nakazów i zakazów, w respektowaniu których polscy katolicy wydają się górować nad współbraćmi z innych krajów, przede wszystkim z Zachodu. Problem w tym, że ta forma katolicyzmu ma stosunkowo niewielkie oddziaływanie na codzienne życie. Wiele badań wskazuje, że jesteśmy społeczeństwem o wysokim poziomie nieufności, z trudnościami we wzajemnej współpracy, a ostatnie lata przynoszą coraz większy podział między Polakami, również w rodzinach i wśród znajomych. Nasuwa się pytanie: gdzie duch pojednania i pokoju, który powinien nieść katolicyzm? Szybciej przyjmujemy tę część nauczania, w której mowa o „mieczu” i o „znaku sprzeciwu”.

Także nauczanie Kościoła w sprawach seksualnych i otwartości na życie obecne jest na wysoko powiewających sztandarach, ale, jak widać, bez wielkich konsekwencji praktycznych, skoro Polska jest krajem o przedostatnim w Europie współczynniku dzietności. Należy więc dobitnie zadać pytanie: jeżeli nasz „autokefaliczny” katolicyzm faktycznie jest tym właściwym i jedynym, to czemu jego wpływ na codzienne życie jest tak słaby? ©

JAREMA PIEKUTOWSKI

Autor jest socjologiem, członkiem zespołu thinkzine’u „Nowa Konfederacja” i zespołu Laboratorium „Więzi”. Powyższy tekst ukazał się pierwotnie w internetowym miesięczniku idei „Nowa Konfederacja”.



TONY GENTILE / REUTERS / FORUM

Proboszczowie Franciszka

MARIUSZ SEPIŃSKI

Pracują w różnych parafiach. Są duszpasterzami wielu wspólnot. Biskupom dali się poznać jako ci, którym się chce. Parafianie piszą o nich na forach: fajni księża.

→

→ **F**AJNOŚĆ – TO JEDNAK NIE WSZYSTKO.

Papież Franciszek – mówią – wskazał model kapłaństwa, który wcale nie jest łatwy. Pokazał, że ksiądz nie tylko tworzy wspólnotę, ale też w niej uczestniczy.



RENATA DĄBROWSKA / AGENCJA GAZETA

Ks. Jacek Socha: parafia serca

Na gdyńskiej Chyloni pracuje ciężko sprzęt. Robotnicy odnawiają ulice, przejazd zamknięty, trzeba dookoła. Dziś akurat pracują w okolicach kościoła św. Mikołaja, więc na plebanie idziemy w huku koparek.

Ks. Jacek Socha, doktor teologii, drobny, ciągle uśmiechnięty 48-latek, jest proboszczem od ośmiu lat. Pracy ma dużo, bo w parafii wspólnot jest ponad dwadzieścia, a zbliżają się święta i wigilia dla bezdomnych.

Ksiądz pamięta pierwszą taką wigilię. Razem z parafianami i członkami wspólnot przygotowali się na przybycie 50 osób. Przyszło może 20. Życzenia były różne, bo i przeróżne są losy. Na wigilię przychodzą nie tylko ci, którzy nie mają dachu nad głową. Zdarzają się też po prostu samotni. Na co dzień siedzą w ciemnych, zimnych domach, a tu zjedzą dobrą kolację, ogrzeją się, porozmawiają. Ze sobą. Z księdzem. Siada między ludźmi i słucha, bo, jak twierdzi, to go buduje.

Dlatego na pytanie „jak pomagać”, ks. Jacek Socha odpowiada: dawać siebie. – Jestem, spotykam się, rozmawiam – mówi. – Obiad, dary, świeczki na drogę czy nowe buty: to przy okazji. Najważniejsza jest wymiana. Bo oni też coś mi dają: swoje historie, swoją wrażliwość.

Na Chyloni historii trudnych jest pełno. To osiedle robotnicze, największe w Gdyni i jedno z największych w Trójmieście. W wysokich blokach mieszkają rodziny żyjące od pierwszego do pierwszego, pełnią się patologie społeczne.

– Patrząc powierzchownie łatwo powiedzieć: żyją w grzechu. Ale im bardziej ich poznaję, tym więcej mam wątpliwości co do takich prostych ocen – mówi ksiądz. I opowiada o małżeństwie rozwiedzionego mężczyzny z kobietą stanu wolnego. Zawarli małżeństwo cywilne. Dzisiaj cierpią, bo nie mogą przystępować do sakramentów. – Nawet jeśli kiedyś postępowali niedojrzale, to nie są w stanie cofnąć czasu i zmienić swoich decyzji – mówi ks. Socha. Co w takiej sytuacji? – Zapraszam ich do formacji. Proponuję katechezy neokatechumenalne, kursy nowej ewangelizacji.

Ks. Socha podkreśla, że tacy ludzie nie są bynajmniej martwi duchowo. Modlą się, czytają Pismo św., udzielają się we wspólnocie. Czasem sami głoszą Ewangelię, prowadzą kursy, wykłady, spotkania. Żyją.

Wśród parafialnych wspólnot są „Dzieje II”, czyli grupa ewangelizacyjna, jest neokatechumenat i wspólnota Żywy Różaniec. W parafii jest też świetlica socjoterapeutyczna dla dzieci, klub młodzieżowy i klub seniora. Zdarzały się interwencje w sytuacjach ekstremalnych, ktoś chciał popełnić samobójstwo. Parafia planuje też zorganizować akcję „Zupy Chylońskiej”: rozdawać ciepłą zupę biednym i bezdomnym w parku na Chyloni.

– Terytorialnie nie należymy do parafii św. Mikołaja. To nasza „parafia serca” – mówi Krzysztof Czerwiński, który razem z żoną Karoliną należy do Wspólnoty Szkoły Nowej Ewangelizacji Magnificat. – Dla mnie tego typu wspólnoty, oprócz tego, że formują, obierają sobie za cel przygotowanie nas do ewangelizacji. To wypełnienie nakazu: „Idźcie na cały świat i głoscie Ewangelię”. Wspólnota liczy niemal sto osób. W tak dużej grupie relacje bywają różne, ale jednoczy nas uwielbienie i cel: głoszenie wiary. Żeby ludzie odkryli Boga na nowo albo spotkali Jezusa być może pierwszy raz w życiu.

Jak to robić? – Nie pouczać. Najlepszą i najuczciwszą metodą jest dawanie świadectwa życia – mówi Krzysztof.

Ks. Jacek Socha należy osobiście do wspólnoty neokatechumenalnej i Magnificat. – Chrześcijaństwo to droga – tłumaczy. – Papież proponuje pójście nią razem. Każda droga ma zakręty i wyboje. Jako ksiądz chcę je pokonywać wspólnie z parafianami.

– Ks. Jacka znam długo, był moim wykładowcą na studiach i wiem, że ma bardzo szerokie spojrzenie na parafię – mówi Krzysztof Czerwiński. – W „Mikołaju” czuć, że każdy ma swoje miejsce, ale też wszyscy czują się „zaopiekowani”. W innych parafiach bywa tak, że jak świeccy chcieli coś zrobić (a inicjatorami byli na ogół wikariusze), trzeba było stoczyć walkę z proboszczem. Można powiedzieć, że po mszy gasiło się w kościele światło. A w „Mikołaju” tyle się dzieje, że chyba pozwoliłoby brakować pięter.

Skąd siła? Pytam ks. Wojciecha Ulańskiego, wikarego ze św. Mikołaja. – Przede wszystkim ze wspólnej modlitwy brewiarzowej – mówi. – I z tego, że tutaj proboszcz nie jest panem i władcą, który jako jedyny zna się na wszystkim.



YOUTUBE.COM

Ks. Gabriel Kołodziej: nie tylko aktywność

Już w seminarium słyszy: jesteście z ludu wzięci. – Pasterz musi pachnieć swoim stadem – mówi ks. Kołodziej. – Taka jest idea Kościoła chrystusowego.

Proboszczem w parafii św. Archaniołów Rafała i Michała w Aleksandrowie Łódzkim został trzy lata temu. Parafianie przyjęli go jak swojego. Dużą pomocą byli też wikariusze. Dzisiaj wspólnie szukają metod, jak dotrzeć do tych, którzy pozostają na obrzeżach.

W parafii funkcjonuje kilka wspólnot. Jest Duszpasterstwo Mężczyzn, Odnowa w Duchu Św., Kurs Alpha czy grupa muzyczno-ewangelizacyjna Magis33. Każdą ze wspólnot opiekuje się inny ksiądz. Niemniej wszędzie wyłaniają się naturalni liderzy. – Tak jest np. we wspólnocie Różań-

ca Rodziców za Dzieci – tłumaczy ks. Kołodziej. – Rodzice świetnie się ze sobą komunikują i organizują, rozsyłają informacje o wydarzeniach, przypominają sobie nawzajem o modlitwie.

Parafia współpracuje z pallotyńską szkołą nowej ewangelizacji. Organizowała kurs „Nowe życie” dla parafian. Działa też młodzież z Kursu Nowej Ewangelizacji. Dziś szykuje się do nowego projektu – misji miłosierdzia, która ma wyjść do ludzi, „którzy na razie się opierają”.

Żeby mieć lepsze rozeznanie, ks. Gabriel Kołodziej rozmawia z lokalnym ośrodkiem pomocy społecznej. Od ostatniego Dnia Ubogich parafia regularnie rozdaje zupę dla ubogich.

Pierwszy kontakt z człowiekiem poharatym życiowo bywa trudny. – Zawsze na początku musi być modlitwa, ale przede wszystkim wyciągnięcie ręki – wskazuje proboszcz z Aleksandrowa. – Mam nadzieję, że po misjach miłosierdzia wykształci się grupa ewangelizatorów, którzy będą mogli skuteczniej docierać do potrzebujących.

– Ks. Gabriel czynnie bierze udział w wielu przedsięwzięciach – mówi Dorota Cyganek, parafianka. – Mamy doświadczenie z innymi proboszczami, którzy coś inicjowali, ale potem tylko obserwowali efekty. Ks. Gabriel jest zawsze w środku.

Przykład? Podczas porannych orat w grudniu wydawane są słodkie bułki i kawa dla dorosłych. Wszystko trzeba najpierw kupić. Więc ks. Kołodziej wsiada w samochód i jedzie do sklepu. Nie czeka, aż ktoś go wyręczy.

– Nasza najmłodsza córka jest po pierwszej komunii. Chciała uczestniczyć w diecie pierwszych piątkach miesiąca. Ale ten ostatni piątek po prostu nam umknął. Późno, przed godziną 22, dzwoniłam się z księdzem. Inny powiedziałby: trudno, trzeba zacząć od nowa. A ks. Gabriel rzucił: przyjeżdżajcie, to mój obowiązek. Pojechalśmy i ksiądz odprawił mszę tylko dla córki.

– W życie każdego chrześcijanina wpisane jest niesienie krzyża – mówi ks. Kołodziej. – Zdarzają się momenty, kiedy wkładam w coś dużo serca, sił, a efektów nie widać. Wtedy musi przyjść refleksja, że może nie do końca to przemodliłem, przedyskutowałem?

– W pewnym momencie ksiądz zdał sobie sprawę, że organizowanie wielu akcji, pikników, festynów, spotkań, imprez, nie przynosi zakładanych skutków – mówi Dorota Cyganek. – Okazało się, że poprzez akcje niekoniecznie uda się dotrzeć do tych, którzy są na uboczu. Bo oni przy-

dają, wezmą paczkę, ale nie przełoży się to na ich wiarę. Dlatego ksiądz skupił się na ewangelizowaniu.

Największa satysfakcja proboszcza z Aleksandrowa? – Kiedy widzę człowieka, który otrzymał pomoc, a teraz stoi w kościele i się uśmiecha.



MARIUSZ GACZYŃSKI / EAST NEWS

Ks. Dariusz Gas: nawrócenie pastoralne

Zanim stanie pośrodku pomieszczenia z kolorowymi poduszkami, gdzie przyszli rodzice uczą się rodzic; zanim wskaże drzwi, za którymi psychologowie udzielają pomocy w każdej trudnej sytuacji; zanim opowie o grupach wsparcia dla Anonimowych Alkoholików i Anonimowych Depresantów, których w Warszawie jest wielu, ks. Dariusz Gas usiądzie na chwilę przy stole i opowie o parafii w wielkim mieście.

Nad kościołem w samym środku Ursynowa górują bloki. Przez środek dzielnicy przebiegają nitki ruchliwych ulic. Życie toczy się intensywnie. Tu kołoda trwa dwa lata – jednego roku udaje się odwiedzić tylko połowę parafian.

– Kościół musi dawać duchowość, inaczej zamieni się w supermarket z sakramentami – mówi proboszcz parafii Wniebowstąpienia Pańskiego. – Parafia musi być miejscem wzrostu duchowego, co nie jest łatwe, nasza ma 30 tys. wiernych. Nie możemy się poddawać.

– Najwięcej leków psychotropowych sprzedaje się w aptekach na Ursynowie – mówi ks. Gas. – Mieszkają tu ludzie samotni, odrzuceni, bezrobotni. Wiele jest rozbitych rodzin. Wiele dzieci przygotowanych się do pierwszej komunii jest

wychowywanych tylko przez jednego z rodziców. Prowadzimy więc warsztaty dla rodziców. Wykładowcami są m.in. ich rówieśnicy, którzy dają świadectwo. Wielu wątpliwym otwierają się oczy.

Na przykład wtedy, gdy 1 października przed godziną 10 rano na placu przed kościołem zaparkował ambulans ze sprzętem do pobierania krwi. Do drzwi ustawiła się kolejka. Przez pięć godzin mieszkańcy Ursynowa oddawali krew, a część rejestrowała się jako potencjalni dawcy szpiku.

Ks. Gas wykorzystuje fakt, że w dzielnicy nie ma sali koncertowej. Organizuje koncerty w dolnym kościele. Przed występem podkreśla, że objawiające się tu talenty pochodzą od Boga. Na koncertach bywają niewierzący, którzy widzą, że w tym miejscu nie wyklucza się nikogo.

W parafii odbywają się również wieczory filmowe, a także spotkania dla singli. Raz w miesiącu przychodzi na nie 150 samotnych osób. Z tych spotkań wyszło już kilkanaście związków.

Parafia działa też społecznie. Organizuje obiady dla ubogich dzieci, prowadzi świetlicę socjoterapeutyczną. Wspólnota Sant'Egidio robi kanapki, zawozi je na warszawskie dworce, rozdaje bezdomnym. Od dwóch lat w parafii odbywa się wigilia dla bezdomnych z całej Warszawy. Uczestniczy w niej 500 osób. – Białe obrusy, piękna zastawa, dobre jedzenie – wlicza ks. Gas. – Po to, by ci ludzie poczuli się godnie.

Ks. Gas zaznacza, że celem wszystkich tych przedsięwzięć nie jest zajęcie czasu, bo o to na Ursynowie nietrudno. – Akcją można wypełnić cały dzień, ale jeśli nie będzie w tym adoracji, żywej wspólnoty, modlitwy, to wszystko minie się z celem – mówi proboszcz z Ursynowa.

Ks. Gas przeszedł „nawrócenie pastoralne”, do którego wzywa Franciszek. Uczestniczy we wspólnocie neokatechumenalnej. Mówi, że wspólnota go „sprowadziła”, pokazała, że nie wszystko wie, nie wszystko przemysłał. Ale najtrudniejsze, oprócz posiadania wiedzy, jest wprowadzenie jej w życie.

– Widzę to podczas spowiedzi – mówi ksiądz. – Widzę, jak młodzi ludzie potrafią wspaniale przeżywać wiarę, jak bardzo są dojrzały i świadomi. I jak wiele mi do takiej dojrzałości brakuje.

Bywa zmęczony, więcej: wyczerpany. Wtedy widzi dwa wyjścia: albo się załamać, albo weźmie do roboty.

Ks. Andrzej Gas patrzy na Franciszka. I wybiera to drugie.

©

MARIUSZ SEPIOŁO

Człowiek Jezus

KS. JACEK PRUSAK SJ

Ignorując kulturowy kontekst życia Chrystusa, odzieramy Go z człowieczeństwa.

CO NIEDZIELĘ WYZNAJEMY, ŻE JEZUS JEST „jednorodzoną Synem Bożym, zrodzonym z Ojca przed wszystkimi wiekami... Bogiem prawdziwym z Boga prawdziwego”. Jak podkreślają badacze Pisma Świętego, takie sformułowania dogmatyczne są oddalone o lata świetlne od opisów ewangelicznych, które ukazują Jezusa dorastającego w żydowskiej rodzinie wśród wyznawców judaizmu. Na sobór w Chalcedonie (451 r.), na którym opracowano to wyznanie wiary, nie zaproszono nawróconych Żydów, którzy mogliby osadzić Jezusa w adekwatny sposób w żydowskich realiach jego czasów. My, jako nawróceni poganie, stoimy więc w obliczu stałego zagrożenia – mogą nam umknąć żydowskość Jezusa, a nawet Jego człowieczeństwo.

Dominikański biblista Wilfrid Harrington, znany studentom teologii i miłośnikom Pisma Świętego z bestselleru „Klucz do Biblii”, zaczyna książkę poświęconą Jezusowi od jasnej deklaracji: w historii chrześcijaństwa „doszła do głosu ahistoryczna chrystologia, w niewielkim zakresie ukazująca bezbronno Jezusa, który umarł na krzyżu. Wprawdzie ziemski Jezus pozostawał w polu widzenia, na ogół jednak oddzielano Jego śmierć od życia, a Jego zmartwychwstanie – od działalności i śmierci. Takie ujęcie równa się zignorowaniu

wyzwania płynącego od Jezusa jako proroka i ostatecznie skutkuje niezrozumieniem prawdziwego sensu Jego śmierci i zmartwychwstania. Życie Jezusa z Nazaretu jest kluczem do całej treści chrześcijaństwa”.

Harrington, nie bez odrobiny sarkazmu, podkreśla, że „w praktyce szybko pominięliśmy ten aspekt ludzki, aby zwrócić się ku »boskiej ikonie«, wolnej od wszelkich niewygodnych rysów krytycznego proroka. Zamknęliśmy Jezusa w Jego niebiańskim domu, i słusznie, skoro już od dawna wiemy, że tam jest bezpieczniejszy! Zginamy kolana przed »naszym boskim Panem«, który nie przeszkadza nam z tego powodu, jak Go sobie przedstawiamy. W istocie nie wyraża żadnego krytycznego wpływu na życie naszego świata. Wszelako bardzo niewygodnie jest mieć do czynienia z Jezusem z Nazaretu. Tego dotyczy Ewangelia i jej wyzwanie, jej »niebezpieczna pamięć«”. Książka irlandzkiego teologa nie jest ani rozprawą chrystologiczną, ani rozprawą egzegetyczną *sensu stricto*. Autor stawia sobie skromniejszy cel: stara się zobrazować autentyczne człowieczeństwo Jezusa z Nazaretu, uwydatniając Jego specyficznie ludzkie rysy przez umieszczenie ich na odpowiednim tle – Jego powołania do misji, sposobu, w jaki postrzegał sam siebie, oraz tego, jak widzieli Go inni; Jego

trosk i spraw dla Niego najważniejszych; wreszcie reakcji ludzi na Jego osobę i wizję. Czyni to w sposób wolny od egzegetycznego żargonu z pasją kogoś, kto poświęcił Jezusowi swoje życie i swój intelekt.

Jezus ewangeliczny to więcej niż Jezus historyczny, Ewangelie ukazują bowiem nie tylko historię, lecz także to, co wykracza poza nią; nie tylko relacjonują fakty, lecz także podają interpretację teologiczną. Ewangelieści zajmowali się chrystologią i tym, co oznacza bycie uczniem. Przedstawiony przez nich „ziemski Jezus” służy za podstawę współczesnego teoretycznego konstruktu – „Jezusa historycznego”. Jak podkreśla Harrington, „nie jest On rzeczywistym Jezusem, tylko fragmentaryczną Jego rekonstrukcją dokonaną z użyciem nowoczesnych metod badawczych. Ta rekonstrukcja ma jednak ogromne znaczenie, szczególnie w naszych czasach”. Człowieczeństwo Jezusa nie wyczerpuje Jego istoty, bo tożsamość Jezusa to tajemnica w najściślejszym znaczeniu, ale nie jest bez znaczenia, „ile” w Chrystusie widzimy Jezusa, i „jakiego” w Jezusie widzimy człowieka.

Książka Harringtona otwiera nam oczy na Jezusa, jakiego często nie znamy. Dzięki niej zrozumiemy, o co upominają się teolodzy, że „Ewangelia jest dobrą nowiną nie o samym Jezusie, lecz o Bogu Jezusa, o Stwórcy nieba i ziemi, Bogu wszystkich ludzi. (...) My, chrześcijanie, uczymy się na podstawie życia Jezusa wyrażać z trudem treść tego, czym jest »Bóg«, oraz tego, czym może być »człowieczeństwo«”. Skoro w Jezusie-człowieku spotykamy Boga, to warto dać szansę człowieczeństwu Jezusa na ponowne odkrycie tej Tajemnicy. Dominikański teolog pozwala nam zobaczyć naszego Brata bez „kościelnego makijażu”, siłę chrześcijaństwa bez mylenia jej z ideologią. To jest „niebezpieczna pamięć”, która wyzwala i pozwala w wyjątkowym człowieku dotknąć pełni Boga. Jezus to „postać, która wzywa i porusza” – takie odczucie i przekonanie pozostawia po sobie lektura tej książki o Nim. ©P



Wilfrid J. Harrington OP
JEZUS NASZ BRAT. CZŁOWIECZEŃSTWO NASZEGO PANA
przeł. Paweł Borkowski, Instytut Wydawniczy PAX, Warszawa 2017.

W Sądzie Rejonowym w Nowym Mieście Lubawskim, I Wydziale Cywilnym, toczy się pod sygn. I Ns 61/15 postępowanie z wniosku Jerzego Kowalskiego i Stefanii Kowalskiej, o stwierdzenie nabycia przez zasiedzenie własności nieruchomości: działki gruntu nr 477, położonej w Radomnie, gm. Nowe Miasto Lubawskie, obręb 11 Radomno, o powierzchni 0,98 ha, dla której nie jest prowadzona księga wieczysta; działki gruntu nr 327, położonej w Bratanie, gm. Nowe Miasto Lubawskie, obręb 0002 Bratian, o powierzchni 0,82 ha, dla której prowadzona była księga wieczysta dawna Karta 270 Bratian; działki gruntu nr 452, położonej w Bratanie, gm. Nowe Miasto Lubawskie, obręb 0002 Bratian, o powierzchni 1,02 ha, dla której prowadzona była księga wieczysta dawna Karta 31 Bratian.

Wzywa się wszystkich zainteresowanych, aby w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się ogłoszenia zgłosili się w Sądzie Rejonowym w Nowym Mieście Lubawskim i wykazali prawo do przedmiotowej nieruchomości pod rygorem pominięcia ich praw w toczącym się postępowaniu.

SZYMON

Hołownia:

Opatrzność w statystyce



KOŚCIELNY ŚWIATEK W POLSCE ZELEKTRYZOWAŁ W TYM TYGODNIU NEWS, ŻE COROCZNE LICZENIE WIERNYCH UCZĘSZCZAJĄCYCH NA NIEDZIELNĄ EUCHARYSTIĘ WYKAZAŁO TRZYPROCENTOWY SPADEK FREKWENCJI. ODKĄD PAMIĘTAM, ŚRĘDNIĄ KRAJOWĄ TEJ WARTOŚCI TRZYMAŁA SIĘ TWARDO W OKOLICACH 40 PROC., TERAZ ZJECHAŁA DO 36 PROC. Z GROSZAMI. Czy to incydent, czy stały trend – dowiemy się pewnie za parę lat. Niewolna od wad jest też pewnie sama badawcza metoda (wiernych liczy się tylko raz w roku, a wpływ na wynik może mieć i pogoda, i tysiąc pięćset sto dziewięćset innych dystraktorów). Statystyki jako takiej zaś też nie ma przecież co deifikować – nie opowie nam całej prawdy o świecie (bo, jak wiadomo, statystycznie rzecz biorąc, ja i mój pies mamy po trzy nogi).

Jest to jednak jakoś poruszające: dowiedzieć się, że w kraju, którego sfera publiczna aż kipi od gromkich deklaracji przywiązania do Chrystusa i Kościoła, dwie trzecie katolików nie widzi potrzeby, by się z owym Chrystusem przynajmniej raz w tygodniu osobiście spotkać. By wypełnić podstawowy obowiązek nakładany przez ów Kościół, którego są podobno gotowi bronić (przed genderami i muzułmanami) do ostatniej kropli krwi.

Nie wiem, ile jeszcze razy cytować będzie trzeba to zdanie, przypisywane Angeli Merkel: „Nie chcecie islamizacji Europy? To sprawcie, żeby wasze dzieci znów zaczęły chodzić do kościoła”. To muzułmanie (i genderyści) są winni temu, że kościoły we Francji czy we Włoszech zmieniają się w meczety (a częściowo jednak w pizzerie, domy mieszkalne lub hotele)? Czy może raczej ci, którzy je porzucili? To przecież nie syryjscy uchodźcy (bo ich u nas nie ma) sprawiają, że dwadzieścia milionów polskich katolików ma ważniejsze sprawy niż najważniejsze wydarzenie tygodnia.

A dlaczego tak mają? Czy dlatego, że bokiem wychodzi im już Kościół skleryzowany (przez księży i przez świeckich aktywistów; jest o tym wiele w świetnym ostatnim numerze „Życia Duchowego”)? Do tego romansujący tu i tam z obecnie rządzącą partią polityczną, Kościół tłustych kotów dojących od państwa kolejne dotacje na swoje biznesy, szkoły, budynki? Czy może jest zupełnie inaczej: mierzi ich również coraz wyraźniej widoczny tu i ówdzie nad Wisłą ubogi Kościół papieża Franciszka – nie siłownia dla duchowych pakerów, lecz szpital połowy dla ludzi poobijanych życiem? Kościół biskupów, którzy coraz twardziej ośmielają się przypominać wiernym, że Jezus nie jest wcale żyrantem naszego ziemskiego bezpieczeństwa, kulturowego komfortu ani narodowych teologii? A może – czytałem i taki głos – polski Kościół po prostu, zwyczajnie, nadal nie wie, czego chce? Nie umie znaleźć na siebie pomysłu, bo jedynym konkretnym pomysłem, który na siebie w ciągu ostatnich paru dekad miał, było trwanie najpierw przy prymacie Wyszyńskim, a później przy Janie Pawle II?

O tym, że nie da się utrzymać liczebności polskiego Kościoła na poziomie z lat 80. czy 90., piszę od dwudziestu lat. Wyraźny

początek spełniania się tego, pożałujcie Boże, proroctwa odnotowuję bez satysfakcji. Od parunastu lat przedstawiam też swoją diagnozę: naszych szeregów nie przetrzebią wcale zewnętrzni wrogowie, liberalne ośrodki czyhające, by wrazić nam relatywistyczny jad we wszelkie otwory naszych dusz. Polski Kościół wykończymy sami.

Rozpuścimy go, i to wcale nie – jak się okazuje – w lewackim kwasie. Rozpuszczalnik składać się będzie w połowie z mikstury spreparowanej z (poszatowanej) Ewangelii na użytek bieżących ideologii, naszych narodowościowych, kulturowych, ekologicznych przyzwyczajęń, a czasem fantasmagorii. Druga połowa owego rozpuszczalnika to pokutujące wciąż w zaskakująco wielu głowach przekonanie, że Kościół ma do spełnienia we współczesnym świecie jakieś zadania polityczne (w Polsce: patologiczne utożsamianie Ewangelii z polityczną „prawicowością”). Prawdziwy Jezus (a nie manekin na wystawach naszych ideowych kramów, którego z Niego robimy) nie jest tymczasem ani prawicowy, ani lewicowy. On bez końca powtarzał tym, co chcieli go naśladować, że mają zostawić świat swoich partii, schematów, planów i wyobrażeń, dać się ponieść wizji wspólnoty, która na ostatnim miejscu ma to, ile budynków sakralnych po sobie zostawi i na ile szabel w parlamencie może liczyć.

Myszę, że to nie całkiem nierealny scenariusz dla Polski: piękne sanktuaria, inwestycje geotermalne, Festiwale Kultury Chrześcijańskiej, publicyści przeżywający burze hormonów przy opisywaniu bitwy pod Lepanto, ustawy jedna w drugą zgodne z prawem Bożym – i pustki przed Najświętszym Sakramentem. I granice państwa, parafii, domów szczelnie zamknięte z lęku przed tym, że ktoś – ideowo, kulturowo, wyznaniowo obcy – pobudzi nam wykrochmaloną katolickość.

Zaprawdę, trudno nie mieć wrażenia, że Opatrzność posłużyła się Instytutem Statystyki Kościoła Katolickiego, by dobitnie pokazać nam, jak duża część polskiego katolicyzmu wylewającego się z Sejmu, z newsów w państwowej telewizji, a nawet (do tego doszło) z urzędów pocztowych – to katolicyzm jedynie kulturowy. Moi drodzy przyjaciele, liczni jego wyznawcy: marzy wam się Sobieski? Polska – bastion chrześcijańskiej cywilizacji? Obrońcie ją najpierw w Polsce, w kraju z rozdwojeniem jaźni, w którym co chwila ktoś gromko krzyczy: „My chcemy Boga!”, a dwie trzecie wiernych ma ważniejsze sprawy niż niedzielna Eucharystia.

Popatrzcie jeszcze raz na te statystyki i może miejcie już na tyle wstydu, by nie powtarzać więcej buńczucznych mickiewiczowskich farmazonów o „Polsce – Chrystusie narodów”. Nie pamiętam już, to chyba niemiecki teolog i publicysta Manfred Lütz pytał kiedyś Polaków: ocaliliście wiarę? To super. Prawdziwy (a nie zimny) ogień ma jednak tę własność, że wszystko, co jest w jego pobliżu, automatycznie – chce czy nie chce – jakoś się jednak zapala. Nasze ewangeliczne życie spowodowało nawrócenia Czechów? Wschodnie landy Niemiec nie marzą o niczym innym jak o tym, by sprzedać wszystko, co mają, i iść za Nim? Republiki bałtyckie wkraczają w wiosnę Kościoła? Nie? No zobaczcie, ojej...

Może spróbujemy więc innej metody? Nasz Episkopat co dwa lata dwoi się i troi, by przygotować „Program duszpasterski” (ktoś z Państwa kiedyś o nim słyszał?). Oszczędźmy mu pracy i zrobmy prosty, ale wymagający morderczego wysiłku pastoralny eksperyment. Zamiast „bronić Ewangelii”, złączmy ją z życiem. Co tam przez rok, choćby przez miesiąc! Ba – przez tydzień, dzień, nawet przez godzinę.

©

TEHERAN: MARZENIE O KONTREWOLUCJI

Czy państwo irańskie stoi na progu przełomu?
Ostrożnie z taką tezą: postrzeganie Iranu
poprzez nasze zachodnie marzenia
i wyobrażenia jest zwodnicze. I niebezpieczne.

KRZYSZTOF STRACHOTA



PRZEZ TYDZIEŃ IRAN ŻYŁ W CIENIU PROTESTÓW, które przykuły uwagę świata. Wybuchły 28 grudnia w Maszchadzie – drugim co do wielkości mieście kraju, uznawanym też za miasto najświętsze. Niemal natychmiast rozlały się na inne miejscowości, najpierw okoliczne, a potem po całym kraju, choć do stołecznego Teheranu docierając – w zaskakujący sposób – jakby przygaszone i z opóźnieniem.

Szacuje się, że protestowano w ponad tysiącu miast i miasteczek. W czasie demonstracji wznoszono zarówno hasła socjalne, przeciw drożyznie i korupcji, ale też otwarcie domagano się ustąpienia przywódcy kraju (rahbara) Alego Chameneiego i prezydenta Hasana Rouhaniego. Czasem też życiono im śmierci. A także odrzucano zaangażowanie Iranu – militarne, polityczne i finansowe – na Bliskim Wschodzie. Padły hasła: „Nie dla Gazy, nie dla Libanu, moje życie dla Iranu!”.

Prezydent Rouhani przyjął początkowo postawę pojednawczą, oznajmiając, że „zgodnie z konstytucją ludzie mają prawo do protestów”. Natomiast konserwatyści z otoczenia rahbara Chameneiego, a wreszcie także on sam – oskarżyli Stany Zjednoczone, Izrael, Arabię Saudyjską i Wielką Brytanię o podżeganie do protestów i zapowiedzieli ich pacyfikację.

Manifestacje od razu były żywiołowe: atakowano siły porządkowe, palono policyjne auta, dochodziło do szabru. Szybko też połała się krew – zginęło co najmniej 20 demonstrantów i co najmniej dwóch policjantów. Setki ludzi aresztowano. W chwili pisania artykułu wydaje się, że fala niepokoju już przygasła. Chociaż... Ale po kolei.

Iran kontra świat

Dla świata zachodniego – głównie, ale nie tylko, dla USA i Izraela – jak również dla większości państw arabskich Iran jest od lat wcieleniem zła: fanatycznym islamskim (szyickim) reżimem, który zaprzecza wszelkim wartościom liberalnym, sponsores światowego terroryzmu, podpalać Bliski Wschód – od Iraku, przez Syrię, Liban i Gazę, aż po Jemen, Bahrajn oraz Arabię Saudyjską. I państwem, które rozwija program nuklearny, aby na początek zniszczyć Izrael.

Upadek reżimu w Teheranie jest nieskrywanym marzeniem polityków i opinii publicznej sporej części świata zachodniego i arabskiego. A w sytuacji, gdy zawodzą

presja polityczna, sankcje, groźby militarne i dywersja, to właśnie oddolna rewolucja staje się największą nadzieją na rozwiązanie bezpieczne, humanitarne i zgodne z przekonaniem o nieuchronnym postępie ludzkości.

Protesty w Iranie pojawiają się ze sporą regularnością. Przede wszystkim – to masowe protesty w latach 1978-79 przerodziły się w rewolucję, która obaliła tyranie szacha. Tamta rewolucja została szybko przejęta przez zwolenników ustroju islamskiego, którzy brutalnie złamali nie mniej brutalny opór niedawnych towarzyszy broni. Potem potężne, prodemokratyczne protesty studenckie przetoczyły się przez główne miasta w 1999 r. Z kolei w 2009 r., na fali fałszerstw wyborczych, na ulice przez wiele miesięcy wychodziły miliony przeciwników reżimu (nazwano ich Zielonym Ruchem). Zginęło wtedy kilkadziesiąt osób, tysiące aresztowano.

Obecne protesty są zatem dość powszechnie postrzegane jako kolejny objaw erozji systemu w konfrontacji z wolnościowymi i liberalnymi ambicjami Irańczyków. Jeszcze parę dni temu wielu obserwatorów zapowiadało nawet upadek reżimu. Dziś, już bardziej ostrożnie, zapowiada się jego „początek końca”. Czy słusznie?

Wrażenie przełomu...

W istocie, ostatnie protesty wydają się nieść podręcznikowe przesłanki wskazujące na przełom.

Społeczeństwo jest sfrustrowane zabetonowaną sceną polityczną. Najwyższa władza w państwie spoczywa w rękach praktycznie dożywotniego rahbara, który uosabia niepodlegające kontroli elity. Wybory są ograniczone do zamkniętego kręgu elit i uchodzą za fałszowane (co pokazały protesty w 2009 r.). Tak zwani reformatorzy w ramach elity (m.in. prezydent Rouhani) uchodzą za co najmniej niezdolnych do narzucenia reform. I to właśnie hasła wymierzone wprost we władzę rozbrzmiewały na ulicach w ostatnich dniach. Co ważne, na celowniku demonstrantów pojawił się sam Rouhani, co sugeruje wypalenie się całej klasy politycznej. Albo – również „obiecujące” – ostre walki w elicie (za pierwszymi protestami w Maszchadzie, gdzie atakowano Rouhaniego, miał stać lokalny konserwatywny konkurent do władzy prezydenckiej).

Równie poważny jest aspekt socjalny. Sytuacja gospodarcza nie jest dobra: przez sankcje i duże wydatki na politykę bezpieczeństwa gospodarka pozostaje niedoinwestowana i jest drenowana z kapitału. Liczba 700 tys. miejsc pracy, stworzonych

w 2017 r., to dwukrotnie za mało jak na kolejne fale wykształconych *baby boomers*, którzy wchodzi na rynek pracy. Zduszenie inflacji i kilkuprocentowy wzrost PKB w ostatnim roku idą w parze z obcinaniem subwencji na podstawowe produkty i nie hamują stałego wzrostu cen. Nowością ostatnich protestów jest ich baza społeczna: na ulice wyszli nie studenci i stołeczna klasa średnia (jak wcześniej), lecz młodzi ludzie z konserwatywnej prowincji. Normą są analogie z PRL-u: rok 1956, 1970, 1980...

Wreszcie, protestujący kwestionowali filary polityki zagranicznej: udaną kontr ofensywę na Bliskim Wschodzie (*de facto* antyamerykańską) i pozycję w regionie, jakiej Iran nie miał od stuleci. Odrzucali zagraniczne splendory i – wpisane w konstytucyjne założenia Islamskiej Republiki – ambicje naprawy całego świata w zastępstwie Boga (władza w Iranie sprawowana jest w imieniu Mahdiego, który ma przyjść w końcu czasów). Dla świata to dowód „przeżrzenia się” Iranu w awanturniczej polityce zagranicznej – bez mała podążanie drogą Związku Sowieckiego w latach 80. XX w., przy jawnym już oporze społecznym.

...i realia

Owszem, Iran stale ma problemy polityczne, gospodarcze i społeczne. Można powiedzieć, że historia Islamskiej Republiki to ciągły kryzys. System polityczny – jak każdy zamknięty system – jest narażony na niespodziewane i spektakularne załamanie. Owszem, obecne protesty są żywiołowym przejawem napięć wewnętrznych.

Ale wolno zaryzykować tezę, że postrzeganie ich – i w ogóle Iranu – przez pryzmat naszych (zachodnich) marzeń i wyobrażeń (a takie postrzeganie zdominowało przekaz medialny na Zachodzie) jest zwodnicze i niebezpieczne.

Przede wszystkim: opisując protesty, zapomina się o ich jednak ograniczonym (przynajmniej na obecnym etapie) charakterze. Choć objęły cały kraj, nigdzie nie zgromadziły więcej niż kilkaset osób i szybko zostały wygaszone. Jak na swoje możliwości, bierne pozostały Teheran czy Tabriz (tradycyjne ośrodki zapalne); bierna była klasa średnia. Nietrudno zauważyć ich żywiołowo-anarchiczny charakter: hasła nie układały się w spójny program, nie było oznak samoorganizacji ani liderów (inaczej niż w 2009 r.).

Potwierdzeniem wrażenia, że władze kontrolują sytuację, jest ich – jednak – dość spokojna reakcja na protesty. Zresztą irańskie władze nie od dziś z uwagą analizują kryzysy u siebie i za granicą →

Protesty antyrządowe na terenie uniwersytetu w Teheranie, 30 grudnia 2017 r.

→ i wyciągają wnioski. Skądinąd Irańczycy są mistrzami zarządzania kryzysem politycznym, interpretowania przemian społecznych i sterowania nimi przy pomocy całego wachlarza instrumentów. Na tym wyrosła obecna pozycja Iranu w Iraku i Syrii, a także wśród Kurdów, w Palestynie i Libanie, wreszcie w arabskich państwach Zatoki Perskiej. Iran to nie skostniały Egipt epoki Mubarak.

Bezpieczniki systemu

To fakt: irańskie elity są podzielone, trwa spór między „konserwatystami” a „reformatorami”, kipią ambicje osobiste. Kraj czeka też wstrząs, jakim będzie nieuchronne odejście Chameneiego (ma 78 lat; tyle miał Chomeini, gdy zaczynał budować Republikę Islamską).

Ale napięcia w systemie są obudowane bezpiecznikami, a sam system stale ewoluje. Ciągłemu wzmocnieniu ulega pion bezpośrednio podporządkowany rahbarowi (to on *de facto* decyduje o całokształcie polityki państwa). Postępuje konsolidacja imperium politycznego i gospodarczego Korpusu Strażników Rewolucji (łącznie z fundacjami religijnymi, wyjętymi spod decyzji rządowych, daje to bezpośrednią kontrolę nad połową gospodarki kraju!).

Pozwoliło to przetrwać najcięższy okres sankcji, a po ich zdjęciu rozwijać gospodarkę przy uniknięciu – śmiertelnego dla reżimu – zalewu inwestycjami zagranicznymi (za czym optuje rząd). Z jednej strony reżim utwierdza się w słuszności swojej polityki, z drugiej wie, że poważna zmiana pozabawiałaby go obecnej pozycji. Dlatego po stronie władz nikt, kto się liczy, nie zacznie flirtu z protestującymi (czy z Zachodem), nikt nie pójdzie drogą państw byłego bloku wschodniego czy elit arabskich w czasie niedysiejszej „wiosny”, gdy przywódców rzucano na pożarcie tłumy (Tunezja, Egipt, Libia), by ochronić własne interesy.

Ponadto reżim umiejętnie rozgrywa kwestie ideologiczne i tożsamościowe. Uniwersalistyczne przez lata idee islamskie wzbogacono o irański komponent państwowy (z akcentem na cywilizacyjny dorobek państwa) i narodowy (perski). Przekonanie o wielkości i sile Iranu znajduje potwierdzenie w zwycięskiej konfrontacji z USA i ekspansji regionalnej. Antywojenne hasła, widoczne w czasie obecnych protestów, bardziej przypominają antywojenne mityngi w USA w 2002 r., przed inwazją na Irak, niż Rosję z roku 1917.

Tym bardziej że wśród Irańczyków powszechne jest poczucie „obłączonej twierdzy”, zagrożenia zewnętrznego, a także

potężny resentyment towarzyszący fascynacji wobec Zachodu. I świadomość podsycania napięć wewnętrznych (etnicznych, ideowych), czy to przez Stany (przez długie lata), czy to przez Arabię Saudyjską (najpewniej również w ostatnich dniach).

Inaczej niż w przypadku Europy Środkowej w czasach załamywania się komunizmu, alternatywą wobec obecnej sytuacji nie byłby awans Iranu do klubu wolności, dobrobytu i bezpieczeństwa, lecz pójście drogą Iraku, Syrii, Libii czy Afganistanu, przy zaprzepaszczeniu cywilizacyjnego dziedzictwa. Kiepska to perspektywa.

Granice wyobraźni

Od dobrych 30 lat Iran przerasta granice wyobraźni Zachodu – nie ma nań sposobu. To konstatacja przykra zarówno dla państw zachodnich, jak też dla większości Irańczyków. Zwłaszcza że uwidoczni się w momentach dramatycznych, jak w ostatnich dniach (i pewnie ujawni się jeszcze w nieodległej przyszłości).

Wprawdzie nie wiadomo, co się wydarzy, warto jednak zdystansować się od wygodnych (i naturalnych) klisz, przez które patrzymy na Iran. Ten kraj, jego system polityczny, specyfika społeczno-kulturowa, sytuacja międzynarodowa – nie jest ani PRL-em, ani Związkiem Sowieckim, ani państwem arabskim z czasu niedawnej „wiosny”.

Iran pozostanie sobą. Co nie znaczy, że zawsze będzie taki, jaki jest teraz – podobnie jak np. Chiny Ludowe nie zatrzymały się w czasach Mao (choć droga prowadziła również przez masakrę na placu Tiananmen). Tylko że Iran – inaczej niż Chiny kilka dekad temu – znajduje się dziś w centrum potężnego kryzysu regionalnego – i jest w tym kryzysie jednym z głównych rozgrywających, a jednocześnie oponentem dla poważnych konkurentów (jak USA, Izrael czy bogate państwa Zatoki Perskiej). Słabszym niż Rosja, Niemcy czy Austro-Węgry, które Wielką Wojnę zaczynały w 1914 r. jako potęgę, a po czterech latach zapadły się od środka. To także jeden ze scenariuszy dla przemian wewnętrznych, którego wykluczyć nie można. Ale nie byłby to warian't przyjemny dla otoczenia. ©

KRZYSZTOF STRACHOTA

Autor jest analitykiem Ośrodka Studiów Wschodnich im. Marka Karpia w Warszawie, gdzie kieruje działem Kaukazu, Azji Centralnej i Turcji.

Sprytny wojak Szwejk

PATRYCJA BUKALSKA

Przez pięć ostatnich lat szokował i prowokował. Jego kadencja dobiega końca, ale prezydent Czech Miloš Zeman nie wybiera się na emeryturę. Przeciwnie: możliwe, że pozostanie na Hradzie.

MILoš ZEMAN BYŁ, JAK ZAWSZE, BEZPOŚREDNI. W swoim dorocznym, wygłaszanym w święta Bożego Narodzenia przemówieniu, dowodził, że Republika Czeska jest krajem bezpieczniejszym niż Szwajcaria, z niskim bezrobociem, a Czesi powinni być dumnym z siebie narodem, ceniącym własne osiągnięcia. Natomiast Unia Europejska – tu padło kilka pouczeń – powinna lepiej chronić swe granice, zaś NATO powinno bardziej angażować się w walkę z islamskim terroryzmem.

Mówca wspominał też o wyborach, ale tych parlamentarnych, zapowiadając, że na pewno nie rozpisze przedterminowego głosowania (dla lepszego efektu wyrażając pięścią).

Czesi wybrali parlament niedawno, jesienią 2017 r., ale zwycięzca Andrej Babiš i jego partia ANO nie mają większości w Izbie Poselskiej ani perspektyw na stabilną koalicję. Mają za to wsparcie prezydenta. Rzecz w tym, że czas Zemana może być ograniczony: już wkrótce, 12 i 13 stycznia, Czesi zdecydować, czy po ukończeniu kadencji, na początku marca, będzie musiał opuścić Hrad – i kto ewentualnie miałby go zastąpić.

Zeman i reszta

Jak zgrabnie ujął to politolog i publicysta Jiří Pehe: te wybory to starcie między Zemanem a „nie-Zemanami”. Rzeczywiście, nie chodzi w nich o program i osiągnięcia kandydatów. Są one raczej plebiscytem w sprawie Zemana, który jak nikt inny polaryzuje naród. Kilka dni temu nawet prowincjał czeskich dominikanów o. Benedikt Mohelník w bezprecedensowym



Prezydent Zeman rozpoczyna walkę o reelekcję, Praga, 6 listopada 2017 r.

liście wezwał wiernych, aby oddali swój głos na kogoś, kto może być moralnym autorytetem, a nie na Zemana, który – jak pisze duchowny – wzbudza w ludziach niskie instynkty i egoistyczne zachowania.

Jest więc Zeman i jego zwolennicy. I jest jeszcze reszta kraju, chwilowo rozdrobniona między ośmioma kontrkandydatami, wśród których Zeman nie ma politycznego przeciwnika swojej wagi.

Wśród tego grona jest były premier Mirek Topolánek, ale nie ma on większych szans. Jest też były ambasador i współpracownik prezydenta Václava Havla, Pavel Fischer. A także lekarz i działacz społeczny Marek Hilšer, jak również autor tekstów piosenek i biznesmen Michal Horáček. Wśród tych „nie-Zemanów” nie ma nikogo, kto mógłby przeciwstawić się Zemanowi z pozycji doświadzonego polityka czy męża stanu, kto porwałby za sobą ludzi.

Największym zagrożeniem dla Zemana – z potencjalną szansą na zwycięstwo w przypadku drugiej tury – może być naukowiec Jiří Drahoš, były prezes Czeskiej Akademii Nauk. Ma dobry życiorys, nigdy nie był członkiem żadnej partii politycznej (również w czasach komunizmu), odmówił współpracy z komunistyczną bezpieką. Jest osobą szanowaną i – w przeciwieństwie do Zemana – niekontrowersyjną, niewzbudzającą emocji. Tyle że akurat to ostatnie jest zarówno zaletą, jak też – w istniejących okolicznościach – słabością.

W każdym razie w sondażach Drahoš zajmuje mocną drugą (po Zemanie) pozycję, i to im dwóm przyjdzie się prawdopodobnie zmierzyć w drugiej turze. Właśnie

wtedy polaryzacja na „Zemana i nie-Zemanów” może zaważyć na wyniku, bo kontrkandydat Zemana mógłby zebrać głosy wyborców pozostałych pretendentów. Chyba że drugiej tury nie będzie.

Gospoda kontra kawiarnia

Historia ekonomii uczy, że gorszy pieniądź zwykły wypiera lepszy. A w polityce?

Pierwszy prezydent Czechosłowacji, jej ojciec założyciel po I wojnie światowej, Tomáš Garrigue Masaryk, był profesorem filozofii. Pierwszy prezydent Czechosłowacji po upadku komunizmu, Václav Havel, też był humanistą i myślicielem (kilka lat później, po rozpadzie federacji, został prezydentem Czech). Prezydent Zeman jest od tej tradycji „filozofów na tronie” tak daleki, jak tylko można to sobie wyobrazić – i zresztą sam stara się od niej dystansować.

Na tym przykładzie widać dychotomię rozdzielającą dziś Czechów, gdy „gospoda” spiera się z „kawiarnią”, a „zwykły człowiek” z niechęcią i nieufnością patrzy na „mądrali z uniwersytetów”. Zeman, sam przecież wykształcony (i inteligentny, jak przyznają nawet przeciwnicy), świadomie to rozdarcie wykorzystuje.

– Zeman reprezentuje tego „zwykłego małego czeskiego człowieka”. W Polsce podobni wyborcy głosowali kiedyś na Andrzeja Leppera. Chodzi tu głównie o przeciwstawienie się pogardzanym elitom i podkreślenie własnej wartości. Jednak to nie jest frustracja. To raczej przekonanie, że jest się mądrzejszym, wie się wszystko lepiej niż ci kawiarniani intelektualiści czy Zachód – tłumaczy ten fenomen socjo-

log dr Michal Vašečka. I dodaje, bardziej już obrazowo: – To tradycja sprytnego wojaka Szwejka, ale bez tego słodkiego spojrzenia, z jakim kojarzony jest Szwejk. Właśnie na to gra Zeman.

Zeman, polityk z długim stażem, zawsze słynął z wypowiedzi przekraczających granice dobrego smaku i wychowania. Prezentował się jako swój chłop, który lubi się napić becherovki i nie zwraca sobie głowy wegetariańskimi sałatkami. Jednocześnie świetnie wyczuwa nastroje i dostosowuje do nich swą retorykę. Stąd pojawiły się u niego ostatnio wypowiedzi antyromskie. Krytykuje też Unię za politykę wobec kryzysu uchodźczego, w tym system kwot.

Na jego sukces, jakim jest szansa na reelekcję, składa się jeszcze coś. – Kluczem do zrozumienia fenomenu Zemana jest czeskie poczucie samowystarczalności: my sobie sami wystarczymy, nikogo nie potrzebujemy, nikt nam nie będzie mówił, co mamy robić – tłumaczy Vašečka.

Rzeczywiście, w swym świątecznym orędziu Zeman podkreślał, że Czesi nie mają się czego wstydzić, a jest wiele rzeczy, z których mogą być dumni, i że powinni polegać na sobie i swoich osądach. „Głowa do góry!” – zachęcał.

W światowym trendzie

Podczas poprzednich wyborów prezydenckich, w 2013 r., Karel Schwarzenberg – ówczesny rywal Zemana – nazwał go przeciwnikiem, który reprezentuje przeszłość. Pomylił się: Zeman okazał się politykiem na dzisiejsze czasy, wpisującym się też w trendy światowe. Uderzające jest choćby podobieństwo do Donalda Trumpa, również nieustraszonego od mocnego języka i schlebającego obywatelom krytycznym wobec „elit”.

Wybory – i te parlamentarne, i te prezydenckie – opisuje się zwykle w kategoriach politycznych układów czy kierunków polityki zagranicznej i gospodarczej. Jednak nadchodzące wybory prezydenta Czech mają też inny, nieco głębszy aspekt. Mogą być sygnałem, jak zmieniają się Czesi.

Michal Vašečka zwraca uwagę, że Jiří Drahoš jako były prezes Akademii Nauk, profesor i intelektualista, reprezentuje starą czeską demokratyczną tradycję. W roli prezydenta byłby może jednym z owych „filozofów na tronie” (choć jest chemikiem). Jeśli więc Zeman miałby być reprezentantem „małego czeskiego człowieka”, owego sprytnego Szwejka, to wybory rozstrzygną nie tylko to, kto zasiądzie na praskim zamku, ale też to, w jaką stronę zwróci się Czechy. I czy na dobre odwrócą się od dziedzictwa Havla. ©



ALESSANDRA BENEDETTI / CORBIS / GETTY IMAGES

Silvio Berlusconi w studiu telewizyjnym, znów w politycznym żywiole, listopad 2017 r.

Ludzie marnej reputacji

BARTOSZ HLEBOWICZ Z FLORENCJI

We Włoszech trwa kampania przed marcowymi wyborami. Nadzieje na stabilny rząd są małe. Karty znów może rozdawać – politycznie zmartwychwstały – Silvio Berlusconi.

POWIEDZIEĆ, ŻE NIC NIE JEST PEWNE, TO jeszcze nic nie powiedzieć. Włosi nie wiedzą, czy po 4 marca 2018 r. rządzić będą nimi euroentuzjaści, czy może eurosceptycy. Czy władzę obejmą partie stawiające na integrację imigrantów, czy też takie, które najchętniej wyekspediowałyby ich z powrotem do Afryki. Nie wiedzą też, kto, czy i jak mógłby rozwiązać problem wysokiego bezrobocia (średnio wynosi ono 11 proc., ale wśród ludzi młodych ponad 30 proc.!) albo załagodzić kryzys bankowy.

Poważnych graczy jest trzech. Pierwszy – to populistyczna partia Ruch Pięciu Gwiazd. Drugi – to prawicowa koalicja, złożona z ugrupowania Forza Italia Berlusconi, Ligi Północnej Matteo Salvini i Fratelli D'Italia pani Giorgii Meloni (posiadająca łącznie 36 proc. poparcia). Trzeci – to lewicowa koalicja skupiona wokół rządzącej Partii Demokratycznej (w grudniowych sondażach otrzymywała 29 proc., mniej więcej tyle co Ruch Pięciu Gwiazd). Jest jeszcze druga koalicja lewicowa, występująca pod nazwą Wolni i Równi – utworzyło ją w grudniu 2017 r. kilka mniejszych formacji krytycznych wobec Partii Demokratycznej, a jej liderami są byli działacze tej partii (na razie może ona liczyć na nieco ponad 6 proc.).

Chaos gwarantowany

Dwie trzecie miejsc zostanie wyłonionych w wyborach proporcjonalnych, jedna trzecia w okręgach jednomandatowych. W praktyce większościowy rząd ma szansę utworzyć tylko ta partia bądź koalicja, która uzyska 40 proc. głosów w wyborach proporcjonalnych i 70 proc. w wyborach jednomandatowych. Czyli... nikt.

Sytuacja, w której wiadomo, że utworzenie rządu będzie skomplikowane, sprzyja spekulacjom na temat powyborczych koalicji. Zdaniem analityków jedną z nich mógłby być sojusz centrolewicowej Partii Demokratycznej i prawicowej Forza Italia – choć ich liderzy, Matteo Renzi i Silvio Berlusconi, wykluczają taki scenariusz. Precedens jednak miał już miejsce: w 2013 r.,

gdy w wyniku wyborczego pata ci sami polityczni przeciwnicy utworzyli wspólnie rząd (partia Berlusconi nazywała się wtedy Popolo della Libertà, Lud Wolności).

Ale dziś taki egzotyczny sojusz jest mało prawdopodobny. Choćby dlatego, że nawet liczone wspólnie, obie partie mają małe szanse na zdobycie przewagi. Mimo to Matteo Salvini, lider Ligi Północnej, obawia się takiego scenariusza tak bardzo, że zażądał od Berlusconi gwarancji, iż ten nie zawrze paktu z Renzimi.

Rewolucjoniści-szydercy i błazen-państwowiec

Jest jednak coś, co łączy Renziego i Berlusconi – rzecz jasna, poza umiejętnością zawierania kompromisów z przeciwnikami. Obaj czują awersję do Ruchu Pięciu Gwiazd, który wdarł się przebojem do polityki w 2013 r., zapowiadając, że odsunie skorumpowanych polityków (czyli, ich zdaniem, wszystkich) i odda władzę w ręce ludu (cokolwiek by to miało znaczyć).

Choć dotąd Ruch odmawiał udziału w rządzeniu krajem, cieszy się niesłabnącym poparciem niemal jednej trzeciej wiecznie niezadowolonych wyborców. Nie przeszkadza im populistyczna retoryka liderów Ruchu: szefa partii, byłego komika Beppego Grilla oraz jej kandydata na przyszłego premiera, 30-letniego Luigię Di Maio. Ruch stworzył alternatywny system obiegu informacji, rozprzestrzeniając w internecie masę fałszywych newsów na wszelkie możliwe tematy, od medycyny po politykę.

O metodach Pięciu Gwiazd wiele mówią sztycherzy Grilla, który świetnie umie nakręcać spiralę nienawiści wobec innych polityków, np. rzucając na Facebooku pytanie: „Co byście zrobili z Boldrini, gdyby nagle znalazła się w waszym samochodzie?” (Laura Boldrini to przewodnicząca parlamentu, znienawidzona przez prawicę i populistów). Także Di Maio lubi brudne chwytły. Na dzień przed zapowiadaną debatą telewizyjną z Renzim ogłosił, że jednak nie weźmie w niej udziału, bo Renzi nie jest partnerem do rozmowy. Albo potrafi zmusić do opuszczenia restauracji nie lubianych przez siebie dziennikarzy, którzy przypadkowo zasiedli przy sąsiednim stole. Niedawno ogłosił, że gdyby doszło do referendum w sprawie porzucenia euro, głosowałby „za” – choć takie referendum byłoby niezgodne z konstytucją, a rezygnacja ze wspólnej waluty oznaczałaby katastrofę dla gospodarki. W środku kryzysu migracyjnego rzucał oskarżenia na organizacje pozarządowe, ratujące uciekinierów z morza.

Berlusconi nie przebiera w słowach, gdy mówi o Ruchu Pięciu Gwiazd. „Ta partia to wielkie niebezpieczeństwo – powiada były premier, który wielokrotnie dawał się poznać jako polityczny błazen, a teraz wchodzi w rolę państwowca. – To ludzie, którzy nigdy nic w życiu nie robili, nie pracowali, nie potrafili podejmować decyzji, nie mają żadnych kompetencji. Po wyborach lokalnych pokazali, że nie potrafili rządzić. Na ich czele stoi stary komik”. Z kolei o Di Maio mówił lekceważąco: „Ma ładną gładką buzię, to ładna gwiazdka. Studiował prawo i inżynierię, ale nie udało mu się skończyć ani jednego, ani drugiego. Pracował tylko raz w życiu, jako steward na stadionie, żeby oglądać mecze za darmo” (w istocie Di Maio sam o tym opowiadał).

Naprzód, Silvio

Krytyka Berlusconi wobec Ruchu Pięciu Gwiazd może wydawać się uzasadniona, gdyby nie to, że on sam jest ucieleśnieniem – łagodnie ujmując – braku powagi w polityce.

Dla Berlusconi, który premierem był już cztery razy, polityka nie jest sferą realizowania jakiejś idei, lecz metodą skutecznego bogacenia się. Od fiskusa wyłudził – przy pomocy swej spółki medialnej Mediaset – setki milionów euro, które łądowały na jego prywatnych kontach w rachach podatkowych. Przekupując senatora przeciwnej partii, doprowadził do upadku lewicowego rządu Romana Prodięgo. W siedzibie rządu organizował orgie z prostytutkami. Wkrótce czeka go kolejny pro-

ces dotyczący afery z prostytutkami i kupowaniem ich milczenia w śledztwie.

Ale dla sporej grupy wyborców najwyraźniej nie ma to znaczenia: niemal co szósty Włoch popiera Forza Italia. Dzięki nim Berlusconi ma szansę zostać liderem prawicowej koalicji, choć jeszcze przez kilka miesięcy będzie ciążył na nim zakaz sprawowania urzędów publicznych (z powodu wyroku za oszustwa podatkowe), a zatem nie będzie mógł zostać premierem. Rywalizująca z Forza Italia o pierwszeństwo na prawicy Liga Północna ma na razie o dwa punkty mniej. Trzecia partia wchodząca w skład tej koalicji, Fratelli D'Italia, w grudniu osiągnęła największe poparcie w swej historii: 5,5 proc. (to spadkobierczyńi Alleanza Nazionale, która z kolei była kontynuatorką faszystowskiego Włoskiego Ruchu Socjalnego).

Zjednoczeni, choć różni

Liga Północna i Fratelli D'Italia to dla Berlusconiego niewygodni sojusznicy.

Poza wzajemną niechęcią między „Il cavaliere” a szefem Ligi Salviniem różnią ich poglądy na Unię Europejską. Liga i Fratelli D'Italia ostro ją krytykują, czego Berlusconi unika. Jego formacja należy do Europejskiej Partii Ludowej, największej frakcji w europarlamencie – z niej wywodzą się np. przewodniczący Komisji Juncker, przewodniczący Rady Europejskiej Tusk i przewodniczący europarlamentu Antonio Tajani (Berlusconi czasem wskazuje na Tajaniego jako na przyszłego premiera centroprawicowego rządu). Z Salviniem i Meloni u boku Berlusconiemu trudno byłoby pokazać się Europie.

Jednak antyeuropejczy i faszyzujący radykałowie, Fratelli D'Italia i Liga Północna, też ze sobą rywalizują. Giorgia Meloni, liderka Fratelli D'Italia, krytykowała szefów Ligi za przeprowadzenie w północnych regionach referendum w sprawie autonomii. Potem, mimo formalnej współpracy, Fratelli D'Italia nie dopuściła Ligi do współrządzenia na Sycylii. Z kolei Salvini rozwścieczył panią Meloni zawierając pakt z byłymi politykami związanymi w przeszłości, tak jak Meloni, z Alleanza Nazionale.

Trudno wyobrazić sobie wspólne rządy tak różnych formacji: „centrystów” i wolnorynkowców Berlusconięgo, dążących do autonomii Północy członków Ligi (część z nich przeobraziła się ostatnio w nacjonalistów) oraz marzących o silnym państwie ludzi z Fratelli D'Italia, którzy celebrują pamięć o XX-wiecznym dyktatorze Mussolinim. Nie łączy ich wiele – poza chęcią zdobycia władzy. Ale właśnie dlatego idą do wyborów razem. A jeśli się nie

uda, Berlusconi zawsze może wrócić do opcji rządów z Partią Demokratyczną...

Lewica ćwiczy odejmowanie

Jest jeszcze inny wariant: niedawno Berlusconi oświadczył, że jeśli po marcowych wyborach nie uda się utworzyć rządu, powinno się szybko rozisać nowe. W międzyczasie upłynie jego trzyletnia kara i będzie mógł się starać o sądową rehabilitację. Jeśli ją uzyska, w kolejnych wyborach startowałby już jako kandydat na premiera.

Co innego lewica. Choć wiele ją łączy – poglądy na swobody obywatelskie albo na przyjmowanie imigrantów – to idzie do wyborów podzielona. Liderzy mniejszej koalicji – Wolnych i Równych, skupionej wokół marszałka Senatu Pietra Grasso – zarzucają rządowi porzucenie klasy robotniczej, podkopanie roli związków zawodowych, odpowiedzialność za istnienie prekariatu. Wygląda na to, że największym problemem Wolnych i Równych jest Matteo Renzi, szef Partii Demokratycznej – z ich punktu widzenia mniejszym złem byłoby najwyraźniej objęcie władzy przez koalicję oszusta Berlusconięgo, ksenofoba Salvinięgo i pogrobowczyńi faszyzmu Meloni, niż współrządzenie z liderem partii, do której większość z nich niedawno należała.

Jeśli chodzi o arytmetykę, włoska prawica wyspecjalizowała się w dodawaniu, lewica zaś w odejmowaniu.

Dwa pewniki

Tymczasem jednak na największą partię wyrasta Ruch Pięciu Gwiazd, który jako jedyny nie idzie do wyborów w koalicji. Co nie znaczy, że tak będzie również po wyborach. Szykowany na premiera Luigi Di Maio zapowiedział w grudniu, iż po raz pierwszy jego partia jest gotowa zawrzeć koalicję rządową, tyle że „z każdym, byle nie z Partią Demokratyczną”.

Faktycznie, dzięki brakowi jakiegokolwiek programu (poza ogólną „rewolucją”) populiści Grilla mogą rządzić wspólnie albo z Ligą Północną (obie partie przedstawiają się jako antysystemowe, antyimigranckie, antyeuropejskie i prorosyjskie), albo z Wolnymi i Równymi. W drugim przypadku Ruch musiałby zawiesić swoją antyeuropejskość i złagodzić ksenofobiczne zapędy. Żaden problem – o wszystkim zdecyduje matematyka i „wola wyborców”.

W natłoku niewiadomych są dwa pewniki. Pierwszy: z roku na rok sondaże pokazują, że Włosi coraz mniej ufają politykom. A drugi: gdy przychodzi dzień wyborów, ci sami Włosi zaciskają zęby i znów oddają głos na ludzi marnej reputacji, którzy już nieraz zrobili ich w balona. ©

Grecja pęka na pół

AGNIESZKA ROSTKOWSKA Z ATEN

Demony antycznej Sparty kontra współcześni anarchiści i ich męczennicy: radykalne grupy greckiego społeczeństwa są mobilizowane do konfrontacji przez potężne symbole. Ich starcia zbierają żniwo.

11-LETNI AMIR NIE MOŻE SIĘ OTRZĄSNĄĆ. Wciąż przed oczami ma bryły kamieni, które przy dźwięku tłuczonych szyb wpadły nad ranem do jego pokoju. Do kamieni dołączono list, markerem na kawałku dykty: „Wynocha! Wracajcie do swojej wioski”. Autorzy nie podpisali się, ich tożsamość ustala policja. Motyw jest jasny: nienawiść na tle rasowym i religijnym. Bo choć Amir i jego rodzina od lat mieszkają w ateńskiej dzielnicy Dafni, pochodzą z Afganistanu.

Ich kłopoty zaczęły się w tzw. Dniu Ohi. To święto upamiętniające odrzucenie przez premiera Ioannisa Metaxasa ultimatum faszystowskich Włoch, które w 1940 r. zażądały udostępnienia bliżej niesprecyzowanych „strategicznych miejsc na terenie Grecji”. W tym dniu ulicami miast i wsi w Grecji oraz na Cyprze przechodzą liczne parady. W jednej z nich Amir miał odegrać ważną rolę: nieść flagę. Przywilej ten wygrał w szkolnym konkursie. Jednak dyrekcja konkursu unieważniła, na pocieszenie pozwalając Amirowi maszerować z tabliczką z numerem szkoły.

Miejscowi neonaziści i tak uznali to za skandal. Afgańczyk publicznie reprezentujący grecką szkołę? Przy pomocy kamieni wycelowanych w okna mieszkania Amira przypomnieli mu, gdzie jego miejsce. Zresztą nie tylko jemu. Na wyspie Santorini zaatakowali niosącą flagę szkoły studentkę o albańskich korzeniach (paradę przerwano i odwołano). Do podobnych incydentów doszło również w innych miejscach Grecji.

Jednak to atak na rodzinę Amira jest szczególnie alarmujący. Przypadła się do niego Krypteja – organizacja o wymownej nazwie. W antycznej Grecji mianem tym określano oddziały młodych Spartan, którym co roku powierzano zadanie wymordowania jak największej liczby silnych, zdrowych helotów. Rzeź miała budzić postrach i zapobiegać potencjalnym buntom. Nowo powstała organizacja, z dumą nawiązująca do tej historii, została utworzo-

na przez byłych członków i sympatyków Złotego Świtu – skrajnie prawicowej partii, powszechnie uznawanej za neonazistowską. Krypteja zaczęła tworzenie swoich struktur od naboru do bojówek, które mają zadbać o to, aby – jak zapowiadają – „w Grecji nie został ani jeden imigrant”. Właśnie przystąpili do działania.

Mapa na czerwono

O ile Krypteja jest organizacją nową, to do ataków na cudzoziemców dochodzi w kraju od kilku lat.

Yunus Mohammadi, prezes stowarzyszenia Afgańczyków w Grecji, mówił organizacji Human Rights Watch, że na mapie stolicy, którą wręcza nowo przybyłym, zakreśla coraz więcej czerwonych kółek: „Tak samo robiłem w Afganistanie, tyle tylko, że tam stawiałem czerwony krzyż. Oznaczał strefy, których trzeba unikać, żeby nie stracić życia”.

Nie ma miarodajnych statystyk dotyczących liczby napaści. Imigranci zwykle nie zgłaszają ich na policję, z obawy przed zatrzymaniem lub deportacją.

Tempo eskalacji problemu Grecy uświadomili sobie w styczniu 2013 r., gdy 26-letni Pakistańczyk Shehzad Luqman został w drodze do pracy zadźgany przez dwóch napastników związanych ze Złotym Świtem. Partia miała wtedy – od pół roku – 18 posłów w 300-osobowym parlamencie. Jej radykalne nacjonalistyczne i antyimigranckie hasła chwyciły w czasach zwątpienia: rosnącego bezrobocia, kryzysu gospodarczego i społecznego sprzeciwu wobec kroków oszczędnościowych, nałożonych na Grecję przez Unię Europejską i Międzynarodowy Fundusz Walutowy. Dziś partia ma w parlamencie 16 miejsc, co w znacznej mierze zawdzięcza kryzysowi uchodźczemu.

Lider Złotego Świtu Nikolaos Michaloliakos zbił na nim spory polityczny kapitał, ogłaszając, że obroni Greków przed „inwazją obcych najeźdźców, na którą rząd w żaden sposób nie reaguje”. W 2015 r.

członkowie jego partii zaczęli odwiedzać greckie wyspy, zachęcając ich mieszkańców, aby zawracali przybijające do brzegów łodzie z imigrantami. Jednocześnie główną, nad wyraz skuteczną krucjatę prowadzili w mediach społecznościowych.

Stworzyć klimat wojny domowej

Już w następnym roku zwolennicy Złotego Świtu przystąpili do śmiałych ataków na obozy dla uchodźców. W listopadzie 2016 r. doszło do jednego z najgłośniejszych z nich. „Przez dwie noce prawicowi ekstremiści, stojąc na murach otaczających obóz Souda na Chios [wyspie na Morzu Egejskim – red.], obrzucali go kamieniami, fragmentami skał i koktajlami Mołotowa” – informowała Amnesty International. W obozie przebywało wtedy tysiąc osób. Kilka osób zostało poważnie rannych. W kwietniu 2017 r. aresztowano dwóch napastników.

Obecnie już nie tylko uchodźcy są celem. „Ataki na migrantów pod osłoną nocy już im nie wystarczają. Ich nienawiść sięga dużo dalej: biorą na celownik przedstawicieli lewicy, chcąc spowodować wzrost napięcia w społeczeństwie” – przestrzegał w rozmowie z brytyjskim dziennikiem „Guardian” Dimitris Psarras, pisarz i dziennikarz śledczy zajmujący się Złotym Świtem.

Psarras twierdzi, że Złoty Świt dąży do stworzenia klimatu wojny domowej, zmuszając Greków do opowiedzenia się po jednej z dwóch stron, lewicy lub prawicy. Na potwierdzenie swojej tezy przytacza m.in. atak, jaki grupa ok. 50 neonazistów przeprowadziła cztery lata temu na członków i sympatyków Partii Komunistycznej w Peramie, robotniczej dzielnicy Aten. Dziewięć osób trafiło do szpitala z poważnymi obrażeniami.

Ale nie trzeba sięgać tak daleko w przeszłość, aby zauważyć, że Grecja pęka na pół.

Wszechobecny raper

W Atenach coraz więcej jest Pavlosa Fyssasa. Jego podobizny widnieją na ścianach budynków. Imię pisane jest sprejem w najróżniejszych konfiguracjach: „Gdybyście nie byli bierni w obliczu ataków na migrantów, Fyssas nadal by żył”. „Będziemy walczyć z neonazizmem. R.I.P. Killah P”.

Pavlos Fyssas – pseudonim „Killah P” – to hip-hopowy artysta, występujący przeciw neonazistom i ksenofobom. We wrześniu 2013 r. poszedł ze swoją dziewczyną i parą znajomych do pubu, aby obejrzeć mecz. Tam dopadło go kilkudziesięciu mężczyzn uzbrojonych w kije bejsbo-



ALKIS KONSTANTINIDIS / REUTERS / FORUM

Marsz przeciw faszystom, w czwartą rocznicę zabójstwa Pavlosa Fyssasa, Ateny, wrzesień 2017 r.

we i noże. Policjanci zareagowali za późno. Fyssas zmarł na chodniku, od zadanych nożem ran. Miał 34 lata.

Przed śmiercią zdążył wskazać głównego napastnika: Giorgosa Roupakiasa, aktywistę zatrudnionego w kawiarni w siedzibie Złotego Świtu. Golden Dawn Watch, grupa zajmująca się monitorowaniem działań neonazistów, twierdzi, że Roupakias działał za przyzwoleniem władz partii.

Wybuch społecznego gniewu, który nastąpił po śmierci Fyssasa, zmusił grecki rząd do szybkiej reakcji. Aresztowano 70 członków i zwolenników Złotego Świtu, w tym jego lidera Michaloliakosa. Postawiono im zarzuty członkostwa w organizacji przestępczej, morderstwa lub współudziału w morderstwie, posiadania broni i przemocy na tle rasowym.

Ale lewicowi radykałowie nie zamierzali czekać na Temidę. Wkrótce po śmierci Fyssasa wzięli odwet: zastrzelili dwóch członków Złotego Świtu, Manolisa Kapeilonisa i Giorgosa Fountoulisa. Powiało klimatem wojny domowej, przed którą przestrzegał Psarras.

Proces Złotego Świtu zaczął się w kwietniu 2015 r. i trwa nadal, a zakończy się nie wcześniej niż pod koniec 2018 r. Roupakias, domniemany zabójca Fyssasa, przebywa w areszcie domowym. Pomnik rapera, wzniesiony w miejscu jego śmierci, jest regularnie dewastowany kreślonymi sprejem swastykami.

Nośniki gniewu lewicy

Z roku na rok zabity raper urasta do rangi symbolu, który mobilizuje lewicę do konfrontacji z radykałami prawicy. Jego wiel-

koformatowa, czarno-biała podobizna widnieje m.in. na murach Politechniki Narodowej w Atenach. To tu w 1973 r. zaczął się wielki strajk studentów, którzy postawili się rządzącej wówczas juncie tzw. czarnych pułkowników.

Tu również zaczyna się rewir skrajnej greckiej lewicy: Exarchia, powszechnie znana jako „dzielnica anarchistów”. Ściany, filary, a nawet drzwi budynków pokryte są tu grubą warstwą graffiti: kurdyjscy bojownicy walczą w sąsiedztwie hasel „kapitalizm surowo zabroniony”, plakatów informujących o demonstracjach i anarchistycznych flag.

Na głównym placu, pod transparentami wyrażającymi solidarność z lewicowymi aktywistami z całego świata, grupki ludzi w różnym wieku palą jointy. Artysty, socjaliści i antyfaszyści w licznych squatach prowadzą zawzięte dyskusje. Granice Exarchii wyznaczają szpalery policjantów. Jeśli zapuszczają się choćby kilkadziesiąt metrów w głąb dzielnicy, momentalnie dochodzi do zamieszek, o których przypominają potem spalone auta.

Mieszkańcy Exarchii co roku dołączają do wielkiej demonstracji, organizowanej w rocznicę śmierci Fyssasa. W 2017 r. odbyła się ona pod hasłem „Od Grecji do Ameryki, zmiażdżymy neonazistów”. Przemarsz spod parlamentu pod siedzibę Złotego Świtu skończył się zamieszkaniami. I nie tylko. Zabity raper wspomniany był w Atenach przez trzy dni, a serię wydarzeń ku jego czci zamknął koncert w porcie Pireus. Pamięć o Fyssasie z roku na rok staje się więc coraz potężniejszym nośnikiem gniewu lewicy. Angażującym

silniej niż wspomnienie Alexandrosa Grigoropoulisa, które co roku w grudniu wynosi Ateny na nagłówki światowych mediów.

15-letni Grigoropoulos wraz z kolegą zwyzywali policyjny patrol, który przejeżdżał ulicą prowadzącą do Exarchii. Był rok 2008. Radiowóz odjechał, ale policjanci wrócili do chłopców pieszo. Wywiązała się pyskówka, padł strzał. Grigoropoulos zmarł na rękach kolegi. Na ulice Exarchii wyszły tysiące wściekłych młodych ludzi, palących auta, pojemniki na śmieci, przystanki. Kilka godzin później Ateny stanęły, a gniew rozlał się na cały kraj.

Wydarzenia te okrzyknięto największymi zamieszkami, jakie widziała Grecja od przywrócenia demokracji w 1974 r. I choć policjant, który strzelił, otrzymał wyrok dożywocia, a towarzyszącego mu funkcjonariusza skazano na 10 lat, w każdą rocznicę dochodzi do gwałtownych demonstracji. Rozpędzanych przez policję, także przy użyciu gazu łzawiącego i armatek wodnych.

Kryzys sprzyja radykalizacji

Gdy górę biorą jednak emocje, gaz i armatki nie robią na Grekach wrażenia.

W miejską partyzantkę na nowo zaangażował się nawet sędziwy Manolis Glezos. Ponad 70 lat temu zapisał się w historii Grecji, wspinając się na Akropol, aby zerwać niemiecką flagę ze swastyką. Potem za swą działalność kilkakrotnie wtrącany był do więzienia, później zasiadł w parlamencie, zaś w 2014 r. – mając 91 lat – został najstarszym posłem w Parlamencie Europejskim (po roku zrezygnował z tej funkcji).

W marcu 2010 r. świat obiegły zdjęcia, jak nieprzytomny Glezos wynoszony jest z demonstracji przez policjantów. W kolejnych latach regularnie uwieczniany był w podobnych okolicznościach: jak wzburzonemu mężczyźnie policjanci traktują gazem albo w czasie aresztowania. Teraz Glezos nie protestuje jednak przeciw neonazistom, lecz przeciw polityce oszczędności prowadzonej przez grecki rząd.

Nic tak nie sprzyja radykalizacji jak kryzys gospodarczo-społeczny. A jeśli w sukurs przychodzą mu tak potężne symbole jak antyczna Krypteja oraz Fyssas i Grigoropoulos, wtedy podziały w społeczeństwie dokonują się błyskawicznie. W państwie, w którym w XX stuleciu starcie lewicy i prawicy doprowadziło do wojny domowej, jest to szczególnie niepokojące. ©

Miejsce w pamięci

GRZEGORZ SZYMANOWSKI Z BERLINA

Grupa Niemców apeluje o budowę w Berlinie pomnika polskich ofiar niemieckiej okupacji. Chcą zwiększyć świadomość rodaków o zbrodniach III Rzeszy na Polakach.

FLORIAN MAUSBACH ZASTRZEGA, ŻE NIE jest historykiem. Ale jako urbanista zna się na znajdowaniu odpowiednich miejsc. A to mieszkający w Warszawie syn Leo zwrócił jego uwagę na polską historię. Zatem gdy przed rokiem Florian usłyszał od syna o pomysłach budowy w Berlinie pomnika dla polskich ofiar niemieckiej okupacji, szybko wyobraził sobie odpowiednie miejsce.

Plac Askański – przy ruinach byłego dworca Anhalckiego, zachowanych do dziś w takim stanie, w jakim pozostawiła je wojna – znajduje się niedaleko centrum Berlina. To przy nim Florian Mausbach, w przeszłości wieloletni szef Federalnego Urzędu Budownictwa i Planowania Przestrzennego, upatrzył odpowiednie miejsce dla pomnika, o którego budowę apelował jeszcze w 2013 r. Władysław Bartoszewski. Od tamtego czasu idea krążyła wśród historyków i działaczy, zaangażowanych w sprawę polsko-niemieckie.

Idąc od placu Askańskiego na północ, po kilkuset metrach minimy plac Poczdamski, a następnie dojdziemy do Bramy Brandenburskiej. To w jej pobliżu znajdują się dziś najważniejsze pomniki poświęcone ofiarom nazistowskich Niemiec, w tym wybudowany w 2005 r. rozległy Pomnik Pomordowanych Żydów Europy.

– Moja propozycja dobrze przyjęła się wśród wielu historyków, więc rok po tamtej rozmowie syn poprosił mnie, żebym sformułował ją na piśmie i ogłosił publicznie – opowiada Mausbach w rozmowie z „Tygodnikiem”.

Nieznane bezprawie

„Nie ma chyba ani jednej polskiej rodziny, która nie była i nie jest dotknięta niemiecką okupacją w latach 1939–1945.



Andreas Nachama (szef muzeum Topografia Terroru), Florian Mausbach (architekt i były szef Federalnego Urzędu Budownictwa i Planowania Przestrzennego) i Dieter Bingen (dyrektor Deutsches Polen-Institut) na placu Askańskim, gdzie miałby stanąć pomnik upamiętniający polskie ofiary niemieckiej okupacji. Berlin, listopad 2017 r.

W Niemczech to barbarzyńskie bezprawie nie jest dostatecznie znane” – czytamy w pierwszym zdaniu apelu, zaadresowanym do Bundestagu i niemieckiej opinii publicznej. Po przypomnieniu losów Polski podczas wojny, jego inicjatorzy pytają: „Czy te niezmiernie wielkie ofiary, cierpienie i upokorzenie Polaków nie zasługują na znak upamiętnienia w centrum naszej stolicy?”.

Apel podpisało ponad 80 niemieckich historyków, polityków, duchownych i działaczy kultury. Wśród nich m.in. dwoje dawnych przewodniczących Bundestagu – Rita Süßmuth (z chadecji) i Wolfgang Thierse (socjaldemokrata) – a także obecny koordynator niemieckiego rządu ds. współpracy z Polską Dietmar Woidke, jak również arcybiskup Berlina Heiner Koch czy rabin Andreas Nachama, dyrektor berlińskiego muzeum Topografia Terroru (dokumentującego zbrodnie III Rzeszy).

O apelu szeroko donosiły niemieckie media. Także dlatego, że oficjalne stosunki polsko-niemieckie wyraźnie pogorszyły się w ostatnich dwóch latach. Do Berlina docierają polskie głosy o ewen-

tualnym domaganiu się wojennych reparacji. Dziennik „Die Welt” oceniał, że w atmosferze takich „niezrozumiałych żądań” ciężko liczyć na powstanie pomnika. Z kolei berliński dziennik „Tagespiegel” w pozytywnym komentarzu odnotowywał, że właśnie dzisiaj jest to potrzebna inicjatywa. Z kolei „Frankfurter Allgemeine Zeitung” krytykował proponowaną lokalizację monumentu, zwracając uwagę, że po drugiej stronie ulicy powstaje właśnie wystawa Fundacji Ucieczka, Wypędzenie, Pojednanie, poświęcona wygnaniu Niemców z Europy Środkowej po 1945 r., która była w przeszłości drażliwym tematem między Berlinem i Warszawą. Inicjatorzy apelu widzą jednak tę lokalizację jako zaletę. „W ten sposób można zakończyć spór” – piszą w piśmie do Bundestagu.

W niemieckiej stolicy stoi już co prawda „Pomnik Żołnierza Polskiego i Niemieckiego Antyfaszysty”, ale – postawiony jeszcze w latach 70. XX wieku we wschodnim Berlinie na cześć, jak wtedy mawiano, komunistycznego „braterstwa broni” – nie pasuje do dzisiejszej epoki i współczesnych narracji historycznych.

– Jako pomnik traci on rację bytu, nie jest też odwiedzany przy oficjalnych wizytach państwowych – mówi rzecznik polskiej ambasady w Berlinie Dariusz Gawłóś. – Jeżeli z pomysłem budowy nowego pomnika występują teraz sami Niemcy, to należy docenić ten potrzebny i szlachetny gest – dodaje.

Dwie inicjatywy

Od czasu dyskusji na temat tego apelu, która odbyła się w grudniu 2017 r. w berlińskim muzeum Topografia Terroru, jasne jest, że przed jego inicjatorami jeszcze długa droga.

Krytycy zwracają uwagę, że dotychczasowe pomniki wznoszone w Berlinie poświęcone są całym grupom ofiar z różnych krajów – Żydom, homoseksualistom, Sinti i Roma – a nie grupom narodowym z poszczególnych państw. Pomnik dla polskich ofiar byłby precedensem, który mógłby spowodować nowe dyskusje – tym bardziej w obliczu wielomilionowych ofiar niemieckiego terroru na terytoriach dzisiejszych Białorusi, Ukrainy i Rosji.

Poza tym w Berlinie od 2013 r. działa już inicjatywa promująca budowę pomnika dla wszystkich ofiar nazistowskiej polityki zdobywania tzw. „przestrzeni życiowej” (*Lebensraum*) w Europie Wschodniej. Takie miejsce miałyby powstać w Tiergarten, niedaleko Bramy Brandenburskiej, i upamiętniać zarówno Polaków, jak też obywateli Związku Sowieckiego.

O budowę takiego monumentu zabiega Peter Jahn, historyk i wieloletni dyrektor Muzeum Niemiecko-Rosyjskiego w berlińskiej dzielnicy Karlshorst. Podczas grudniowej debaty w Topografii Terroru mówił on, że zarówno Polacy, jak i obywatele ZSRR wspólnie stanowili drugą – obok Żydów – centralną grupę ofiar nazistów, a ofiarami represji padali zgodnie z nazistowską ideologią jako „słowiańscy podludzie”. Pomnik tylko dla Polaków byłby, jego zdaniem, niekompletny.

Inicjatywę Jahn poparło wiele berlińskich muzeów i miejsc pamięci. Jednak podczas rozmów z frakcjami w Bundestagu jeszcze poprzedniej kadencji nie udało im się zdobyć poparcia chadecji. „Wierzymy, że będziemy mogli zrealizować nasz cel w następnej kadencji” – odpowiada organizatorzy na pytanie „Tygodnika Powszechnego”.

– To całkowicie błędna koncepcja – ocenia tymczasem Florian Mausbach. – Nie można wrzucać wszystkich ofiar wojny na Wschodzie do jednego worka. Myślę, że dobrze byłoby, gdyby zabrzmiały wyraż-

ne głosy z Polski przeciwko takiemu pomnikowi – dodaje.

– Takie rozwiązanie zdecydowanie nie jest po naszej myśli. To Związek Sowiecki wspólnie z III Rzeszą napadł na Polskę i tym samym przypieczętował jej los – zgadza się Dariusz Gawłóś z polskiej ambasady.

Dyskusja wydaje się teraz koncentrować jednak właśnie na tych dwóch pomysłach. Polityczny Berlin żyje co prawda przeciągającym się – od września 2017 r. – procesem formowania nowej koalicji rządowej (rzecz w Republice Federalnej bez precedensu). Ale Mausbach i inni otrzymali już pierwsze odpowiedzi na swój apel.

Nowy przewodniczący Bundestagu Wolfgang Schäuble z CDU pisze w liście do inicjatorów, że jest „bardzo otwarty” na pomysł upamiętnienia ofiar niemieckiej okupacji, jednak nie chce jeszcze oceniać, czy to pomnik dla polskich ofiar, czy dla wszystkich ofiar polityki „przestrzeni życiowej” na Wschodzie będzie korzystniejszym rozwiązaniem. „Proszę o zrozumienie, jeśli ocenę państwa inicjatywy pozostawię na razie debacie publicznej” – kończy swój list Schäuble, który jako przewodniczący Bundestagu odgrywa w tym procesie ważną rolę.

Zmiany w pamięci

Zwolennicy budowy pomnika polskich ofiar zapowiadają, że teraz jeszcze aktywnej wyjdą do opinii publicznej ze swoimi argumentami. Fakt, że o upamiętnieniu polskich ofiar niejako konkurują ze sobą dwie odmienne inicjatywy, sprawia, iż taka debata będzie niezbędna.

Podobne dyskusje poprzedzały również budowę innych pomników ofiar w Berlinie. Wszak niemiecka kultura pamięci – jak każda inna – podlega zmianom i redefinicji na przestrzeni lat. „To, o czym z przeszłości pamiętamy, a o czym nie, zależy także od tego, dla kogo, po co i w jakiej sytuacji dana historia jest potrzebna” – pisała niemiecka badaczka pamięci Aleida Assmann.

– Dopiero od lat 80. XX wieku otwarcie mówi się o upamiętnieniu wielu różnych grup ofiar nazistów, a od utworzenia lewicowego rządu SPD i Zielonych w 1998 r. stało się to niejako częścią państwowej ideologii, że my, Niemcy, musimy wziąć odpowiedzialność za własną historię – mówi dr Stefan Heinz z Wolnego Uniwersytetu w Berlinie. – Było to jednak możliwe dopiero, gdy większość sprawców już nie żyła, więc wielu nie zostało osądzonych – dodaje.

– Dziś mamy do czynienia z odwrotnym trendem: więcej ludzi niż w ostatnich latach uważa, że zbrodnie III Rzeszy to wydarzenia z dalekiej przeszłości, że nie potrzebujemy więcej pomników – mówi dalej historyk. – Musimy na to patrzeć przez pryzmat dzisiejszych wydarzeń. Widzimy rosnącą popularność prawicowo-populistycznej partii Alternatywa dla Niemiec i malejącą gotowość zajmowania się zbrodniami nazistów w społeczeństwie – dodaje.

Rzeczywiście, na początku 2017 r. Björn Höcke, jeden z liderów AfD, domagał się „zwrotu o 180 stopni” w obecnej polityce pamięci. „My Niemcy jesteśmy jedynym narodem świata, który stawia sobie pomnik hańby w samym centrum stolicy” – tak mówił o pomniku ofiar Holocaustu. Z kolei szef AfD Alexander Gauland przed wrześniowymi wyborami wyznał, że Niemcy mają prawo być dumni z osiągnięć swych żołnierzy w dwóch wojnach światowych. Wprawdzie takie głosy to nadal margines debaty, ale AfD zdobyła w ostatnich wyborach ponad 12 proc. głosów i jest teraz trzecią siłą w parlamencie.

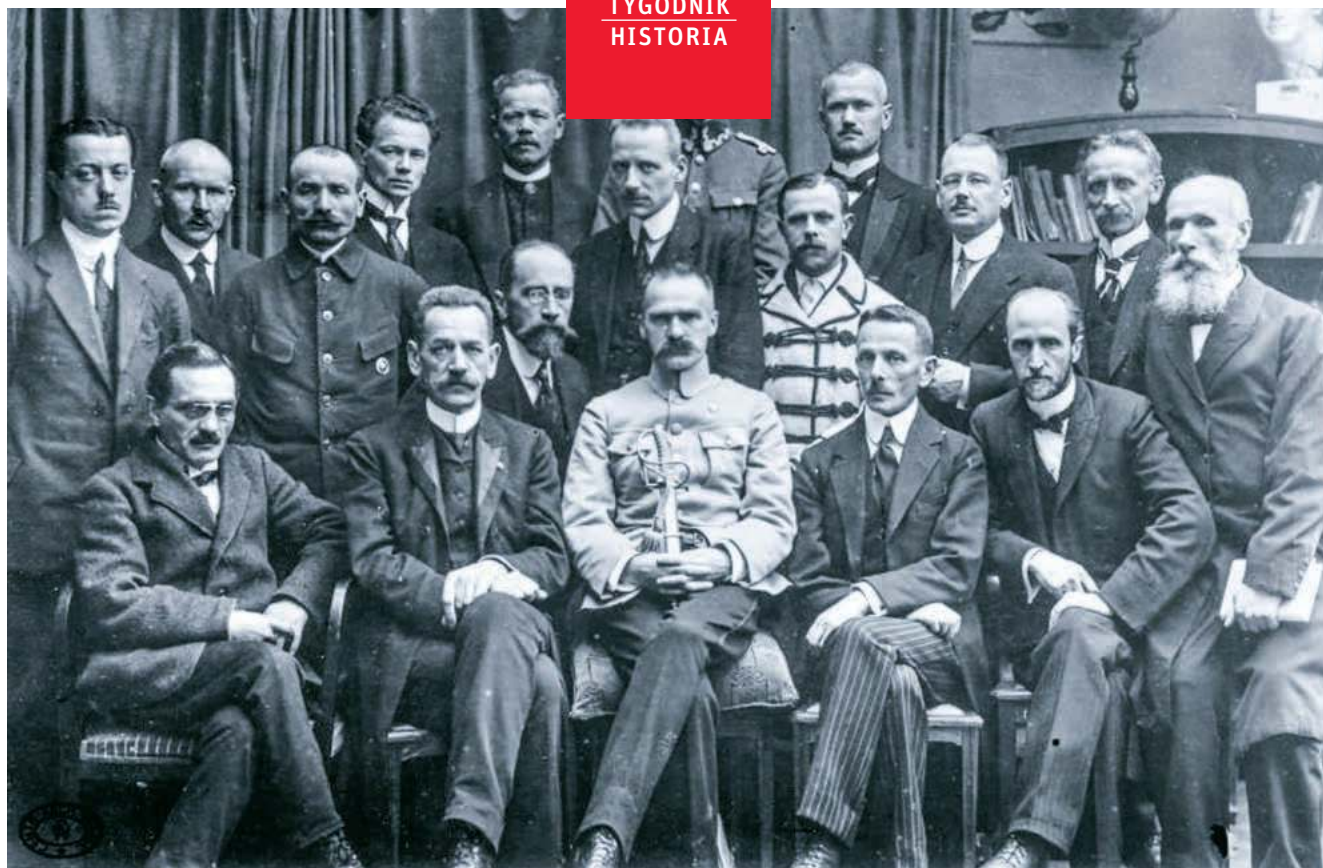
– Uważam, że pomnik polskich ofiar to dobry pomysł. Ale trzeba pamiętać, że sam monument nie zmieni świadomości społeczeństwa. Trzeba dbać o to, żeby pamięć była żywa na co dzień – ocenia historyk Stefan Heinz. – Szczególnie ważne jest przekazywanie wiedzy młodzieży, tak aby ta historia się nie powtórzyła – dodaje. Jego zdaniem nadal mało Niemców wie o wspólnym ataku i podziale Polski przez III Rzeszę i Związek Sowiecki w pierwszych dwóch latach tamtej wojny.

Plecami do Polski

Także Florian Mausbach zgodził się podczas dyskusji w Topografii Terroru, że pomnik mógłby być połączony z wystawą i ofertą edukacyjną dla młodzieży. To jeszcze otwarta kwestia, tak samo jak koncepcja i projekt monumentu. Florian Mausbach mówi też, że w związku z pracami nad apelem sam poprawił swoją wiedzę o historii Polski.

– My Niemcy nadal stoimy plecami do Polski. Znamy dobrze Włochy, Francję czy Wielką Brytanię, ale za mało wiemy o krajach leżących na wschód od nas – mówi Mausbach.

I dodaje: – Przez dziesiątki lat sąsiadowaliśmy z tzw. „blokiem wschodnim” i on nadal jest obecny w naszych głowach. Życzylbym sobie, żebyśmy więcej wiedzieli o tych państwach i różnicach między nimi. ©



„ALBUM ZJEDNOCZENIA. PAMIĄTKA PIĘTNASTOLECIA ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI” / DOMENA PUBLICZNA

Rząd premiera Jędrzeja Moraczewskiego, zaprzysiężony 18 listopada 1918 r. Od lewej siedzą: S. Thugutt, J. Moraczewski, K. Prauss (w drugim rządzie), J. Piłsudski, L. Supiński, L. Wasilewski, T. Nocznicki. Stoją od lewej m.in.: B. Ziemięcki, T. Arciszewski, B. Stolarski (w białej sukmanie).

LEWICOWE POCZĄTKI POLSKIEJ NIEPODLEGŁOŚCI

Pod koniec roku 1918 i na początku 1919
Polska nie tylko odzyskiwała wolność. W cieniu zrywu listopadowego
i walk o granice dokonała się też rewolucja ustrojowa.

REMIGIUSZ OKRASKA

OTO U PROGU NIEPODLEGŁOŚCI ZA STERAMI aparatu publicznego stanęli ludzie, których dziś określono by mianem „lewaków”: socjaliści, postępowi inteligenci, radykalni działacze chłopscy – ludzie lewicy niepodległościowej. Ich decyzje uczyniły z odbudowywanej Polski państwo w wielu kwestiach nowoczesne, pod niektórymi względami wyprzedzające nawet inne kraje.

Z własnego nadania

Początek roku 1918 przyniósł koniec I wojny światowej na froncie wschodnim (pokój brzeski, luty 1918 r.). Ale wojna trwała na froncie zachodnim, włoskim, bałkańskim, a także poza Europą. Zwłaszcza na froncie zachodnim coraz wyraźniejsza była przewaga Ententy. Niemcy i Austro-Węgry słabły. Także politycznie – i również w oczach Polaków, zrażonych tym, że

Berlin i Wiedeń oddały w Brześciu powstającemu państwu ukraińskiemu (Ukraińskiej Republice Ludowej) tereny uważane za polskie (Brześć skompromitował ostatecznie tę opcję, która stawiała na państwa centralne jako sojusznika w odbudowie Polski). Pojawiło się także orędzie prezydenta USA Woodrowa Wilsona, w którym mówił o konieczności odbudowy państwa polskiego, zaś we Francji powstawały pol-

skie dywizje – tzw. Błękitna Armia gen. Józefa Hallera.

Wszystko to dodało wiatru w żagle obozowi niepodległościowemu.

Jednym z jego liderów był Jędrzej Moraczewski – socjalista, działacz galicyjskiej Polskiej Partii Socjalno-Demokratycznej (PPSD), szara eminencja środowisk legionowo-peowiackich, członek tajnego Konwentu A (konspiracyjnej struktury najbardziej zaufanych ludzi Piłsudskiego). To jego widziano w roli szefa przyszłych władz.

W czerwcu 1918 r. w przemówieniu do legionistów Moraczewski mówił: „Polska Niepodległa musi dać ludowi więcej, niż mogliby to kiedykolwiek dać najeźdźcy. Musi dać chłopom ziemię, robotnikom warsztat pracy, inteligencji możność utrzymania. Musi złamać ustrój kapitalistyczny, zdusić lichwę i wyzysk klasy nad klasą. Wtedy w masach narodu pryśnie fałsz, że Polska to powrót pańszczyzny. Zatriumfuje prawda, że Polska to wolność polityczna, równość społeczna i braterstwo wyzwolonych ludów”.

Zjazd Polskiej Partii Socjalistycznej we wrześniu 1918 r. zdecydował o konieczności utworzenia rządu lewicy niepodległościowej. Uznano, że Rada Regencyjna – utworzony przez Niemców załazek polskiej władzy na terenie zaboru rosyjskiego, będącego teraz pod okupacją niemiecką – jako zależna od zaborcy i zdominowana przez obóz zachowawczy nie gwarantuje reform społecznych i nie ma autorytetu w społeczeństwie.

Przygotowania trwały, aż „wieczorem 1 listopada [1918 r.] odbyła się (...) narada wojskowych i cywilnych działaczy lewicy (...). Padło wezwanie natychmiastowego tworzenia rządu w Lublinie, tworzenia samym, bez oglądania się na nikogo” – wspominał Stanisław Thugutt, lider lewicowo-chłopskiego PSL „Wyzwolenie”.

W Warszawie wojska niemieckie jeszcze kontrolowały sytuację. Inaczej było w Lublinie, który był siedzibą austriackich władz okupacyjnych. Po zajęciu Kongresówki w 1915 r. Niemcy i Austriacy podzielili między siebie dawny zabór rosyjski na dwie strefy okupacyjne. Tu wojsko austriackie było już w rozsypce – podobnie jak ck monarchia.

Pierwszy rząd (ludowy)

W nocy z 6 na 7 listopada 1918 r. powołano więc w Lublinie Tymczasowy Rząd Ludowy Republiki Polskiej: pierwszy organ władzy, który powstał bez ugód z zaborcami.

Na czele stanął Ignacy Daszyński, lider galicyjskich socjalistów. W skład rządu weszli politycy PPSD, PPS, PSL „Wyzwole-

nie” i Stronnictwa Niezawisłości Narodowej (reprezentowało radykalną inteligencję). Nazwiska nie pozostawiały wątpliwości co do charakteru gabinetu: ministrem spraw wewnętrznych został Thugutt (prawica zwała go polskim Robespierre'em), szefem resortu komunikacji Moraczewski, ministrem pracy i opieki społecznej socjalista Tomasz Arciszewski (w przeszłości odważny bojowiec PPS), ministrem robót publicznych socjalista-ryzykant Marian „Wojtek” Malinowski, ministrem rolnictwa Juliusz Poniatowski (zwany „czerwonym księciem”), zaś ministrem bez teki mianowano Tomasza Nocznickiego – chłopskiego radykała i antyklerykała. Wiceszefową resortu propagandy została działaczka lewicy chłopskiej Irena Kosmowska – kobieta na takim stanowisku była wtedy rzadkością w skali świata.

Manifest rządu, przygotowany przez Thugutta i Tadeusza Hołówkę z PPS, głosił: „W gruzy walą się rządy kapitalistów, fabrykantów i obszarników, rządy militarne ucisku i społecznego wyzysku mas pracujących. Wszędzie lud pracujący dochodzi do władzy”. Zapowiadano utworzenie samorządów lokalnych i powołanie Sejmu Ustawodawczego. W obu przypadkach wybory miały się odbyć wedle zasady równouprawnienia obywateli bez różnicy płci, pochodzenia, wiary i narodowości. Manifest zapowiadał wolność sumienia, druku, słowa, zgromadzeń, pochodów, zrzeszeń, związków zawodowych i strajków.

Jeszcze śmielsze były decyzje w kwestii reform społecznych: „wszystkie w Polsce donacje i majoraty ogłaszamy niniejszym za własność państwową (...) wszystkie lasy, zarówno prywatne, jak i dawne rządowe, ogłaszamy za własność państwową (...); w przemyśle, rzemiosłach i handlu wprowadzamy niniejszym ośmiogodzinny dzień roboczy”. Wśród postulatów, których zgłoszenie członkowie rządu zapowiadali w przyszłym Sejmie Ustawodawczym, było wywłaszczenie wielkich majątków ziemskich i reforma rolna, upaństwowienie kopalń i części pozostałego przemysłu, wprowadzenie publicznych ubezpieczeń emerytalnych i od bezrobocia, a także wprowadzenie powszechnego, obowiązkowego i bezpłatnego świeckiego szkolnictwa.

10 listopada premier Daszyński przemawiał na 20-tysięcznym wiecu w Lublinie: „Polska musi być ludowa lub upadnie (...). Lud wiejski musi otrzymać warsztat swej pracy – ziemię. Ziemia musi być dla tych, którzy na niej pracują. (...) Robotnik nie może pozostać ofiarą wyzysku kapitalistycznego. Kopalnie, koleje, wielkie lasy

i wielkie zakłady przemysłowe muszą stać się własnością narodu”. Wśród pierwszych dekretów rządu był ten o ośmiogodzinnym dniu pracy.

Pierwszy rząd (centralny)

Po powrocie Piłsudskiego z Magdeburga Daszyński podał się do dymisji. Ale 14 listopada otrzymał od Komendanta misję utworzenia rządu, który byłby akceptowany przez wszystkie stronnictwa. Jednak środowiska endeckie i ziemiańskie przypuściły atak na tę kandydaturę – lidera galicyjskich socjalistów postrzegali jako radykała. Udało się ją utracić, ale nastroje i nadzieje już były rozbudzone. W całym kraju zorganizowani robotnicy wymuszali ośmiogodzinny dzień pracy, w Warszawie miał miejsce strajk i wielka demonstracja PPS, w kraju powstało ponad 150 Rad Delegatów Robotniczych, wybuchaly chłopskie bunt i „dziki” parcelacje ziemi folwarcznej.

Z woli Piłsudskiego na czele pierwszego centralnego rządu powstającej Polski stanął więc socjalista Moraczewski. Piłsudski wspominał później: „Przeważająca większość doradzała utworzenie rządu nie tylko na podstawach demokratycznych, ale i z wybitnym udziałem przedstawicieli ludu wiejskiego i miejskiego”.

W nowym rządzie socjalistów Arciszewskiego, Ziemięckiego, Iwanowskiego, Wasilewskiego, Praussa i Malinowskiego wspierali radykałowie ludowi z PSL „Wyzwolenie” Thugutt, Nocznicki i Stolarski (chłop spod Łodzi, na posiedzenia rządu demonstracyjnie zakładał sukmanę) i inteligenci (Downarowicz). Udział kilku umiarkowanych ludowców z PSL „Piast” i „bezpartyjnych fachowców” zrównoważono powołaniem trzech radykałów z galicyjskiego PSL „Lewica”.

Na pierwszym posiedzeniu rządu Moraczewski deklarował: „pragniemy być rządem ludowym, który interesów milionów rzesz ludu pracującego broni, jego życiu toruje nowe drogi, jego wolę spełnia”. Deklarował rozłożenie kosztów utrzymania odrodzonej Polski: „przeprowadzimy (...) reformę opodatkowania w duchu sprawiedliwego rozkładu ciężarów podatkowych, (...) w szczególności przez silniejsze pociągnięcie do świadczeń na rzecz państwa – klas posiadających”. Obiecywał, że jednym z głównych zadań „będzie stworzenie powszechnej, świeckiej, bezpłatnej szkoły, dostępnej jednakowo dla wszystkich bez względu na stan majątkowy”. Podkreślił też równość praw obywatelskich: „będziemy z całym naciskiem tępić (...) ograniczenia prawne poszczególnych odłamów ludności (...) i będziemy zapobiegali wszelkim

→ waśniom i walkom na tle wyznaniowym i narodowym (...) wprowadzimy niezwłocznie całkowite równouprawnienie wszystkich obywateli bez różnicy wyznania i narodowości, wolności sumienia, słowa, druku, zgromadzeń, pochodów, zrzeszania”.

Równi i samorządni

Na pierwszym posiedzeniu rządu podjęto prace nad ordynacją wyborczą do Sejmu Ustawodawczego. Po pięciu dniach była gotowa. Moraczewski wspominał, że nadano „prawo wyboru i wybieralności wszystkim obywatelom bez różnicy płci, którzy ukończyli 21. rok życia. Po raz pierwszy uznano w Polsce kobietę za równouprawnioną z mężczyzną. Nadanie praw obywatelskich kobietom postawiło Polskę w rzędzie narodów nowoczesnych i wyrównało wielowiekową krzywdę wyrządzaną połowie narodu polskiego”.

Powtarzana do dziś legenda głosi, że prawa wyborcze kobietom nadał Piłsudski pod wpływem działaczek, które go nachodziły i łomotały parasolkami w okna jego mieszkania. W istocie stosowny dekret sporządził rząd, a naczelnik państwa bez żadnych nacisków podpisał dokument 28 listopada 1918 r. W kwestii całkowitej równości wyborczej kobiet Polska wyprzedziła zatem m.in. USA, Belgię, Szwecję, Holandię, Hiszpanię, a o ćwierć wieku – Francję.

Wybory miały być tajne, równe, powszechne, bezpośrednie i proporcjonalne.

Rząd Moraczewskiego stworzył też zręby samorządności lokalnej. Także w powszechnych wyborach wybierać miało rady gmin i miast. Na uwagę zasługuje też symboliczne ufundowanie równości obywatelskiej. Jak pisał Moraczewski: „rząd zniósł wszystkie bombastyczne tytuły »ekscelencji«, zniósł tytuły rodowe. Ministrów, urzędników tytułowało się w słowie i piśmie »obywatel« (wcześniej także w ten sposób zwracali się do siebie żołnierze Legionów niezależnie od stopnia wojskowego).

Ochrona pracy

23 listopada 1918 r. rząd wydał dekret o 8-godzinny dzień pracy i maksymalnie 46-godzinny tydzień pracy. Wcześniej przeciętny czas pracy wynosił w Polsce 10 godzin dziennie, a w wielu branżach 11-12 godzin. Moraczewski kilka miesięcy po rozwiązaniu rządu pisał: „Robotnicy francuscy, amerykańscy i angielscy do dziś dnia walczą o uzyskanie reform przez tę ustawę przyznanych” – w krajach tych jedynie wybrane branże (zwykle kolej, górnictwo i hutnictwo) cieszyły się takim czasem pracy. W istocie Polska była

**Pierwszy polski
rząd centralny**
stworzył fakty dokonane,
określające charakter
II Rzeczypospolitej:
ustrój republikański,
demokratyczne wybory,
równouprawnienie kobiet,
ochronę pracowników.

– po Niemczech, Finlandii i sowieckiej Rosji – czwartym w skali globu krajem o tak krótkim ustawowym czasie pracy.

W tekście przesłanym na konkurs pamiętnikarski w drugiej połowie lat 30. pewien robotnik tak wspominał tę decyzję: „Odczytano nam w warsztacie jakiś akt o natychmiastowym wprowadzeniu ośmiogodzinnego dnia pracy (...), płatnych urlopach itd. Powstał wielki entuzjazm między robotnikami. Każdy był wesoły i uśmiechnięty, mówiono dużo o Polsce Niepodległej, o narodzie robotniczym (...) Ożywienie było wielkie. Świat jakby się odradzał”.

Kilka dni później rząd ustalił płacę minimalną w przedsiębiorstwach pozostających w zarządzie publicznym, a 28 listopada premier przyznał ich pracownikom jednorazowy wysoki zasiłek. Podwyższono też płace nauczycieli szkół powszechnych do poziomu średnich poborów urzędniczych.

30 grudnia wydano dekret w sprawie wprowadzenia powszechnych ubezpieczeń społecznych na wypadek choroby, kalectwa, starości i utraty pracy. Polska dołączyła więc do nielicznego grona krajów, które zaprowadziły tak nowoczesne rozwiązania. Co więcej, wprowadzono system, w którym płatnicy składek mogli wybierać w głosowaniu kadry kierownicze instytucji obsługującej wypłatę świadczeń i proces decyzyjny. „Gdy instytucji kas chorych nie ma jeszcze Francja, polska ustawa o kasach chorych jest najlepszą ustawą w całej Europie” – konstatował pepesowiec Hołówko.

Ministerstwo pracy wydało z kolei rozporządzenia chroniące poszczególne grupy, m.in. „O ochronie pracy kobiet”, „O ochronie pracy dzieci i nieletnich”, „O ochronie pracy służby domowej”, „O ochronie pracy w rolnictwie”. Przygotowano przepisy regulujące strajki i wprowadzające publiczny arbitraż, by uniemożliwić

liwić samowolę pracodawców. Temu rządowi Polska zawdzięcza również nowoczesne regulacje w sprawie tworzenia związków zawodowych, przyznające pracownikom znaczną swobodę zrzeszania się i walki o swoje prawa (z drobnymi poprawkami przyjął je kolejny gabinet).

Dekretem z 3 stycznia 1919 r. powołano Inspekcję Pracy. Otrzymała prawo kontroli wszelkich miejsc zatrudnienia. Było to uprawnienie rzadkie w skali świata, gdyż zwykle uzależniano możliwość działania inspekcji od wielkości zakładu. Polskie przepisy pozwalały kontrolować nawet najmniejsze, bez uprzedzenia i o dowolnej porze, a także zatwierdzać regulaminy pracy. Maria Kirstowa, jedna z twórczyń nowej instytucji, pisała po latach: „W pierwszych kadrach inspektorów znaleźli się przedwojenni działacze socjalistyczni i rewolucyjni, starzy bojownicy, romantycy i entuzjaści wszelkiego autoramentu”.

Dla najsłabszych

Kolejnym działaniem było stworzenie systemu pomocy bezrobotnym.

W dawnym Królestwie Polskim stan zatrudnienia w przemyśle wynosił zaledwie 15 proc. stanu przedwojennego, bezrobocie wynosiło tu pół miliona osób i stale rosło wraz z powrotami żołnierzy czy uchodźców.

Już 9 grudnia 1918 r. określono wysokość zapomóg dla bezrobotnych i desygnowano środki na ten cel. Uruchomiono Państwowe Urzędy Pośrednictwa Pracy, które miały pomagać w znalezieniu zatrudnienia, rejestrować bezrobotnych i wypłacać zasiłki. Choć państwo dopiero się tworzyło, już w grudniu 1918 r. wypłacono zapomogi ok. 75 procentom osób pozostających bez pracy. Rozpoczęto też przygotowania do uruchomienia programu robót publicznych. Z powodu zimy niewiele prac ruszyło, ale na podstawie projektów ówczesnego Urzędu Robót Publicznych kolejne gabinety mogły od wiosny 1919 r. zatrudnić niemal 80 tys. osób.

Jedną z ostatnich decyzji rządu Moraczewskiego były przepisy o ochronie lokatorów. Przyjęte 16 stycznia 1919 r., regulowały czynsze i zasady ich podnoszenia, wprowadzając okres karencyjny na kolejne podwyżki i zabraniając wyrzucania lokatorów na bruk bez okresu wypowiedzenia i z przyczyn innych niż długotrwałe nieplacenie czynszu. Z kolei w celu ochrony konsumentów wprowadzano zakaz spekulacji i zwalczano windowanie cen produktów, których brakowało w kraju spustoszonej wojną. Podobnie stało się z lichwą, którą ścigano na mocy przepisów

wydanych w pierwszych dniach funkcjonowania rządu.

Koniec rewolucji i jej dziedzictwo

Wszystkie te decyzje napotkały na opór prawicy. Elity finansowe odmawiały odrodzonemu państwu pożyczki, niechętnie płaciły podatki. Właściciele ziemscy traktowali rząd jako wrogi. Jak relacjonował Stefan Żeromski, ziemianie byli oburzeni, że „parobki od gnoju chcą nami rządzić”.

Prasa endecji pełna była demagogii wobec władz. Atmosfera w Warszawie była napięta. 29 listopada 1918 r. po wiecu endecji wtargnęli do siedziby rządu z zamiarem linczu na jego członkach, ale nikogo nie zastali. Moraczewski wspominał: „Policja donosiła rządowi o gotującym się zamachu (...) Oficerowie z korpusu Dowbora-Muśnickiego (...) utworzyli spisek dla obalenia Naczelnika Piłsudskiego i rządu, celem ujęcia władzy nad wojskiem w swoje ręce, a oddania rządu cywilnego endekom. (...) ministrowie przez cały grudzień niepewni byli życia. Jeden spisek doszedł do wiadomości rządu z powodu braku doświadczenia spiskowców. Ale inne, o których głucho tylko chodziły wieści, mogły się udać”.

Nocą z 4 na 5 stycznia 1919 r. miał miejsce prawicowy zamach stanu pod wodzą płk. Januszajtisa i księcia Sapiehy. Moraczewskiego aresztowano; do mieszkania Thugutta wtargnęli zamachowcy i oddali (niecelne) strzały. Dopiero opowiadanie się wojska po stronie Piłsudskiego pokrzyżowało plany spiskowców; premiera i ministrów uwolniono i wrócili do pracy.

W tej sytuacji Piłsudski zdecydował się na uspokojenie nastrojów. 16 stycznia 1919 r. rząd Moraczewskiego przeszedł do historii, a stanowisko premiera objął Ignacy Paderewski – mający w tej roli medować między lewicą a endecką prawicą.

Trzy dekady później, już w emigracyjnym Londynie, socjalistka Lidia Ciołkoszowa pisała: „Rząd lubelski trwał tylko kilka dni, pozostały jednak po nim osiągnięcia długotrwałe, jako fakty dokonane, których w Polsce niepodległej nic i nikt obalić już nie potrafił. Były to: ustrój republikański państwa polskiego, ośmiogodzinny dzień roboczy w przemyśle, handlu i rzemiosłach, oraz całkowite równouprawnienie kobiet. Nawet w okresach najbardziej wzmożonej reakcji politycznej i społecznej w Polsce nie udało się nikomu tego dziedzictwa rządu lubelskiego naruszyć”.

To samo, a nawet bardziej, można powiedzieć o pierwszym centralnym rządzie II RP: to ludzie niepodległościowej lewicy określili zarys jej kształtu ustrojowego. ©

REMIGIUSZ OKRASKA



TOMASZ KULAKOWSKI

Przywracający imiona

ANNA ŁABUSZEWSKA

Odszedł Arsienij Roginski. Historyk, dysydent, obrońca praw człowieka, jeden z założycieli stowarzyszenia Memoriał. Człowiek dzielny i prawy.

URODZIŁ SIĘ W 1946 R. W RODZINIE represjonowanego, na zesłaniu. O śmierci ojca, inżyniera Borysa Roginskiego, który zmarł w leningradzkim więzieniu, rodzina dowiedziała się dopiero po latach. W 1968 r. Arsienij ukończył historię na uniwersytecie w Tartu, „najbardziej antysowieckim miejscu” w Związku Sowieckim. I stanął przed dylematem: jak w warunkach systemu totalitarnego, który wykorzystuje zakłamanie narracje historyczne do celów politycznych, uprawiać uczciwie zawód historyka?

Pracował jako nauczyciel, a prócz tego prowadził badania w archiwach i publikował prace w samizdacie. Wraz z grupą współpracowników wydał w podziemiu kilka zeszytów almanachu historycznego „Pamięć” („Pamięć”). W 1981 r. został aresztowany pod sfigowanym zarzutem fałszowania zezwoleń na dostęp do archiwów. Odsiedział cztery lata w łagrze, skąd wyniósł gruntowną wiedzę o sowieckim systemie penitencjarnym (w 1992 r. został zrehabilitowany).

U schyłku ZSRR, gdy powiały wiatry pierestrojki i głośności, był w grupie inicjatywnej założycieli Memoriału – stowarzyszenia stawiającego sobie za cel dotarcie do prawdy o terrorze państwa wobec obywateli. W 1998 r. został jego przewodniczącym. Roginski był, jak mówią jego współpracownicy, sercem

i mózgiem Memoriału. To on zainicjował m.in. akcję „Przywracanie imion”. W przeddzień Dnia Pamięci Ofiar Represji Politycznych w wielu miastach Rosji, a także poza jej granicami, odbywa się odczytywanie imion ofiar reżimu. To symboliczne przeciwstawienie się nie-ludzkiej machinie, przywrócenie ofiarom ich tożsamości, której zbrodniczy system je pozbawiał, spychając z pogardą w zapomnienie.

Roginski był jednym z tych, którzy zbierali ten rozwiany przez wiatr historii ludzki pył. Jako historyk i człowiek oświecony doświadczeniem przez system wiedział, że losy poszczególnych ofiar, losy gwałtownie i niesprawiedliwie przerwane – że one bardziej przemawiają do serc niż suche statystyki, gdyż pozwalają odczuć rozmiar tragedii. Przywracanie ludzkiej godności ofiarom było jego celem nadrzędnym.

Wielkie są zasługi Roginskiego także w badaniu zbrodni stalinowskich na Polakach – represji w latach Wielkiego Teroru i zbrodni katyńskiej.

W ostatnich latach Memoriał, uznany przez władze Rosji za „agenta zagranicznego”, działa w nowych warunkach i mimo przeciwności kontynuuje dzieło zapoczątkowane przez Roginskiego. Pamięć to nie tylko tytuł jego podziemnego almanachu – to istota całej jego działalności. ©

JAK TO JEST BYĆ DELFINEM

ŁUKASZ KWIATEK

Trzeba kurczowo trzymać się brzytwy Ockhama, żeby nie przypisywać delfinom bogatego życia umysłowego.

ALE JAK WŁAŚCIWIE TO ŻYCIE WYGLĄDA? Krótko mówiąc: zupełnie inaczej od naszego. Nie „jakoś inaczej” – jak w przypadku szympansa; jego umysł można sobie próbować wyobrazić. Od szympanarów dzieli nas 5-7 mln lat osobnej ewolucji (jedni naukowcy powiedzą, że to mało, inni – że sporo), ale przynajmniej przystosowywaliśmy się do podobnego środowiska, pełnego drzew i traw, a wśród nich kolorowych owoców oraz mniejszych i większych czworonożnych zwierząt, które chcieliśmy zjeść albo które nas zjadały.

W porównaniu z szympanasami delfiny to niemal istoty z innej planety.

Choć ich historię w ogólnym zarysie znamy. Jakies 70 mln lat temu przodkowie dzisiejszych waleń, w tym delfinów, byli zwyczajnymi, czworonożnymi drapieżnikami lądowymi. W ciągu następnych 20-30 mln lat – czy to ze względów bezpieczeństwa, czy z powodu diety – stopniowo zaczęli prowadzić lądowo-wodny tryb życia, podobnie jak współczesne hipopotamy, z którymi walenie są najbliższymi spokrewnione. Na podstawie miejsca odnalezionych skamieniałości ocenia się, że zamieszkiwali tereny Indii i Pakistanu. Grupa, która dała początek dzisiejszym waleń, na dobre zeszała do wody ok. 35 mln lat temu i w ciągu kilku milionów lat podbiła wszystkie oceany.

W wodzie

Zmiana środowiska życia z lądowego na wodne pociąga za sobą wiele wyzwań adaptacyjnych, dając ewolucji szerokie pole do popisu. Wspaniałym wynalazkiem są oczywiście płetwy, w które zmieniają się przednie kończyny. Tylne przestają być w wodzie potrzebne i stopniowo zanikają – zostają po nich szczątkowe kości, obecne także w szkielecie delfinów.

Jednak woda wymusza zmiany nie tylko w wyglądzie i sposobie poruszania się. Ponieważ fale świetlne nie rozchodzą się w niej tak dobrze jak w powietrzu, trudniej polegać głównie na wzroku. Dla takich ssaków jak walenie, których przodkowie polowali na lądzie, oznaczało to redukcję obszarów kory wzrokowej mózgu, co natura skompensowała im potężnie rozrośniętą korą słuchową – jedno z ważniejszych centr słuchowych, wzgórek czworaczne dolne (*inferior colliculus*) są w mózgach delfinów butlonosych aż 40-krotnie większe niż u ludzi.

Życie delfinów prawdopodobnie całkowicie pozbawione jest zapachów (w ich mózgach zanikły obszary węchowe), jednak nie jest to wyłącznie życie w świecie dźwięków. Zarówno na płytkich głęboko-

ściach w wodzie, jak i na powietrzu delfiny dobrze widzą, choć ich świat nie jest aż tak kolorowy jak nasz – ocenia się, że postrzegają jedynie odcienie zieleni i błękitu.

Oczy delfinów nie są ułożone jak u ludzi czy małp w jednej płaszczyźnie, ale bocznie, dzięki czemu mają znacznie większe pole widzenia. Chyba nie okupują tego jednak gorszym postrzeganiem głębi, ponieważ potrafią poruszać oczami (każdym osobno) i w razie potrzeby ustawić je bardziej frontalnie. Ich półkule mózgowe zdają się słabo skomunikowane, dlatego niektórzy spekulują, że delfiny posiadają dwa oddzielne pola widzenia, osobne dla każdego oka (półkuli). Prawdopodobnie obie półkule śpiąją osobno, ponieważ któraś stale musi kontrolować oddech. W czasach, gdy delfinom coraz częściej przypisuje się podmiotowość, rodzi to fascynujące pytania o to, na ile jeden delfin to „jedna osoba” – cokolwiek słowo „osoba” miałoby tutaj (i w ogóle) oznaczać.

Mózg delfina jest podobnych rozmiarów jak mózg człowieka, choć jego względny rozmiar jest nieco mniejszy. Tzw. współczynnik encefalizacji (EQ), który określa, jak wielki mózg ma dane zwierzę w porównaniu do typowej wielkości mózgu zwierzęcia o danej masie ciała, u ludzi osiąga wartość ok. 7 (mózg człowieka jest siedmiokrotnie większy, niż oczekivalibyśmy w przypadku zwierzęcia ważącego tyle co człowiek). U delfinów EQ wynosi ok. 4 – to drugi wynik wśród żyjących gatunków.

Nie chodzi jednak o same rozmiary – mózgi delfinów imponująco wyglądają także w działaniu.

Widzieć słuchem

W 2001 r. Diana Reiss i Doli Marino przetestowały zdolności delfinów do rozpoznawania własnego wizerunku w lustrze. W eksperymencie (nazywanym testem Gallupa od nazwiska jego pomysłodawcy) zaznajomionym z lustrami zwierzętom maluje się nad oczami kropkę barwną oraz bezbarwnym markerem, a następnie obserwuje ich zachowanie na widok własnego odbicia w lustrze. Jeżeli osobnik pomalowany barwnym markerem będzie wykazywał większe zainteresowanie częścią głowy nad oczami w porównaniu z osobnikiem, u którego wykonano bezbarwną kropkę, uznaje się, że zwierzę rozpoznaje się w lustrze. Delfiny z eksperymentu Reiss i Marino właśnie tak się zachowywały.

Za najbardziej niezwykłą i fascynującą cechą wszystkich gatunków delfinów (i kilku innych walen) uznaje się jednak echolokację. Zwierzęta te wysyłają

fale dźwiękowe, świetnie rozchodzące się w wodzie, a następnie rejestrują ich echo, co pozwala im wyciągać informacje na temat otoczenia. Echolokacja delfinów nie działa w powietrzu, gdzie fale dźwiękowe osiągają inne parametry. Jednak w wodzie za pomocą swojego biosonaru delfiny potrafią wykryć (zobaczyć? usłyszeć?) metalową kulkę z odległości stu metrów. Nie wyczują jej po prostu jako „jakiś” przedmiot – najprawdopodobniej rozpoznają kulisty kształt.

W opisanym na łamach „Nature” eksperymencie zespołu Heidi Harley jednemu delfinowi – dorosłemu samcowi o imieniu Toby – prezentowano całkowicie nowy dla niego przedmiot (np. korkociąg) w jednym z dwóch warunków: „słyszalnym, ale niewidzialnym” (przedmiot umieszczony był w wodzie w ciemnym pojemniku wykonanym z materiału, który przepuszcza fale dźwiękowe) lub „widzialnym, ale niesłyszalnym” (przedmiot umieszczano ponad wodą – gdzie mógł być obserwowany, ale pozostawał niewykrywalny przez echolokację).

Następnie Toby’emu prezentowano ten sam przedmiot w odmiennym niż wcześniej ustawieniu, obok dwóch innych obiektów. Zadanie delfina polegało na wskazaniu prezentowanego wcześniej przedmiotu, tyle że tym razem rozpoznać go musiał przy pomocy innego zmysłu. Postawiony przed takim problemem Toby radził sobie świetnie.

Oznacza to, że delfiny zarówno widzą, jak i słyszą cechy przedmiotów. Niektóre badania sugerują, że echolokacja pozwala im wykryć także inne cechy niż kształt – np. właściwości materiału, z którego dane rzeczy są wykonane.

Zdolność rozpoznawania przedmiotu po cechach echa jest o tyle niezwykła, że w różnych warunkach i przy różnym ułożeniu ten sam przedmiot może odbijać dźwięk na wiele różnych sposobów. Dość powiedzieć, że naturalne biosonary delfinów są sprawniejsze niż jakiegokolwiek sztuczny sonar wyprodukowany przez człowieka. Ich mechanizm działania pozostaje w dużej mierze nieznanym. Wiadomo m.in., że dźwięki (określane jako „kliknięcia”) emitowane przez biosonary delfinów mogą się różnić wieloma cechami (głośnością, częstotliwością itd.). Zwierzęta te aktywnie dobierają parametry kliknięć, aby uzyskać na temat skanowanego obiektu jak najwięcej informacji. Pozwala im to choćby skutecznie polować – być może nawet wykrywać ryby zagrzebane na dnie w piasku.

Wygwizdane imię

Mało tego – delfiny potrafią podsłuchiwać cudzą echolokację i na tej podstawie zdobywać informacje, co wykazał eksperyment Marka Xitco i Herberta Roitblata. Badacze skorzystali z faktu, że delfiny wydają dźwięki przy pomocy struktury nazywanej melonem, znajdującej się w górnej części głowy, a detekcji echa dokonują dolną częścią głowy. W ich badaniu jeden z delfinów wykrywał w wodzie umieszczony w ciemnym (ale przepuszczalnym dla fal dźwiękowych) pudełku jakiś przedmiot, czemu przysłuchiwał się drugi delfin, który nie mógł jednak sam wydawać kliknięć (jego melon znajdował się ponad powierzchnią wody).

Następnie pierwszy delfin w obszarze niedostępnym dla drugiego delfina miał wśród kilku obiektów wskazać taki sam →

Trudna sztuka zaglądania w umysł delfina



Jak sprawdzić, czy delfiny rozpoznają inne osobniki po głosie? Badacze z zespołu prof. Vincenta Janika trzymali delfiny, ale tak, by mogły ruszać głową, jednocześnie odtwarzając im przygotowane wcześniej nagrania wokalizacji ich krewnych oraz obcych osobników. Uważnie śledzono reakcje delfinów, zliczając każde wychylenie głowy przez delfina w stronę głośnika większe niż 20 stopni, w ciągu 5 minut i 30 sekund od startu nagrania. W przypadku nagrań krewnych spodziewano się częstszych lub bardziej gwałtownych ruchów głowy.

→ przedmiot jak ten, który mu wcześniej zaprezentowano (podobnie jak w badaniu z udziałem Tobiego, choć tutaj wykluczono udział wzroku). Po chwili wyboru dokonywał drugi delfin. Jak się okazało, radził sobie równie dobrze jak pierwszy osobnik, mimo że wcześniej jedynie słuchał cudzej echolokacji i nie miał możliwości przeskanowania własnym biosonarem prezentowanego przedmiotu (ani oczywiście zobaczenia go).

Sądzi się, że właśnie umiejętność podsłuchiwania (ze zrozumieniem) przez delfiny cudzej echolokacji odegrała kluczową rolę w ewolucji ich niezwykle bogatego systemu komunikacji. Wciąż niewiele wiadomo na temat natury i znaczenia całej gamy dźwięków używanych przez delfiny. Niedawny eksperyment pozwolił jednak rzucić nowe światło na pewien rodzaj specyficznych gwizdów, najczęściej powtarzanych przez delfiny.

Już w latach 60. Melba i David Caldwellowie zaobserwowali, że trzymany w samotności delfin butlonosy wydaje różne gwizdy, z których większość stanowi powtarzająca się sekwencja. Co ciekawe, sekwencja ta jest różna u różnych osobników. Caldwellowie zasugerowali, że delfiny używają takich gwizdów jako osobistych „sygnałów akustycznych” (ang. *signature whistle*) – czyli czegoś w rodzaju imienia lub podpisu. Późniejsze badania wykazały, że sygnały akustyczne stanowią także znaczny odsetek gwizdów wydawanych przez wiele gatunków delfinów na wolności. Po co jednak delfiny powtarzają w kółko swoje imiona? Są aż tak egocentryczne?

Na to pytanie spróbował odpowiedzieć zespół biologa morskiego i badacza zwierzęcej komunikacji Vincenta Janika z Uniwersytetu w St Andrews. Janik postawił hipotezę, że „imiona” są delfinom niezbędne w interakcjach społecznych, ponieważ ze względu na budowę aparatu głosowego nie potrafią one rozróżniać nadawcy po cechach jego głosu (to tak, jakbyśmy nie potrafili rozpoznać nikogo rozmawiając przez telefon). Tymczasem taka umiejętność wydaje się konieczna chociażby dla utrzymywania relacji rodzinnych – zwłaszcza pomiędzy matką i dzieckiem, które u delfinów, jak to u gatunków obdarzonych olbrzymim mózgiem, długo pozostaje całkowicie zależne od dorosłych. W wodzie ta zależność jest jeszcze silniejsza niż w lesie – młode delfiny nie mogą się po prostu ucześć włosów matki jak małpie noworodki, mają więc znacznie więcej okazji, by gdzieś odpłynąć i się zgubić.

Aby przetestować postawioną hipotezę, badacze z zespołu Janika nagrali gwizdy różnych delfinów, z których wycięto fragmenty zidentyfikowane jako sygnały akustyczne („imiona”). Następnie odtwarzano delfinom zmodyfikowane nagrania i mierzono ich reakcje. Analiza zebranych danych, zgodnie z przewidywaniami hipotezy, nie wykazała żadnych różnic w sytuacjach, gdy delfiny słuchały zmodyfikowanych nagrań pochodzących od swoich krewnych, jak i od obcych osobników. Tymczasem wcześniejsze badania dowiodły, że gdy delfiny słuchają niezmodyfikowanych nagrań (posiadających sygnały akustyczne), to ich reakcje na głos krewnych są znacznie bardziej gwałtowne niż na głos obcych.

Nauka języka

Delfiny przyjmują swoje imiona około trzeciego miesiąca życia. Najprawdopodobniej robią to, modyfikując sygnały akustyczne innych osobników, ale nie takich, z którymi często mają styczność (delfiny żyją w dość dynamicznie zmieniających się stadach, jednak utrzymują bliższe relacje w obrębie mniejszej grupy). Przyjmowanie imienia „po obcym” może zmniejszać ryzyko pomyłki. Raz przyjęte imię nie zmienia się przez całe życie u samicy, zaś tych u samców, które tworzą koalicję rywalizującą z innymi samcami, sygnały akustyczne z czasem nieco upodabniają się do siebie.

Delfiny potrafią kopiować sygnały akustyczne innych osobników (podobnie jak wiele innych dźwięków), choć kopie zawierają zwykle pewne modyfikacje. Używają ich najczęściej wtedy, gdy w pobliżu nie ma właściciela danego imienia – co sugeruje, że nawołują, starając się go odnaleźć.

Wygląda na to, że imiona delfinów są sygnałami arbitralnymi, a nie zdeterminowanymi środowiskiem czy genetyką, o cechach być może niespotykanych u pozostałych zwierząt różnych od człowieka. Co z resztą sygnałów komunikacyjnych delfinów? Czy i one mają arbitralne – czyli symboliczne – znaczenia?

Jeśli tak, to czy delfiny prowadzą między sobą rozmowy przypominające nasze? Słowa w ludzkich językach odnoszą się do naszych umysłowych kategorii. Nie wiemy, jak wyglądają kategorie umysłowe, którymi posługują się delfiny. Skoro inaczej postrzegają świat – ze względu na echolokację i bogatszy zakres percypowanych dźwięków oraz brak węchu i wielu kolorów – to ich kategorie umysłowe muszą być inne niż nasze. Czy to oznacza, że nawet jeśli mają własny język, to nigdy nie

będziemy się mogli w pełni porozumieć? Na razie te pytania muszą pozostać bez jednoznacznych odpowiedzi.

Faktem jest jednak, że delfiny, podobnie jak małpy człowiekowate, mogą nauczyć się stworzonego przez człowieka symbolicznego języka, np. komunikacji opartej na arbitralnych gestach lub dźwiękach. Ze względu na ich sposób życia uczenie jej delfinów jest większym wyzwaniem niż nauka tego samego małpy człowiekowatej (choć jak zauważają psycholog William Hillix i badacz małpich zdolności komunikacyjnych Duane Rumbaugh w książce „*Animal Bodies, Human Minds*” – delfiny przynajmniej nie niszczą mebli). Wyzwania tego podjął się w latach 70. Luis Herman w laboratorium w Honolulu. Jeden z jego delfinów, Kea, nauczył się znaczeń sześciu symboli, odnoszących się do trzech przedmiotów (koła ratunkowego, piłki i styropianowego walca) i trzech czynności: przynieść, dotknąć, dotknąć ustami. Kea poprawnie reagował na „dwuwyrazowe” komendy – np. „dotknij piłkę” lub „przynieś koło ratunkowe”. Niestety, w 1977 r. dwaj wyrzuceni z laboratorium pracownicy porwali Keę oraz drugiego uczonego komunikacji delfina i wypuścili je do oceanu, co najpewniej skończyło się dla nich tragicznie, gdyż w okolicznych wodach roi się od rekinów. Po kilku latach przerwy Herman rozpoczął edukację kolejnych delfinów, z którymi także osiągał obiecujące wyniki. Jeden z nich, Elele, nauczyła się np. określić dziewięć części swojego ciała.

Inne badania, przeprowadzone przez Roberta Mitchella i współpracowników w latach 80., sugerują, że delfiny potrafią nauczyć się symboli liczbowych lub przynajmniej ilościowych. Zespół Mitchella przyporządkował różne symbole do konkretnej liczby ryb, które delfiny otrzymywały w nagrodę. Postawione przed wyborem dwóch różnych symboli, zwierzęta znacznie częściej wybierały ten, któremu odpowiadała bardziej obfita nagroda.

Choć światy ludzi i delfinów diametralnie się od siebie różnią, pewne wartości pozostają dla nas wspólne. ©P

ŁUKASZ KWIATEK



ŁUKASZ KWIATEK będzie gościem Grzegorza Chlasy w **środek 10 stycznia o godzinie**

7.30 w Polskim Radiu RDC.

Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM

| Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM

| Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM

oraz na Mazowszu i w Warszawie – www.rdc.pl

WOJCIECH

Bonowicz:

Ludzie mówią sami



LUDZIE TO PRZEDZIWNIE „MIESZANINY” I NIGDY nie przestanie mnie fascynować, że potrafią łączyć w sobie składniki tak różne, że ich połączenie powinno ich właściwie zabić. Oni zaś – całkiem dobrze funkcjonują. Szarpani i krojeni za pomocą badań statystycznych, ujawniają tylko niewielką część tego wewnętrznego skomplikowania, resztę zostawiając dla siebie i przygodnych znajomych. Jestem właśnie takim przygodnym znajomym, który się napatoczył.

Oto mieszkaniec M., miasta średniej wielkości – sympatyczny, z poczuciem humoru, pracownik międzynarodowej firmy. Nie lubi Michnika, Kaczyńskiego, Rydzyka i Owsiaaka. Drażni go kościelna gigantomania, głosuje na PiS, bo „przynajmniej robią porządek”, a Platforma to „nieudacznicy”. „Tygodnika Powszechnego” nie czyta, choć mówiąc o Kościele, używa argumentów, które pojawiają się na jego łamach. „Gazetę Wyborczą” uważa za brukowiec, a o „Do Rzeczy” mówi, że „wysługuje się nowej władzy”.

Oto mieszkaniec N., niewielkiej miejscowości na północy Polski. Denerwuje go, że ksiądz Boniecki dostał kolejny zakaz. Nie lubi Owsiaaka, Rydzyka, Michnika i Kaczyńskiego; pada zresztą więcej nazwisk, ale tylko o księdzu Bonieckim mówi coś pozytywnego. Skądinąd chyba nie zna jego poglądów, bo jest za powszechnym dostępem do broni. Macierewicza uważa za szkodnika, ale cieszy się, że dzięki niemu „będzie można sobie postrze-

lać”. Lubi rekonstrukcje historyczne, zwłaszcza z okresu II wojny światowej. Kiedy mówię, że człowiek, który nie lubi sobie postrzelać, też może być dobrym obywatelem, smutnieje. Wydawało mu się, że dobrze się rozumiemy.

Mieszkanka S. – nie wiem, gdzie to jest, ale gdy już wysłę do redakcji ten felieton, to sprawdzę. Inteligentna, czytana, dobrze ubrana. Nie lubi traktowania kobiet z góry, zwłaszcza w pracy i w Kościele. O premier Kopacz mówi „nieporozumienie”, o premier Szydło – „nieszczęście”. Nie lubi feminizmu, Unii Europejskiej, PiS-u, akcji „Ja też” i sylwestra w Zakopanem. Lubi Owsiaaka i biskupa Rysia. Twierdzi, że w dotychczasowych wyborach zawsze głosowała bez przekonania, ale nie żałuje. Pójdzie na kolejne. Na kogo zgłasza? „Zawsze się ktoś znajdzie”.

Najciekawszy jest mieszkaniec W., stolicy Polski, którego poznaję w pociągu. Na oko dobrze po sześćdziesiątce, zadbane, elegancko ubrany. Twierdzi, że jest liberałem, przechwala się, że ma kilka mieszkań i liczne partnerki. Czyta „Gazetę Wyborczą”, „Angorę” i chwali PiS, że „wziął to towarzystwo za mordę”. Z tego, co mówi dalej, wynika, że ma na myśli Żydów, prawników, artystów i przedsiębiorców. Ceni Balcerowicza, cieszy się, że premierem został Morawiecki. Owsiaaka nie lubi, ale wspiera. Rydzyka uważa za spryciarza: „Tak zamylał swój życiorys, że nikt nie dojdzie, że to Żyd”.

Zapytacie pewnie, jak mi się udaje wyciągać od ludzi takie informacje. Odpowiedź jest skromna i prosta: jestem sprytnym, niewiarygodnie sprawnym rozmówcą. Po prostu... nie odzywam się. Ludzie sami mówią, ja tylko przyjaźnie mruczę. Jak widać z powyższego, raz jeden się odezwałem i atmosfera się zwarzyła. Więc na ogół siedzę cicho.

A teraz ćwiczenie dla Państwa: spróbujcie sformułować program polityczny, który odpowiadałby całej powyższej czwórce, a do tego jeszcze Wam, waszym krewnym, sąsiadom i znajomym. Macie czas... no, powiedzmy, do końca września. Jeśli się Wam uda, natychmiast wchodźcie do polityki. Natychmiast. ©

W Sądzie Rejonowym w Przysusze, pod sygn. akt I Ns 146/17, toczy się postępowanie z wniosku Gminy Potworów o stwierdzenie nabycia spadku po Ryszardzie Petyńka, s. Stefana i Janiny z d. Fatek, zm. 5 lutego 2017 r. w miejscowości Mokrzec, gm. Potworów, i tam mającym ostatnie miejsce zwykłego pobytu.

Wzywa się spadkobierców wskazanego powyżej zmarłego, aby w ciągu 3 miesięcy od dnia ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się do Sądu Rejonowego w Przysusze i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym Lublin-Wschód w Lublinie z siedzibą w Świdniku, sygn. akt I Ns 368/17, toczy się postępowanie z wniosku Jadwigi Osmoły, o stwierdzenie nabycia spadku po Janinie Fucie, zm. 11 października 2016 r. w Smoligowie, ostatnio stale zamieszkałej w Białce, gm. Milejów, c. Stanisławy Mazurek, ur. 2 lipca 1938 r. w Maryniowie. Wzywa się wszystkich spadkobierców Janiny Futy, aby w ciągu 3 miesięcy od publikacji ogłoszenia zgłosili swój udział i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie, Wydziałem I Cywilnym, przy ul. Wrocławskiej 6, toczy się pod sygn. I Ns 275/17 postępowanie z wniosku Stanisława Kaźmierczaka i Zofii Kaźmierczak, o stwierdzenie nabycia własności nieruchomości przez zasiedzenie. Wniosek dotyczy niezabudowanej nieruchomości położonej w Kotlinie, oznaczonej geodezyjnie jako działka 164 o powierzchni 1,45,00 ha, dla której była prowadzona księga wieczysta Sławoszew k. 109.

Sąd wzywa zainteresowanych, by w terminie 3 miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili swe prawa, gdyż w przeciwnym razie postępowanie będzie się toczyć bez ich udziału.

Postanowieniem z dnia 20 października 2017 r. **Sąd Rejonowy w Jarocinie**, Wydział I Cywilny, zezwolił Annie Skibińskiej na złożenie do depozytu sądowego kwoty 5745 zł należnej tytułem czynszu najmu lokalu. Dłużnik złożył do depozytu powyższą kwotę. Uprawnionymi do odbioru przedmiotu depozytu są spadkobiercy Teresy Nowackiej.

Sąd wzywa osoby uprawnione do odbioru depozytu, gdyż w przeciwnym razie stwierdzona zostanie likwidacja depozytu. Sygn. akt I Ns 331/17.

NARÓD NA WYPOCZYNKU

ANNA SMOLAR, REŻYSERKA TEATRALNA:

Nie chcę się dokładać do polaryzacji widowni. Nie chcę przekonywać przekonanych.
Jak widzę salę przekonanych, którzy sobie nawzajem przytakują,
tracę poczucie sensu.

ARKADIUSZ GRUSZCZYŃSKI: Twoi rodzice, czyli Aleksander Smolar i Irena Grosfeld, wyjechali z Polski na fali antysemickiej nagonki rozpętanej przez komunistyczne władze w 1968 r.

ANNA SMOLAR: To znaczy matka wyjechała, żeby dołączyć do ojca, ale dopiero w 1972 r., i nie musiała zrzec się obywatelstwa. Ale tak czy owak – historia mojej rodziny jest mocno związana z Marcem '68.

Ile mieli wtedy lat?

Ojciec miał 31, a matka 23. Musieli zacząć wszystko od początku. Po latach, na przedmieściu Paryża, w małym domku, stworzyli namiastkę Polski.

Teraz chcesz w teatrze opowiedzieć o tej historii?

Nie do końca. Być może uda się przedstawić rok 1968 z dwóch perspektyw: prywatnej, czyli związanej z losami konkretnych emigrantów, oraz mało zbadanej perspektywy drugiego pokolenia po Marcu.

Dlaczego?

Ponieważ w tym drugim, moim pokoleniu dzieje się coś ciekawego i ambiwalentnego. Mam tu na myśli przede wszystkim ludzi, którzy urodzili się poza granicami Polski, dla których Polska w dzieciństwie była odległą krainą rodziców i dziadków. Co się stanie, kiedy spojrzymy na nasz kraj z ich perspektywy?

No właśnie: co?

Mowa o dosyć zróżnicowanej grupie. Są ludzie w moim wieku, którzy nie mają

żadnego związku z Polską, są tacy, którzy ją na nowo odkrywają. Jedni wychowali się w rodzinach opozycyjnych, inni w domach, w których po polsku nie mówiło się w ogóle.

Ty się od zawsze czułaś związana z Polską?

W dzieciństwie w małym stopniu.

Mówiłaś w domu po polsku?

Odpowiadałam najczęściej po francusku, ale rodzice oczywiście mówili po polsku. To był bardzo polski dom, w tym sensie, że Polska była najważniejszą sprawą. Żyliśmy we Francji, ale Polską ten dom był nasycony.

W jaki sposób?

Radio Wolna Europa, spotkania opozycjonistów i emigrantów politycznych, niekończące się rozmowy.

Co pamiętasz z tamtych czasów?

Byłam dzieckiem i miałam swoje sprawy. Miałam koleżanki i chodziłam do parku.

W 1989 r. miałaś dziewięć lat.

Tak. Pamiętam, jak siedzieliśmy przed telewizorem i oglądaliśmy upadek muru berlińskiego.

Bardziej zapadły mi w pamięć późniejsze rozmowy z rodzicami, którzy postanowili wrócić do Polski na rok. Po Okrągłym Stole ojciec dostał propozycję wejścia do rządu Tadeusza Mazowieckiego. Stał się jego doradcą.

O czym wtedy rozmawialiście?

O konkretnych sprawach: czy pies z nami pojedzie, gdzie w Warszawie zamieszkamy, do jakiej szkoły pójdziemy z bratem. Nie miałam świadomości, w jak kluczowym momencie znalazła się Polska. Bardziej interesowało mnie to, że rozstanę się z koleżankami i przyjadę do kraju, który jest co prawda ojczyzną moich babć, ale nie mam z nim za wiele wspólnego.

Byłaś wtedy pierwszy raz w Polsce?

Nie, co roku przyjeżdżałam tutaj z mamą, odwiedzałyśmy babcię i rodzinę. Polska była mocną i oczywistą częścią mojej tożsamości, ale też było tak, że we Francji znałam niewielu typowo francuskich Francuzów. Każdy z nas miał rodzinę w innym kraju, wracał tam nieraz, mówił w domu w innym języku niż francuski, jadł dziwne potrawy. To było normalne, ale nie zakładałam, że zamieszkam kiedykolwiek w Polsce. Z tego roku spędzonego tutaj pamiętam ogromną tęsknotę za moim francuskim życiem.

Potem wróciłaś do Francji?

Tak, skończyłam tam gimnazjum, liceum, studia.

Znałaś inne dzieci emigrantów?

Tylko dzieci emigrantów stanu wojennego, tych marcowych właściwie nie znałam.

A z czym Ci się Marzec kojarzył?

Z tym, że mój ojciec przez rok siedział w więzieniu, co oczywiście na dziecku →



→ robiło ogromne wrażenie. Zresztą byłam z tego dumna.

Nie myślałaś, że zrobił coś złego?

Nie, wiedziałam z grubsza, na czym polegał system PRL-u i dlaczego on i jego różni znajomi trafili wtedy do więzienia. Miałam świadomość, że siedział za odwagę, widziałam go jako bohatera. I dopiero teraz, kiedy zaczęłam zajmować się tym tematem przy okazji spektaklu, który powstaje we współpracy Teatru Żydowskiego i Teatru Polskiego w Warszawie, rozmawiam z rodzicami o tamtym czasie.

Premiera ma się odbyć 10 marca, w 50. rocznicę tamtych wydarzeń.

Po tylu latach poznaję ich biografie w każdym szczególe. Wiele rzeczy rozumiem i zastanawiam się, co by było, gdybym jako dziecko odkryła ich przeszłość.

Dorastałabyś wtedy inaczej?

Być może. Byłabym może bardziej świadoma mechanizmów rządzących rzeczywistością społeczno-polityczną. Żyjąc we Francji w latach 80. i 90. byłam przedstawicielką posthistorycznego i postpolitycznego pokolenia. Mówiono nam, że historia dobiegła końca, wojny nigdy nie będzie i żyjemy w najlepszym z możliwych światów. A gdybym miała świadomość, że dożyć niedawno moi rodzice musieli uciec z ojczyzny, może zauważałabym więcej?

Ala co mogłabyś widzieć?

Może bym czuła wdzięczność za to, że dorastam w miejscu, w którym obywatele mogą się czuć bezpieczni i są chronieni przez prawo. A może bym zauważała nierówności i dyskryminację, które w społeczeństwie francuskim zawsze miały się dobrze? A może niczego bym nie widziała? W jakimś sensie rozumiem, że rodzice nie chcieli opowiadać szczegółów swojego wyjazdu z Polski.

Chcieli Was uchronić przed traumą?

To chyba nie była dla nich trauma.

A co?

Znaleźli się w dramatycznej sytuacji, ale natychmiast zaangażowali się w budowanie swojego życia i w pracę na rzecz Polski. Oboje wkładali ogrom pracy w przekaz informacji: drukowali teksty opisujące polską sytuację, tłumaczyli, przekazywali dalej, byli w samym sercu systemu komunikacji opozycyjnej na Zachodzie. I wydawali kwartalnik polityczny „Aneks”, który zresztą dzięki „Kulturze Liberalnej” jest teraz dostępny w sieci. Zależało im na pogłę-

bionej refleksji na temat wydarzeń w Polsce, podziałów w społeczeństwie, idei, które się zderzały. To była intensywna i dogłębna redakcja domowej roboty.

Czy jest coś, co charakteryzuje drugie pokolenie Marca?

Dziwna konstrukcja tożsamościowa. Weźmy język: to ludzie, którzy dostali w bagażu rodzinnym język polski, ale też tożsamość żydowską. W wielu przypadkach nasi rodzice mieli korzenie żydowskie, ale najczęściej byli zasymilowani. Moja rodzina nie miała w ogóle kontaktu z jidysz czy religią. Każdy z nas dorastając negocjował w sobie więc trzy tożsamości: żydowską, polską i w moim przypadku francuską. Ta ostatnia była fundamentalna, ponieważ wszyscy chodziliśmy do szkół, stając się pełnoprawnymi obywatelami krajów, w których mieszkaliśmy. Francuski jest moim podstawowym językiem, bo w nim rozmawiałam z kolegami, w nim się uczyłam, czytałam, a potem pisałam. W pewnym momencie to drugie pokolenie zaczyna drażnić, szukać własnych korzeni, zadawać pytania.

Co dobijało się w Twoim przypadku?

Coś, z czym się zetknęłam bardzo szybko, kiedy zaczęłam tu pracować, coś bliskiego, poczucie, że odnajduję siebie, szczególnie w kontaktach z ludźmi.

A trochę jaśniej?

Chodzi o relacje międzyludzkie, o to, jak ze sobą rozmawiają, jakie tematy podejmują, jakie są kody.

Rozmawiają inaczej niż we Francji?

Tak. Poczułam rodzaj ulgi, tak jakbym się znalazła w domu. Oczywiście gdy jestem w Paryżu, to też jestem w domu. To miasto mojego dzieciństwa, młodości, wszystkich inicjacji. Często emigracje zamieniły się w szczęśliwą integrację. Ludzie założyli rodziny w tych nowych krajach, urodzili dzieci, budowali inne życia. Rozmawiałam z kobietą w moim wieku, tak samo jest, nazwijmy to, dzieckiem Marca. Dopiero w trakcie naszej rozmowy uświadomiła sobie traumę 1968 r., to, jak bardzo doświadczenie rodziców mogło i na nią wpłynąć. Nigdy o tym nie myślała, bo z rodzicami rzadko rozmawiała na temat ich przeszłości. Stworzyli jej piękne życie. I może to jest dobre?

Akcję swojego ostatniego spektaklu w Komunie// Warszawa umieściłaś w ośrodku wypoczynkowym, który działa w ramach Narodowego Progra-

mu Zbiorowego Wypoczynku. Co jest jego tłem społecznym i politycznym? Wolę tego nie dookreślać.

Może jednak spróbujesz?

Komuna// Warszawa zaprosiła nas do udziału w cyklu „Przed wojną, wojna, po wojnie”. I te hasła są rzecz jasna pobudzające, ale nie chcieliśmy z Michałem Buszewiczem, autorem tekstu, odnieść się do nich w sposób bezpośredni. Zależało nam na stworzeniu fantazji. Nie da się ukryć: posilkowaliśmy się tym, co dzieje się na zewnątrz, w kraju i na świecie. Ale nie chcieliśmy dookreślać jakiegos konkretnego wydarzenia. Nie podpowiadamy widzowi, w którym z trzech czasów jesteśmy.

Złapałem się na tej dezorientacji.

Niektórzy mówią, że opisujemy świat po wojnie, a inni, że przed. Podoba mi się ta możliwość dowolnej interpretacji.

Nie chcesz mówić wprost?

Chwilowo nie chcę.

Dlaczego?

Bo co chwilę dostaję całą masę bezpośrednich komunikatów.

Skąd je dostajesz?

Od was, dziennikarzy, oraz z portali społecznościowych. W momencie, kiedy każdy stał się prorokiem w swojej sieci znajomych, to nie ma dokąd uciec. Namnożyło się nam takich autorytetów. Jestem przeładowana, dlatego chcę, żeby teatr był miejscem, w którym odwracam perspektywę.

Czym jesteś przeładowana?

Życiem w postprawdzie i poczuciem, że nie ma obiektywnej informacji ani straży dziennikarskiej i etycznej. A jak się pojawia, to w sposób szokujący umniejsza czyn, o którym wszyscy powinniśmy głośno mówić: chodzi mi o akt samospalenia Piotra Szczęsnego.

Co masz na myśli?

Chodzi mi o to, jak gazety i media traktowały na samym początku jego czyn. Zdziałał „syndrom Wertera”: nie można było o tym pisać, by nie wywołać efektu kuli śnieżnej. Dziennikarze pokazali, że są za coś odpowiedzialni. Nagle pojawiła się kategoria etyczna, o której, mam takie wrażenie, często zapominacie. Ale w tym przypadku akurat milczenie było zdumiewającą decyzją.

Mogę mówić tylko za siebie, a nie za całe środowisko.

Jasne. Wiem, że dziennikarze muszą mierzyć się z wieloma problemami, nawet najbardziej prozaicznymi, związanymi z przyciąganiem uwagi i przeżyciem. Jako czytelniczka chcę, żeby gazety, które czytam, miały się finansowo dobrze. Zależy mi na tym. Ale nie chcę, żeby przeżyły za wszelką cenę. Nie wiem, jak to pogodzić.

Chodzi pewnie o budowanie zaufania czytelnika.

Ale też o ton i emocje, które wywołuje, i to, jak działają potem na polityków. Na końcu pojawia się histeria i napędzanie celebryckiego aspektu polityki, odwracanie uwagi od kwestii merytorycznych.

I teatr ma odpowiadać na to wszystko?

Nie myślę o teatrze w kategoriach powinności czy obowiązku. Ale na pewno ciężko mi dziś zrozumieć postawę artystów, którzy odcinają się od tego, co wydarza się wokół nas. Z drugiej strony czuję, jak bardzo uprawianie teatru stało się wyzwaniem, jak trudno znaleźć odpowiedni język.

Tobie jest trudno?

Tak, ponieważ wszelkie deklaracje wypowiedziane wprost łatwo się same kompromitują.

Jakie deklaracje?

Mówienie o tym, co jest dobre, a co złe, wskazywanie wrogów i sojuszników. Waleczne monologi wypowiadane ze sceny najczęściej wydają mi się banalne. Łatwo upraszczają podziały, których jesteśmy świadkami albo nawet aktorami.

Nie chcę dokładać się do polaryzacji widowni. Nie chcę przekonywać przekonanych, to mnie już zawstydza. Jak widzę salę przekonanych, którzy sobie nawzajem przytakują, to tracę poczucie sensu. Co innego, kiedy wydarzy się spektakl, który prowokuje wzmacnianie zdolności do wyrażania swoich opinii, i takim przykładem była „Kłątwa” Olivera Frlijicia. Tamten spektakl dał mi siłę mówić jeszcze głośniejsze: tak, jestem za prawem do aborcji, tak, chcę oddzielenia państwa od Kościoła, tak, chcę, żeby szkoła była wolna od instytucji religijnych. Ale co najważniejsze: przy całym skandalu, który wywołał, jest on przykładem dzieła, które prowokuje do prawdziwej dyskusji, a nie dzieli. Chodzi mi oczywiście o tych widzów, którzy spektakl obejrżeli. Tych, którzy o nim mówią nie znając go, trudno traktować poważnie. Mówimy o rzadkim przypadku wzmacniania przez teatr obywatelskiej odwagi, bo najczęściej głaszczemy się po głowach.

ANNA SMOLAR

Kiedy namnożyło się nam autorytetów, a każdy stał się prorokiem w swojej sieci znajomych, nie ma dokąd uciec. Chcę, żeby teatr był miejscem, w którym odwracamy perspektywę.

Wróćmy do Twojego spektaklu: Polacy potrzebują takich ośrodków wypoczynkowych? Kto trafia do Twojego ośrodka?

Każdy obywatel ma taką szansę. Na początku najbardziej inspirowali nas ludzie, których podczas protestów lipcowych mijaliśmy siedzących przy piwie w ogródkach, kiedy kilka kroków dalej w Sejmie czy w Pałacu Prezydenckim podejmowane były dramatyczne decyzje. W naszej fantazji „Narodowy Program Zbiorowego Wypoczynku” jest trochę programem 500+ na przyjemności. Ośrodki są jednocześnie miejscami monitorowania społeczeństwa i usypiania aktywności obywatelskiej czy nawet empatii wobec drugiego człowieka. Więc z jednej strony gościom tego ośrodka dostarcza się cały wachlarz przyjemności i zaspokaja wszelkie potrzeby. A z drugiej – przekaz dotyczący oczekiwań, których wymaga od ludzi system.

Chodzi o uległość?

Przed wszystkim. Poza tym obywatele są zwolnieni z wszelkiej działalności. Określone profesjonalne służby zajmują się w tamtym państwie każdą dziedziną rzeczywistości. W związku z tym obywatel może wyłączyć myślenie i przestać działać, poddać się fali, szumowi lasu i krzykom mew. Chodzi tylko o przyjemność i niezwracanie uwagi na zapotrzebowanie słabszych czy cierpienie drugiego człowieka. Pokazujemy, jak doprowadzenie do absolutnego poczucia komfortu idzie w parze z narastającą biernością.

I zmienia relacje między ludźmi.

Przyznam, że poruszyła mnie scena o umierającej matce. Jedna z bohaterów nie może albo nie chce pojechać się z nią pożegnać. Jaka powstaje wtedy wspólnota?

Wspólnota przyjemności i roztapiania się w grupie. Ale w momencie niepowo-

dzenia czy porażki, choroby, klęski, rozstania, cierpienia czy biedy, to społeczeństwo odwraca od ciebie wzrok. To państwo daje nam komfort zatkania uszu i zasłonięcia oczu. To wspólnota, w której wszyscy noszą takie same czapeczki, patrzą na miły pejzaż i nic poza nim nie widzą.

Trochę to brzmi jak spełnione utopie kapitalizmu i jednocześnie komunizmu. W tym pierwszym ludzie mają zastąpić roboty i wszyscy mają być szczęśliwi, a w tym drugim po zniesieniu podziałów klasowych ma zapanować pokój i miłość. Zwracam uwagę na słowo: wszyscy.

A państwo w tych systemach ma nami się zaopiekować. Badaliśmy z Michałem Buszewiczem możliwość zbudowania utopii, która miesza różne fantazje zarówno neoliberalizmu, jak i komunizmu, ale też silnego patriotyzmu.

Patriotyzmu?

Który każe wyłączyć myślenie, kiedy w kółko powtarzasz pozornie jednoczące frazesy.

Jakiś przykład?

Są nimi wszystkie hasła, które pojawiają się 11 listopada podczas Marszu Niepodległości, typu „Polska dla Polaków”, „Czysta krew” albo „Wszyscy różni, wszyscy biali”.

Takie fantasmagorie dają poczucie siły, wyjątkowości, jedności. Służą wyłącznie do budowania poczucia siły kosztem innych, wrogość staje się jedynym paliwem do budowania wspólnoty. Goście naszego ośrodka są już długo po transformacji, nie przyszłoby im już nawet do głowy, żeby podważyć cokolwiek, co jest tym obowiązującym przekazem.

To ciekawe, bo oba spektakle, o Marcu i ośrodku wypoczynkowym, można czytać przez pojęcie patriotyzmu.

Może w obecnej sytuacji każdy temat prowadzi nas do tej kwestii? Może teatr pomoże coś zrozumieć albo poczuć? A na pewno może pozwolić spojrzeć na nowo na te napięcia, które nami targają. ©

Rozmawiał ARKADIUSZ GRUSZCZYŃSKI

ANNA SMOLAR (ur. 1980 r.) jest polsko-francuską reżyserką teatralną. Absolwentka literaturoznawstwa na Uniwersytecie Paris-Sorbonne, w 2001 r. założyła w Paryżu zespół *La compagnie Gochka*. W Polsce reżyseruje od 2005 r. Premiera spektaklu „Kilka obcych słów po polsku” w Teatrze Polskim jest planowana na 10 marca 2018 r.



Sebastian Stankiewicz jako Mikołaj i Robert Biedroń jako anioł w czwartym odcinku SNL, grudzień 2017 r.

Niezbyt udany przeszczep

JAKUB MAJMUREK

Twórcom polskiej wersji „Saturday Night Live” może być trudno. Naszą satyrę polityczną trzeba dziś przecież wymyślić od nowa.

JAROSŁAW KACZYŃSKI ROZSIADŁ SIĘ w swoim gabinecie. Cierpi na ból kolana. Krząta się wokół niego Beata Szydło, pokornie wykonując wszystkie polecenia. Z pomocą przychodzi też ubrany w dres Patryk Jaki ze skrzętem marihuany. Oczywiście medycznej.

Wbrew pozorom nie jest to opis kolejnego odcinka „Ucha Prezesa”. Tak zaczynał się pierwszy odcinek polskiej wersji legendarnego amerykańskiego programu satyrycznego „Saturday Night Live”, który na rodzimym gruncie próbuje przeszczepić platforma Showmax.

Po pierwszych odcinkach można być raczej sceptycznym co do powodzenia tej próby. Program na ogół zaczyna się jak słabsza wersja popularnego serialu Roberta Górskiego, a później rzadko robi się lepiej.

Autorzy z pewnością podejmują się niełatwego zadania. Mierzą się z programem, który nie tylko ma ikoniczny status w historii amerykańskiej rozrywki, ale jest też tak głęboko zakorzeniony w tamtejszych kontekstach kulturowych i społecznych, że próba przeniesienia go w polskie to karłołomne zadanie.

Telewizja śmieje się z siebie

Amerykański SNL zadebiutował na antenie w październiku 1975 r. Choć produkcja miała swoje gorsze i lepsze momenty,

choć wielokrotnie zmieniali się występujący w niej aktorzy i autorzy piszący dla nich skecze, nadawana jest do dziś. Obecnie jesteśmy w środku 43. sezonu.

W ciągu czterech dekad SNL był kuźnią talentów dla amerykańskiej rozrywki. Po wykuwających swoją popularność w programie komików sięgało kino i telewizja. To tam swoje kariery zaczynali John Belushi, Dan Aykroyd, Bill Murray, Tina Fey czy Eddie Murphy. To właśnie w serii skeczów dla SNL Aykroyd i Belushi w 1978 r. po raz pierwszy pojawiają się na ekranie jako Blues Brothers – popularność ich postaci okazała się tak wielka, że dwa lata później sięgnęło po nie Hollywood.

Co stanowi o sile formuły SNL? Głównym obiektem żartów w produkcji jest sama telewizja. Przeciętny odcinek SNL od początku składał się ze skeczów parodiujących różne telewizyjne formaty: popularne teleturnieje, wiadomości, debaty prezydenckie, seriale, *talk-show*. Skecze z założenia miały także reagować na bieżące wydarzenia. Program powstaje w zabójczym, tygodniowym tempie. Materiał pisany jest na bieżąco od poniedziałku do piątku – tak by skecze z soboty uwzględniały nowości ze świata popkultury i polityki. Każdy odcinek przynosi też nowego prowadzącego: gwiazdę, która otwiera *show* monologiem i pojawia się w większości skeczy.

SNL rozwija się i przeżywa swój pierwszy złoty wiek w drugiej połowie lat 70., w tym samym czasie, gdy w Hollywood triumfy święci kino nowej przygody Spielberga i Lucasa. SNL łączy z nim podobny odbiorca: zdecydowanie nienawny, doskonale obeznany w popkulturowych odniesieniach, intuicyjnie rozumiejący filmowe i telewizyjne konwencje, a przy tym szukający w audiowizualnej rozrywce prawdziwych emocji, śmiechu i wzruszeń.

Śmiech po Watergate

SNL zestawia się też często z „Latającym cyrkiem Monty Pythona” (1969-74). Brytyjczycy także biorą na komiczny warsztat telewizyjne gatunki, ale działają w zupełnie innym kontekście – nastawionej na misję publiczną telewizji brytyjskiej. Ich humor jest bardziej absurdalny, nonsensowny, dwuznaczny moralnie i nihilistyczny. Żarty Amerykanów z SNL raczej trzymają się ziemi i amerykańskich wartości – przede wszystkim tych liberalnych.

Dzieje się tak, mimo że program powstał w momencie najgłębszego moralno-politycznego kryzysu Ameryki. Pierwszy odcinek wyemitowany zostaje półtora roku po dymisji Nixona, zmuszonego do odejścia po ujawnieniu afery Watergate. Krajem rządzi prezydent Ford, człowiek, który na umożliwiającej mu sukcesie stanowisko wiceprezydenta nie został w ogóle wybrany w powszechnych wyborach – Nixon nominował go po rezygnacji Spira Agnew.

Ford staje się jednym z głównych obiektów żartów w początkach programu, zwłaszcza w trakcie kampanii wyborczej w 1976 r. Odtwarzający prezydenta Chevy Chase robi z niego postać rodem ze slapstickowej komedii. Jego Ford przewraca się wraz z mównicą, z której ma przemawiać, nie potrafi wypić szklanki wody, nie

oblewając się jak dziecko, trudność sprawia mu odebranie telefonu. Niezgrabność nie czyni przy tym z niego postaci w jakikolwiek sposób sympatycznej. Kompletna ignorancja idzie u Forda-Chase'a w parze z cynizmem, dwulicowością i skłonnością do manipulacji. Choć w programie obiektem żartów jest też konkurent Forda, Jimmy Carter (wciela się w niego Aykroyd), nietrudno zgadnąć, gdzie mieszczą się sympatie twórców.

Nie zmieniają się one wraz kolejnymi pokoleniami autorów programu. W 1984 r. prowadzącym jest afroamerykański pastor Jesse Jackson, walczący wtedy o nominację Demokratów w wyborach prezydenckich. Jackson pojawia się m.in. w skeczu parodiującym teleturniej testujący wiedzę zawodników. Pastor wciela się w rolę prowadzącego, odpowiedzi uczestników nie bardzo go jednak interesują. Gniewnie im przerywa, przekonany, że to, co mówią, i tak nie ma znaczenia w zmierzającej do katastrofy Ameryce prezydenta Reagana. „Nieważne, czyj wizerunek znajduje się na banknocie studolatorowym, większość Amerykanów i tak go nigdy nie zobaczy!” – krzyczy. W efekcie, choć Jackson balansuje na granicy autoparodii, powstaje jedno z najostrzejszych oskarżeń ery Reagana w głównym nurcie popkultury.

Wyjść z bańki

Podobny polityczny kierunek program utrzymuje w obecnym stuleciu. Bezlistnie wykpiwał Busha jr. i Sarah Palin, choć dostaje się też „przeintelektualizowanemu” Alowi Gore'owi czy Hillary Clinton. Polityka zawsze była jednym z wielu obecnych w SNL wątków, kariera Donalda Trumpa uczyniła z niej jednak główny temat. Od czasów Forda żaden z sezonów show nie był tak silnie upolityczniony jak dwa ostatnie.

Wcielający się w Trumpa Alec Baldwin robi świetną aktorską robotę, choć można mieć wątpliwości, czy ktoś taki jak Trump w ogóle daje się jeszcze ośmieszyć w ramach konwencji telewizyjnej satyry. Czy była gwiazda *reality-show* sama wcześniej nie przeszła na drogę groteski, gdzie nie mogą jej zaszkodzić żadne żarty z jej osoby?

Ostatnie dwa sezony SNL więc najciekawsze tam, gdzie odpuszczają sobie łatwe cele, takie jak Trump, i wykraczają poza oczywiste schematy myślenia liberalnej bańki, w jakiej funkcjonują twórcy serii i większość jej odbiorców. W zeszłym sezonie świetnie się to udało w dwóch skeczach. W pierwszym grupa liberalnych Amerykanów zasiada przed telewizorami w noc wyborczą roku 2016.

Są absolutnie przekonani, że Hillary Clinton nie może przegrać. Wraz z wynikami spływającymi z kolejnych stanów grupa znajomych będzie jednak musiała skorygować swoje przekonania na temat tego, jak naprawdę wyglądają nastroje społeczne w Stanach. Drugi zestawia typowego wyborcę Trumpa (rewelacyjny Tom Hanks) z afroamerykańskimi uczestnikami teleturnieju „Czarny va banque”. Kolejne odpowiedzi postaci Hanksa i jego konkurentów pokazują, że wykluczeni czarni Amerykanie i wyborcy Trumpa, przerażeni tym, że spełnienie amerykańskiego snu ucieka im za horyzont, mogą mieć ze sobą o wiele więcej wspólnego, niż obie grupy byłyby kiedykolwiek skłonne przyznać.

Polski SNL jest bardziej na lewo od polskiego mainstreamu niż jego amerykański odpowiednik wobec amerykańskiego. Pierwszym zaproszonym prowadzącym ze świata polityki był Robert Biedroń. Program kpi nie tylko z PiS, ale też z Ryszarda Petru, kultu profesora Balcerowicza i polskiej odmiany neoliberalizmu. Choć obecność takich treści w silnie przesuniętej na prawo polskiej scenie publicznej jest niewątpliwie wartościowa, to trochę szkoda, że – w przeciwieństwie do amerykańskiego oryginału – twórcy polskiego SNL nie spróbowali przyjrzeć się w komicznej konwencji swoim własnym założeniom i bliskim sobie poglądom. W odcinku z Biedroniem dbano głównie o to, by wypadł on sympatycznie. Prezydent Słupska miał zbyt dużo komfortu, by – ryzykując wygłupienie się – zrobić coś podobnie pamiętnego, co Jackson w 1984 r.

Utracone w przekładzie

Twórcom polskiego SNL może być o tyle trudno, że w przeciwieństwie do Amerykanów nie mają za sobą kilku dekad tradycji. W dodatku polska satyra polityczna jest czymś, co trzeba wymyślić od nowa.

Na fali odpolitycznienia kultury po 1989 r. rozrywka telewizyjna i kabaret w dużej mierze programowo odcięli się od polityki.

Popularność „Ucha Prezesa” czy nasycone polskiego SNL żartami politycznymi pokazują jednak wyraźnie, że na satyrę polityczną znów jest koniunktura. Nie wiem tylko, czy polskiemu SNL uda się wypracować formułę, która ją wykorzysta, znajdując drogę do szerszej publiczności. Zbyt często polskie skecze z programu wydają się graną przez polskich aktorów kopią amerykańskich. Niektóre – casting do „Gwiezdných wojen” z udziałem polskich celebrytów, nawiązujący do sceny z „*Love Actually*” skecz z Jarosławem Kaczyńskim i Danutą Holecą – to bezpośrednie przeróbki numerów niedawno pokazywanych w amerykańskim SNL. Humor ginie tu w przekładzie.

Problemem z „polskim SNL” może być też to, że w Polsce kabaret zawsze pozostawał raczej przy-literacki i przy-teatralny, nie żywił się nigdy do tego stopnia telewizją (i polityką jako częścią telewizji), co amerykańska tradycja, której część stanowi oryginalne SNL. Publiczność może potrzebować czasu, by wejść w nową konwencję.

Być może humor z natury jest nieprzetłumaczalny i trzeba szukać dla niego lokalnych formuł. Próby tworzenia klonów SNL podejmowano w niejednym kraju, nigdzie nie powstał fenomen dorównujący oryginałowi. Czy w sytuacji, gdy skecze z amerykańskiego SNL dostępne są niemal od razu na YouTube, jest sens robić coś podobnego, tylko z Piotrem Adamczykiem zamiast Ryana Goslinga i parodiami Kaczyńskiego zamiast Trumpa?

Rodzimi fani amerykańskiego oryginału od polskiej rozrywki oczekują czegoś innego, własnego głosu. Mimo kilku udanych momentów, ten w polskim SNL brzmi na razie słabo. ©

Kluby „Tygodnika Powszechnego” zapraszają

WARSZAWA

Spotkanie o wizji Kościoła papieża Franciszka „Jest to również nasze marzenie”.

Czwartek, 11 stycznia, godz. 19.00, sala KIK (ul. Freta 20/24A).

NOWY KLUB! AUGUSTÓW

Spotkanie „Połączenie odebrane. Nowa książka ks. Adama Bonieckiego”.

Niedziela, 14 stycznia, godz. 18.00, I Liceum Ogólnokształcące (ul. Śródmieście 31).

BIELSKO-BIAŁA

Spotkanie przed Dniem Judaizmu. Poniedziałek, 15 stycznia, godz. 17.00, Klubokawiarnia Aquarium (ul. 3 Maja 11A, Galeria Bielska BWA, I piętro).

ZIELONA GÓRA

Spotkanie „Niech pozna brat brata swego” z okazji Dnia Judaizmu. Środa, 17 stycznia, godz. 18.00, Piekarnia Cichej Kobiety (ul. Fabryczna 13).

NOWY KLUB! SŁUPSK

Spotkanie organizacyjne. Środa, 24 stycznia, godz. 17.00, Miejska Biblioteka Publiczna (ul. Grodzka 3).



Siły zła: w „Nowej nadziei” i w „Ostatnim Jedi”

Niech moc powtórzeń będzie z wami!

MARCIN NAPIÓRKOWSKI

Przeżyjmy to jeszcze raz – z tej zasady czerpała siłę oryginalna Trylogia „Gwiezdných wojen”. W „Ostatnich Jedi” moc słabnie.

ZACZNIJMY OD PIERWSZEJ ODSŁONY Nowej Trylogii „Gwiezdných wojen”, która do kin trafiła dwa lata temu. Docenienie „Ostatnich Jedi”, którzy właśnie weszli do polskich kin, jako skomplikowanej gry powtórzeń możliwe jest tylko na tle „Przebudzenia Mocy”.

Oryginalne „Gwiezdne wojny” oglądałem pewnie ze sto razy (to nie hiperbola, tylko ostrożna estymacja). W trakcie seansu „Przebudzenia Mocy” siedziałem więc jak urzeczony, rozpoznając znajome motywy fabularne, parafrazy (i dosłowne powtórzenia) ulubionych dialogów, a nawet całe pieczołowicie skopiowane ujęcia.

Na najwyższym poziomie film J.J. Abramsa kopiuje główny schemat narracyjny „Nowej nadziei” – wyprodukowanej w 1977 r. pierwszej odsłony sagi. Oto znów tajna wiadomość zostaje zapisana w pamięci droida, który ucieka i wpada w ręce bohatera (ów tym razem jest bohaterką), stając się dla niego wezwaniem do porzucenia dawnego życia i wyruszenia do walki ze złym Imperium.

Ci źli budują wielką stację bojową, która – po teście obracającym w przynę planetę (w Nowej Trylogii kilka planet) – zostaje ostatecznie unieszkodliwiona przez tych dobrych.

Na innym poziomie konstrukcji poszczególne sceny skopiowane są z oryginału z niezwykłą pieczołowitością. Gdy pilot Poe Dameron umieszcza tajne dane w pamięci droida BB8, ujęcie nawiązuje czytelnikowi do pamiętnego gestu księżniczki Lei pochylającej się nad droidem R2D2 w „Nowej nadziei”; ukazanie się Kylo Rena to powtórzenie wejścia Vadera; szturmowiec Finn ratujący Poe Damerona naśladuje gesty Luke’a Skywalkera ratującego w stroju szturmowca księżniczkę Leię. Spędziłem godziny, porównując poszczególne kadry i ujęcia. Niektóre były wręcz dokładnymi kopiami tych z „Nowej nadziei”, łącznie z oświetleniem czy kątem ustawienia kamery.

Na starej szachownicy

Najciekawiej robi się jednak na najgłębszym poziomie – przedmiotów, słów czy gestów wypełniających świat przedstawiony. „Przebudzenie Mocy” pieczołowicie odtwarza wnętrza, dźwięki, a nawet faktury materiałów, z których zbudowana jest galaktyka.

Bo „Gwiezdne wojny” to przede wszystkim ściśle określona estetyka, obejmująca dźwięki, pracę kamery i oświetlenia, ma-



Gdy pilot Poe Dameron umieszcza tajne dane w pamięci droida BB8 („Ostatni Jedi”), ujęcie nawiązuje do pamiętnego gestu księżniczki Lei, pochylającej się nad droidem R2D2 w „Nowej nadziei”.



„Gwiezdne wojny” to przede wszystkim ściśle określona estetyka. Obejmuje otwierające się z sykiem ciężkie drzwi, przełączniki (którymi wyłącza się pole siłowe), charakterystyczny design paneli kontrolnych. Po lewej „Imperium kontratakuje”, po prawej – „Ostatni Jedi”.

teriał, kostiumy, nawet sposób gry aktorskiej. Galaktyczne Imperium (oraz jego pogrobowcy terroryzujący świat Nowej Trylogii) ma swój rozpoznawalny styl architektoniczny, równie charakterystyczny i bogaty, co starożytny Egipt, Grecja czy Rzym. Obejmuje on otwierające się z sykiem ciężkie drzwi, przełączniki (którymi wyłącza się pole siłowe), charakterystyczny design paneli kontrolnych, a także zamiłowanie do zawrotnie głębokich szybów, do których w finałowej scenie można zrzucić wroga. Ta estetyka jest tak spójna i wiarygodna, że aż trudno uwierzyć, iż jest tylko wytworem wyobraźni.

W tym miejscu logika powtórzenia płata nam jednak interesującego figla. Dla zachowania spójności ze Starą Trylogią galaktyka pozostała na zawsze uwięziona w estetyce odpowiadającej temu, jak wyobrażaliśmy sobie nowoczesność pod koniec lat 70. XX w. Pulpity sterownicze, wyświetlacze, nawet hologramy – wszystko to utknęło na poziomie snu o kosmicznych podbojach, na jaki stać było kino prawie czterech dekad temu – topornych, monochromatycznych lub kilkunastokolorowych ekranów pokrytych prostymi diagramami. W uniwersum „Gwiezdných wojen” funkcjonują laserowe działa i hipernapęd, ale nigdy nie pojawiły się wyświetlacze dotykowe, telefony komórkowe albo tablety.

Choć ostateczne oceny krytyków (i fanów) wahały się od ekstatycznego entuzjazmu do bolesnego rozczarowania, większość z nich zgadzała się co do dwóch rzeczy. Po pierwsze, J.J. Abrams wyznaczył całkiem nowy standard powtórzenia. Jego film to trochę *sequel*, trochę *remake*, a trochę fanowski hołd oddany „Nowej nadziei”. Po drugie,

naprawdę emocjonujący jest fakt, że po uderzająco podobnym rozstawieniu figur na szachownicy dostajemy znów obietnicę tysięcy możliwych wariantów ciągów dalszych. „Stary mistrz”, „bohater znikąd” i „śmieszny droid” są w zasadzie jak wieża, gonic i pion – wiemy, jak się poruszają, jakie reguły kierują ich postępowaniem. Prawdziwą różnicę robiła jednak otwartość – losy bohaterów mogły się potoczyć zupełnie inaczej.

I właśnie w tym miejscu na scenę wchodzi „Ostatni Jedi”. Film podniósł grę w powtórzenia na zupełnie nowy poziom.

Nie drażnić fanów (uwaga, spoilery!)

Przed wszystkim „Ostatni Jedi” nie są prostą powtórką „Imperium kontratakuje”. Owszem, znajdziemy tu wiele nawiązań do (uznawanej za najlepszą) drugiej części Starej Trylogii – jak choćby sekwencje treningu Rey dublujące lekcje, jakie Luke pobierał niegdyś pod okiem mistrza Yody (włącznie z mroczną jaskinią). Zarazem jednak całe mnóstwo scen to po-

wtórzenia (ponowne) motywów z „Nowej nadziei”. O ile więc film Abramsa sprzed dwóch lat faktycznie dublował „Nową nadzieję”, o tyle Rian Johnson kompresuje w jednym obrazie motywy zaczerpnięte z wszystkich części Starej Trylogii. Oznacza to, że na najwyższym poziomie swojej konstrukcji „Ostatni Jedi” to paradoksalnie film oryginalny. Skupiając się na przetwarzaniu pojedynczych motywów i elementów świata przedstawionego, Johnson składa je w całkiem nową całość.

Moim zdaniem jest to całość niespójna. Pomysł, żeby większość akcji zorganizowana była wokół absurdałnej pogoni, w której rebelianci są szybsi, ale zarazem zachowują stały dystans, jest chyba najsłabszym posunięciem fabularnym w uniwersum od czasu wprowadzenia na scenę Jar Jar Binksa.

Skompresowanie w środkowej odsłonie wątków ze wszystkich trzech starych filmów sprawia jednak, że fani z tym większym zainteresowaniem czekać będą na ostatnią odsłonę Nowej Trylogii. Tym razem bowiem – przynajmniej na pierwszy rzut oka – na powtórzenia zostaje bardzo niewiele miejsca. Imperator już zginął zabity przez Vadera (w języku Nowej Trylogii: Kylo Ren zabił Snoke’a). Zwrot akcji wieńczący Starą Trylogię już się dokonał. Co zatem przed nami?

Kolejnym interesującym (a czasem irytującym) aspektem uprawianej przez Riana Johnsona gry jest drażnienie się z fanami. Konwencja nieustannych powtórzeń sprawia, że oczekiwaniami widzów łatwo manipulować. Reżyser obiecuje nam jedno, a następnie daje coś innego. Rey wierzy, że Kylo Ren zmieni front, a wraz z nią wierzą i widzowie. Powtarzając wiernie słowa Luke’a wobec Vadera – „czujemy, że jest w nim dobro”. Gdy Kylo Ren zabija swego mistrza, wydaje nam się, że



→ dostaliśmy to, czego chcieliśmy. Zamiast jednak dołączyć do Tych Dobrych, grany przez Adama Drivera młodzieniec ogłasza się nowym przywódcą Tych Złych. Niespodzianka!

Inny przykład: misja „wylączenia czegoś, żeby dobrzy mogli uciec”, wiernie powtarzająca schemat znany z „Nowej nadziei”, kończy się porażką. Choć już wcześniej („Powrót Jedi”) zdarzało się, że supertajne misje Rebelii okazywały się prostą drogą w pułapkę zastawioną przez Imperium, to dotychczas zawsze jednak poczynania bohaterów wieńczył sukces. Generatory pola były wyłączane, osłony wysadzane w powietrze, tajne plany wroga zdobywane przez szpiegów. Tym razem cały plan zakończył się kląpą, a w dodatku od początku nie miał sensu, bo przywódcy Ruchu Oporu mieli całkiem inną wizję ucieczki. Kolejna niespodzianka!

Bardziej perwersyjną formą drażnienia się z widzami jest demonstracyjne ignorowanie ich oczekiwań. I znów – ma ono sens jedynie w dziele organizowanym przez logikę powtórzeń. Jesteśmy przekonani, że tożsamość rodziców Rey jest kluczowa, bo odkrywanie czyjegoś pochodzenia jest jednym z powracających toposów, który w Starej Trylogii odgrywał rolę pierwszorzędą. Kiedy więc dowiadujemy się (choć: czy to aby na pewno praw-

Miłość w galaktyce
jest platoniczna,
pozbawiona żądy
i dramatycznych emocji.
Gniew i nienawiść
– destruktywne, lecz jakby
pozbawione ciężaru.

da?), że rodzice Rey nie są nikim ważnym z punktu widzenia fabuły, jesteśmy zaskoczeni. Tymczasem logicznie rzecz biorąc od początku naiwnością było wierzyć, że wszystkie istotne postaci w galaktyce muszą być w jakiś sposób spokrewnione z rodem Skywalkerów.

Jeszcze bardziej złośliwe, zwłaszcza wobec najbardziej zaangażowanych fanów, jest wspomnienie już uśmiercenie (choć: czy aby na pewno?) przywódcy Najwyższego Porządku.

Od czasu premiery pierwszej części Nowej Trylogii fani na setkach forów internetowych i w starannie przygotowanych „śledczych” filmach na YouTube zadawali sobie pytanie: kim jest Snoke? Jak to możliwe, że wcześniej o nim nie słyszeliśmy? Co porabiał, gdy Luke Skywalker i jego

przyjaciele obalali Imperium? Samozwańczy tropiciele galaktycznej prawdy prześcigali się w budowaniu teorii, wśród których przodowała ta, że tajemniczy Snoke to wspomniany w jednym z dialogów Trylogii Prequeli mistrz Sith o imieniu Darth Plagueis, który „miał taką wiedzę o ciemnej stronie, że tych, których bardzo kochał, mógł zachować od śmierci”. Na potwierdzenie tej tezy analizowano blizny na twarzy Snoke’a, jego strój, wypowiedzi, książki, komiksy, a nawet gry komputerowe ze świata „Gwiezdných wojen”. I jakie to wszystko ma teraz znaczenie, gdy Snoke leży na posadzce swej sali tronowej, przecięty na pół, po podstępny ataku swego ucznia?

Te szczegółowe rozważania na temat budowy dzieł filmowych kierują nas ku bardziej ogólnym mechanizmom, które sprawiają, że Nowa Trylogia mierzyć się musi z bardzo poważnymi ograniczeniami.

W Imperium nie ma seksu

Jeżeli krew pełni istotną rolę w „Gwiezdných wojnach”, to tylko na sposób metaforyczny. Saga rodu Skywalkerów porządkowana jest więzami krwi, a rządy Imperium są „krwawe”. A jednak na ekranie w zasadzie krwi nie widzimy. Oczywiście można to tłumaczyć faktem, że zarówno miecze świetlne, jak i strzały z miota-

Przeżyjmy to jeszcze raz... I jeszcze raz

– czyli najprostsze streszczenie „Gwiezdných wojen”

TRYLOGIA PREQUELI

CZĘŚĆ I: MROczne WIDMO

(film 4, 1999 r.)

reżyseria: George Lucas

■ Galaktyką włada Republika, którą zwalczają Sithowie, wyznawcy Ciemnej Strony Mocy (fantastycznej siły, którą można władać). ■ Sithowie więżą królową planety Naboo, Padmé. ■ Ratuja ją Qui-Gon Jinn i jego uczeń Obi-Wan Kenobi z zakonurycerzy Jedi potrafiących kontrolować Moc. ■ Młody Anakin Skywalker pomaga rycerzom Jedi. ■ Okazuje się, że w chłopcu jest Moc. ■ Anakin wyrusza w podróż szkolić się na Jedi u Qui-Gon Jinn. ■ W bitwie Naboo pokonuje spiskowców. ■ Darth Maul (Sith) zabija Qui-

-Gona. ■ Obi-Wan zabija Darth Maula. ■ Kanclerzem Republiki zostaje senator Palpatine.

CZĘŚĆ II: ATAK KLONÓW

(film 5, 2002 r.)

reżyseria: George Lucas

■ Anakin Skywalker ratuje Padmé przed zamachem. ■ Zakończują się w sobie. ■ Obi-Wan wyrusza przejąć armię klonów-szturmowców dla Republiki. ■ Ludzie Pustyni więżą matkę Anakina. ■ Ów rusza jej na ratunek. ■ Matka Anakina ginie, a on morduje Ludzi Pustyni. ■ Okazuje się, że jest w nim Ciemna Strona Mocy. ■ Spiskowiec Dooku więzi Obi-Wana, Anakina i Padmé. ■ Ratuja ich Jedi. ■ Obi-Wan i Anakin walczą

z Dooku. ■ Anakin traci rękę. ■ Wybuch wojna z Republiką.

CZĘŚĆ III: ZEMSTA SITHÓW

(film 6, 2005 r.)

reżyseria: George Lucas

Sithowie pod wodzą Dooku więżą Palpatine’a. ■ Anakin i Obi-Wan wyruszają mu na ratunek. ■ Anakin zabija Dooku. ■ Padmé jest w ciąży. ■ Anakin boi się śmierci Padmé. ■ Anakin odkrywa, że Palpatine jest przywódcą Sithów. ■ Mistrz Jedi Windu walczy z Palpatine’em. ■ Windu traci rękę za sprawą Anakina. ■ Palpatine zabija Windu. ■ Palpatine przeciąga Anakina na Ciemną Stronę Mocy, bo ten wierzy, że dzięki temu uratuje Padmé. ■ Anakin

staje się Darth Vaderem i prawie zabija Padmé. ■ Obi-Wan walczy z Darth Vaderem i prawie go zabija, odcinając mu pozostałe kończyny. ■ Padmé umiera, rodząc bliźnięta: Leię i Luke’a Skywalkerów. ■ Palpatine tworzy Imperium.

STARA TRYLOGIA

CZĘŚĆ IV: NOWA NADZIEJA

(film 1, 1977 r.)

reżyseria: George Lucas

■ Galaktyką włada Imperium i zwalcza Rebelię. ■ Młody Luke Skywalker trafia na droida R2D2 skrywającego plany Gwiazdy Śmierci (kosmicznej superbroni Imperium). ■ Szturmowcy Imperium zabijają jego rodzinę. ■ Luke wyrusza w po-

czy natychmiast zasklepiają rany, nawet w przypadku odciętych kończyn. A jednak przy tylu wybuchach, przebiegach, przywaleniach, a nawet walkach na pięści całkowicie brak krwi rozumieć należy raczej jako kolejną zasadę estetyczną. Pewną rolę gra tu oczywiście lęk przed zamknięciem filmu dla młodszych widzów (a więc idealnych konsumentów wszelkich możliwych gadżetów). Ale wydaje się, że mamy do czynienia z czymś więcej – z *decorum*, które organizuje świat przedstawiony na podobnej zasadzie, jak w romansach rycerskich czy tragedii greckiej.

Analogicznie w „Gwiezdnym wojnach” nie występuje seks. Może dlatego, że byłby ryzykowny w świecie, w którym nigdy nie wiesz, kto w kolejnej części okaże się twoją siostrą lub bratem.

Choć seks i przemoc są we współczesnym kinie nadreprezentowane i zwykle służą raczej spłycaaniu niż pogłębianiu opowieści, to w przypadku „Gwiezdnego wojen”, zwłaszcza po czterdziestu latach od startu sagi, ich brak rodzi specyficzne spłylenie. Miłość w galaktyce jest platoniczna, pozbawiona żądzy i dramatycznych emocji. Gniew i nienawiść – destruktywne, lecz jakby pozbawione ciężaru.

Doskonale widać to na przykładzie sceny z „Ostatnich Jedi”, w której bohaterowie korzystają z pomocy pracujących

W świecie,
który nie uwzględnia
konsekwencji przemocy,
**bohaterowie nie mają
prawdziwych traum.**
Luke jako zgorzkniały
mistrz nie jest wiarygodny.

w stajniach dzieci. W każdym współczesnym filmie, niespełnany logiką powtórzeń ani specyficznym „starwarsowym” *decorum*, scena ta musiałaby się skończyć tragicznie: rebelianci wprawdzie uciekają, lecz niewinne dzieciaki ponoszą straszliwą karę za udzieloną im pomoc.

Kiedy tragedia nie boli

W uniwersum „Gwiezdnego wojen” bohaterowie nie ponoszą konsekwencji swoich działań, bo logika świata przedstawionego nie uwzględnia tego, co Amerykanie określają mianem *collateral damage*, czyli nieprzewidywanych, ubocznych strat wśród ludności cywilnej. To jeden z interesujących mechanizmów ekranowej psychologii, powtarzających się już od „Nowej nadziei”.

Ciotka i wuj Luke’a zginęli zamordowani przez Imperium. Nasz bohater jest nieco smutny, ale zaraz przechodzi nad tym do porządku dziennego – przynajmniej teraz nic go nie trzyma na Tatooine, z dala od upragnionych przygód i kolegów, którzy dawno wyemigrowali. Wkrótce potem umiera Obi Wan, którego Luke poznał jakąś dobę wcześniej – i chłopak jest zrozpaczony. Reakcja Lei na anihilowanie całej jej rodzinnej planety w ramach testu Gwiazdy Śmierci jest nieco powściągliwa, zważywszy skalę tragedii.

Nowa Trylogia także pod tym względem przebija poprzedniczkę. Tu z mapy galaktyki znikają całe układy planetarne i nikt nie uрони nawet łzy. Co innego, gdy umiera Han Solo... Świat przedstawiony został skonstruowany w ten sposób, że miliardy niewinnych ofiar, które ścielą się na drodze walki dobra ze złem, nie obchodzą ani bohaterów, ani – co istotniejsze – widzów.

Nieobecność tego poziomu, który można by nazwać psychologicznym realizmem przemocy, uniemożliwia dostrzeżenie, że poza ideologicznymi konfliktami jest jeszcze zwyczajne życie. Może więc „dobro” i „zło” to umowne etykiety, które mają znaczenie tylko z punktu widzenia bohaterów? Co komu po zwycięstwie światła nad ciemnością, jeżeli wcześniej →

droż z Obi-Wan Kenobim, starym Jedi. ■ Pomaga im pilot Han Solo. ■ Darth Vader więzi księżniczkę Leię, która ukryła plany w droidzie. ■ Vader przy pomocy Gwiazdy Śmierci niszczy jej rodzinną planetę. ■ Vader zabija Obi-Wana. ■ Luke ratuje Leię. ■ Luke i Rebelia niszczą Gwiazdę Śmierci.

CZĘŚĆ V: IMPERIUM

KONTRATAKUJE (film 2, 1980 r.)

reżyseria: Irvin Kershner

■ Darth Vader ma schwytać Luke’a Skywalkera. ■ Luke wyrusza w podróż ćwiczyć się na Jedi u Mistrza Yody ■ Vader więzi księżniczkę Leię i Hana Solo, którzy się w sobie zakochują. ■ Luke walczy z Vaderem, który chce go przeciągnąć na Ciemną Stronę Mocy i wyjawia, że jest jego ojcem. ■ Luke traci rękę. ■ Leia ratuje Luke’a.

CZĘŚĆ VI: POWRÓT JEDI

(film 3, 1983 r.)

reżyseria: Richard Marquand

■ Luke i Leia wyruszają na ratunek Hanowi Solo. ■ Mistrz Yoda umiera. ■ Duch Obi-Wan Kenobiego wyjawia Luke’owi, że Leia jest jego siostrą. ■ Imperium buduje drugą Gwiazdę Śmierci. ■ Imperator Palpatine chce przeciągnąć Luke’a na Ciemną Stronę Mocy. ■ Luke walczy z Vaderem i Imperatorem. ■ Vader ratuje Luke’a i zabija Imperatora. ■ Vader umiera. ■ Rebelia niszczy Gwiazdę Śmierci.

NOWA TRYLOGIA

CZĘŚĆ VII: PRZEBUDZENIE

MOCY (film 7, 2015 r.)

reżyseria: J.J. Abrams

Galaktykę zawładnęła organizacja Najwyższy Porządek i zwalcza Ruch Oporu. ■ Ru-

chem Oporu dowodzi Leia.

■ Młoda Rey trafia na droida BB-8 skrywającego plany miejsca pobytu Luke’a Skywalkera, starego Jedi. ■ Kylo Ren z Najwyższego Porządku więzi pilota Poe Damerona, który zdobył plany i ukrył je w droidzie. ■ Rey spotyka Hana Solo. ■ Kylo Ren z rozkazu Snoke’a, wodza Najwyższego Porządku, przy pomocy superbroni podobnej do Gwiazdy Śmierci niszczy planetę-stolicę Republiki. ■ Kylo Ren więzi Rey. ■ Okazuje się, że w dziewczynie jest Moc. ■ Han Solo wyrusza na pomoc Rey. ■ Han i Leia okazują się rodzicami Kylo Rena. ■ Ren zabija Hana Solo. ■ Rey walczy z Renem. ■ W bitwie Ruch Oporu pod wodzą Lei niszczy bazę Najwyższego Porządku. ■ Kylo Ren ucieka. ■ Rey odnajduje Luke’a Skywalkera.

CZĘŚĆ VIII: OSTATNI JEDI

(film 8, 2017 r.)

reżyseria: Rian Johnson

CZĘŚĆ IX PLANOWANA NA 2019 R.

reżyseria: J.J. Abrams

POZA TRYLOGIAMI

ŁOTR 1 (2016 r.)

reżyseria: Gareth Edwards

■ Młoda Jyn wyrusza z misją odnalezienia architekta Gwiazdy Śmierci, który jest jej ojcem. ■ Szturmowcy zabili jej matkę. ■ Ojciec zostawia Jyn informację o defekcie Gwiazdy Śmierci i o tym, gdzie są jej plany. ■ Za sabotaż ginie z ręki Imperium. ■ Jyn wyrusza do bazy Imperium zdobyć plany superbroni. ■ Pomagając jej Rebelianci i bojownik Cassian Andor. ■ Jyn i Cassian zakochują się w sobie. ■ Gwiazda Śmierci niszczy bazę. ■ Jyn ginie (ale nie traci ręki). MK

→ zostanie zamordowany, zgwałcony albo ograbiony ze wszystkiego, a jego planeta, królestwo bądź dzielnica zamienione w kupę ruin?

Piszę o tym także dlatego, że ten problem nie dotyczy odległej galaktyki, lecz świata, w którym przyszło nam żyć. Dokładnie ten sam mechanizm ignorowania realizmu przemocy chętnie wykorzystywała i wykorzystuje propaganda, odmalowująca świat jako konflikt „dobra” i „zła”, w którym nie liczą się ofiary, cierpienie czy warunki ludzkiego życia, lecz jedynie Najwyższa Wartość – raso- wa czystość, komunizm albo narodowa niepodległość.

Świat bez konsekwencji

Co ciekawe, najnowsza fala telewizyjnej i kinowej fantastyki opiera się na próbach przełamania tej narracji i opowiedzenia epickich historii z uwzględnieniem punktu widzenia tych, którzy wcale nie są epiccy – nie mają supermocy, nie walczą ze złem, chcą jedynie przeżyć kolejny dzień. Dzięki dostrzeżeniu zwykłych ludzi, scenarzyści i reżyserzy próbują budować też bardziej pogłębione portrety rycerzy, kosmicznych awanturników, a nawet bohaterów obdarzonych supermocami. Bo jak tu się cieszyć z pokonania Złego, jeżeli się przy tym zrównało z ziemią całe miasto, jeżeli w promieniu wielu kilometrów, mil czy parseków nie pozostał nikt, kto mógłby wiwatować na naszą cześć?

Nie jest to, w żadnym razie, uniwersalny przepis na sukces. Czasem rezultaty takiego psychologizowania są żenująco słabe, jak nowe filmy o Supermanie i Batmanie. Bez próby uwzględnienia realizmu przemocy i punktu widzenia ofiar cywilnych nie byłoby jednak „Gry o tron” czy nowych superbohaterskich seriali Netflixa, cieszących się uznaniem krytyki.

Całkowita nieobecność tej perspektywy, tak ważnej dla współczesnego kina epickiego, razi w Nowej Trylogii. W świecie nieuwzględniającym realnych konsekwencji przemocy bohaterowie nie mają prawdziwych traum. Luke jako zgorzkniały mistrz nie jest w ogóle wiarygodny. Raczej irytujący niczym rozkapryszona primabalerina z prowincjonalnego baletu. „Nie wystąpię dzisiaj. Bo nie”.

Porównajmy wątek rozgorzconego, emerytowanego mistrza chociażby z zesłorocznym „Loganem”, którego krytycy chwalili jako wiarygodne „szyłkowe kino superbohaterskie”. Wolverine,

bohater tamtego filmu, wciąż ma supermoce tak kiczowate jak zdolność błyskawicznej regeneracji czy pazury z najtwardszego metalu świata. Ale są one w zasadzie nieistotne w porównaniu z nekającymi go wyrzutami sumienia, poczuciem osamotnienia czy starością. Jego mentora – Profesora X – stopniowo obezwładniają nie bezlitośni wrogowie, lecz demencja.

W „Przebudzeniu Mocy” Rey wprost mówi, że myślała, iż Luke Skywalker i wszystkie opowieści o Jedi to mit. Czy to nie doskonała okazja, żeby powtórzenie zrewidowało i pogłębiło czterdziestoletni pierwowzór, dopasowując go do wymogów epoki? Luke mógłby wybrać samotność, gnębiony wizją miliardów ofiar, które przynosi konflikt jasnej i ciemnej strony mocy, a nie pod wpływem konfliktu z jednym uczniem. Na ekranie wreszcie moglibyśmy zobaczyć prawdziwą przemoc, a może nawet – seks. Może po takiej Nowej Trylogii bylibyśmy gotowi wrócić do oryginalnych filmów, by po czterdziestu latach zapłakać nad wujkiem Larsem, ciotką Beru i miliardami mieszkańców planety Alderaan? Może lepiej zrozumielibyśmy dramat Anakina, który porzuca zakonne życie Jedi, by ratować kobietę, którą kocha?

Moc powtórzeń ma jasną i ciemną stronę. Może działać dwojako – usypiając naszą czujność lub ją rozbudzając; rewidując i uzupełniając kanoniczne pierwowzory albo bezrefleksyjnie je powielając. Oryginalna Trylogia czerpała swą siłę w znacznej mierze właśnie z twórczych powtórek. George Lucas błyskotliwie przywoływał i przetwarzał rekwizyty, postaci i struktury fabularne z roman- sów rycerskich, mitów, baśni czy filmów Kurosawy.

Po „Ostatnich Jedi” odnoszę wrażenie, że w Nowej Trylogii moc powtórzeń słabnie. Ale jest przecież jeszcze nadzieja, którą niesie oczekiwanie na ostatnią jej odsłonę. W perspektywie trzeciego filmu wszystkie pozorne niedociągnięcia mogą się okazać genialnymi zabiegami narracyjnymi. Dzieci, które pomogły rebeliantom w tajni, mogą ponieść okrutną karę. W jakiś sposób mogą się ujawnić prawdziwe przyczyny samotności Luke’a. Zaś tajemniczy Snoke może zmartwychwstać.

Bo w galaktyce niekończących się sequele nic nie jest przesądzone raz na zawsze. To także ważny aspekt mocy powtórzeń. ©

MARCIN NAPIÓRKOWSKI



Rozmiar świata

ANITA PIOTROWSKA

Gdyby Alexander Payne pomniejszył swoje ego, z pewnością wyszłoby to na dobre jego najnowszemu filmowi.

ZGODA: SARKAZM POWYŻSZEGO ZDANIA jest raczej kiepskiej jakości, ale „Pomniejszenie” zalicza się w kinie do tych nieszczęsnych przypadków, kiedy wychodząc od świetnego pomysłu i nadmuchi- jąc zbyt ambitnie, wytraca się cały po- tencjał.

Sam pomysł ze zmniejszaniem ludzi jest stary jak sama ludzkość. W ludowych przekazach różnych kultur roi się od roz-



MATERIAŁY PRASOWE UIP

Udo Kier, Matt Damon i Christoph Waltz w „Pomniejszeniu”

maitych Tomciów Paluchów, a przygody Guliwera czy Alicji w Krainie Czarów dopisały do tego motywu rozmaite konteksty symboliczne. Kino, bazując na efektach specjalnych, chętnie wydobywa z pomniejszania jego komiczny charakter, by przywołać tylko filmy w rodzaju „Kochanie, zmniejszyłem dzieciaki” czy rodzimy „Kingsajz”. Ten ostatni tytuł okazał się zresztą czymś więcej niż pikantno-zartobliwą powiastką *fantasy*: kiedy trafił na ekrany w 1988 r., doszukiwano się w nim grubych politycznych aluzji. Payne również celuje w dystopię krytyczną wobec dnia dzisiejszego. Oto w świecie niedalekiej przyszłości pojawia się technologia pozwalająca ludziom zmniejszyć się do rozmiarów dwunastocentymetrowej lalki.

Z początku twórcy eksperymentu podkreślają przede wszystkim jego dobroczynny wpływ na środowisko naturalne – trzydziestu sześciu pomniejszonych osobników w ciągu czterech lat gromadzi odpady, które zmieszczą się w jednym worku. Jednak marzenia o zrównoważonym rozwoju planety okazują się przykrywką dla pragnień znacznie bardziej egoistycznych. Kiedy skromny fizjoterapeuta Paul z Omahy

(gra go przekonująco nijaki Matt Damon) decyduje się wraz z żoną poddać zabiegowi miniaturyzacji, myśli przede wszystkim o podniesieniu standardu życia. Kolonia zwana Leisurelandem, przypominająca podrasowaną wizualizację z katalogu firmy deweloperskiej, to spełniony sen o beztroscie i luksusie. I tylko spotkany w knajpie pijak zapyta Paula całkiem trzeźwo, jakie mogą być prawdziwe koszty zamieszkiwania w ziemskim raju.

Twórca „Spadkobierców” i „Nebraski” chciałby być w swym najnowszym filmie takim właśnie filozofującym pijakiem, który tonem trochę zawadiackim, a trochę namaszczonego pyta o konsekwencje inżynierii społecznej. Ale także o zachłyśnięcie konsumpcją, granice biowładzy, kłamstwo utopii, współczesne migracje i wreszcie – o współczesną definicję szczęścia. Bo choć powstawaniu nowego człowieka towarzyszy zza kadru figlarna muzyka, od początku kryje się w tym wszystkim nuta autentycznej grozy.

Klinika specjalizująca się w pomniejszaniu jako żywo przypomina farmę ludzi. Procedury przejścia w inny „rozmiar” rzeczywistości mają w sobie coś z podstęp-

nych turbokapitalistycznych socjotechnik, zaś idealny świat Leisurelandu szybko odsłania przed bohaterem swój ciemny rewers, stając się karykaturą dobrze znanego nam świata. Okazuje się, że pomniejszenie może być równie dobrze wywabieniem, co i formą przemocy.

Niestety Payne konstruuje swoje diagnozy chętniej sięgając po siekierkę niż skalpel i nawet przejście bohatera ze sterylnej bańki na ciemne zaplecza Leisurelandu nie usprawiedliwia takiego wyboru narzędzi. Druga połowa filmu, któremu również przydałoby się „pomniejszenie” przynajmniej o 20 minut, wprowadza do akcji nowe postacie, m.in. ekscentrycznego sąsiada Dusana (w tej roli parodiujący samego siebie Christoph Waltz) czy okaleczoną wietnamską dysydentkę (Hong Chau), a wraz z nimi nie najlepiej pomyślane zwroty akcji i gatunkowe przewrotki. Apokaliptyczna przypowieść o końcu rodzaju ludzkiego zamienia się w tępą satyrę na zachodnią cywilizację, a futurystyczny *body horror* w mdły melodramat. Dowiadujemy się też, że jedyny dla ludzkości ratunek znajduje się bardzo daleko od Ameryki, schowany głęboko gdzieś pośród norweskich fiordów, choć tak naprawdę – jak głosi Payne z narastającym patosem – tylko miłość, czyli poświęcenie siebie dla drugiego człowieka, jest w stanie ocalić świat.

W „Pomniejszeniu” pytania o przyszłość ludzkości wybrzmiewają więc cokolwiek głucho. Zawiódł Payne przede wszystkim jako współczesny, mnożąc na ekranie już dawno oswojone przestrogi, kosztem swojej słynnej ironii. Jej przebyski widać chociażby w scenie przebudzenia Paula po operacji czy podpisywania przez ludzką miniaturkę pełnowymiarowych papierów rozwodowych. Ale reżyser przeprowadza swój wywód również za cenę zwykłej wiarygodności, której potrzebuje przecież każdy, nawet najbardziej umowny czy najbardziej utopijny świat przedstawiony, by stać się na moment naszym światem.

Film, ze względu na ważkość podejmowanych problemów, mógł odegrać podobną rolę co dwie dekady temu „Truman Show”. Bo kto powiedział, że mistrzowie filmowej kameralistyki nie sprawdzają się w wysokobudżetowych hybrydach gatunkowych będących wielką metaforą kondycji ludzkiej? Jeśli jednak nakręcone w 2004 r. „Bezdroża” można było nazwać wielkim małym filmem, w tym przypadku należałoby przestawić kolejność przymiotników.

©

POMNIEJSZENIE (*Downsizing*)– reż. Alexander Payne. Prod. USA 2017.
Dystryb. UIP. W kinach od 12 stycznia.

WARTO ZOBACZYĆ W TV [13 – 19 I]

1. Dalida. Skazana na miłość



Biograficzny, reż. Lisa Azuelos, Francja 2016, Canal+, 13 I, 21.00

17 stycznia obchodziłaby 85. urodziny. O niewielu gwiazdach estrady można powiedzieć to, co o niej – była ikoną. I nawet jeśli film o Dalidzie nie jest arcydziełem kina biograficznego, a miejscami bliżej mu do melodramatu, warto wejść w klimat karnawału z piosenkami francuskiej diwy.

2. Pokot



Dramat, reż. Agnieszka Holland, Kasia Adamik, Polska / Niemcy / Czechy / Szwecja / Słowacja 2017, HBO, 14 I, 20.10, 15 I, 13.40, 17 I, 20.10, 18 I, 12.05

Mówi się, że adaptacja powieści Olgi Tokarczuk, dokonana zresztą wspólnie z pisarką, wyprzedziła polską rzeczywistość. Historia „ekoterrorystki” walczącej z prowincjonalnym układem miała swoją premierę na początku roku, który przyniósł niestawne „Lex Szyszko” oraz dyskusje wokół politycznego lobby myśliwych i molestowania kobiet.

3. Kobiety i XX wiek



Komediodramat, reż. Mike Mills, USA 2016, Cinemax, 14 I, 15 I, 11.00, 16 I, 20.00, 17 I, 9.35, 19 I, 21.55

Przed nami jedno z większych przeoczeń polskich dystrybutorów kinowych. Jest rok 1979. W jaki sposób samotna matka dorastającego chłopca radzi sobie z przemianami obyczajowymi, które z hukiem przetaczają się przez USA? Film oparty na biografii reżysera to przede wszystkim świetne aktorskie role: Annette Bening, Elle Fanning i Greta Gerwig.

4. Ukraińscy szeryfowie



Dokumentalny, reż. Roman Bondarczuk, Niemcy / Ukraina / Łotwa 2015, TVP Kultura, 15 I, 20.20

Okraszony gogolowskim humorem dokument zabiera nas na południe Ukrainy w przededniu rewolucji na Majdanie. Bohaterami jest dwóch malowniczych „szeryfów”, zaprowadzających w okolicy własny porządek. Kiedy w Kijowie historia nabiera gwałtownego przyspieszenia, mieszkańcy wioski Stara Zburiewka muszą opowiedzieć się po którejś ze stron politycznego konfliktu.

Lektor:

Jest później, niż myślicie



• Marcin Świetlicki
**POLSKA (WIĄZANKA
PIEŚNI PATRIOTYCZNYCH)**

Wycinanki polskie Alicja Biała.
Wydawnictwo Wolno,
Lusowo 2018, ss. 100.

Mocny akord na początek obchodów stulecia odzyskania niepodległości – stustronicowa, bo jakże by z takiej okazji inaczej, książka jednego z najwybitniejszych poetów polskich.

„Z BOJAŹNIĄ I DRZENIEM PROSZĘ SIĘGAĆ po tę publikację, bowiem już nigdy nie będzie tak, jak dawniej” – ostrzega wydawca. Czarna, sztywna okładka ze sztucznej skóry, tłoczone złote litery – „Wiązanka” wygląda trochę jak śpiewnik kościelny, trochę jak książeczka do (narodowego) nabożeństwa. Otworzywszy ją, znajdziemy nawet święty obrazek, kolaż z wizerunków Madonny z Dzieciątkiem, a na jego odwrocie przesłanie od duszpasterza. „Świetlicki – niczym wielki profeta – miesza w naszej ojczystej kadzielnicy. Kadzi nadziei i woła: »Polska będzie Polską« – pisze ks. Andrzej Luter. – Ten moment nadejdzie. Świetlicki zaprasza nas do oczekiwania na narodową paruzję”.

No dobrze, więc zgrywa? Otóż wcale, raczej odpowiedź na narodową histerię, która pewnie będzie się z każdym miesiącem nasilać, i próba odzyskania zawłaszczanego przez innych pola. W tym prowokacyjnym opakowaniu otrzymujemy bowiem autorski wybór wierszy z blisko 40 lat, który dowodzi, że Świetlicki JEST poetą jak niewielu innych opisującym współczesną Polskę, kłócącym się z nią, obserwującym to, co się w niej dzieje, ze swojego świadomości wybranego stanu półwygnania.

Słynny wiersz „Polska”, wiersz-manifest, który zamykał kiedyś debiutanckie „Zimne kraje”, ma tutaj

ciąg dalszy w dziewięciu odcinkach, a „Polska dziesięć” brzmi szczególnie niepokojąco: „Albowiem trzeba się bać. Twarz ma / przeciętą Wisłą i chlaśniętą Odrą. / Twarz ma w odwiecznym grymasie / jak u rodzącej kamień. Jak u / piszącej esemesa w nieznanym języku. // I trzeba się bać. Teraz miłość jest bezsilna, / jest tylko w deklaracjach / oraz deklamacjach. Wszelkie poranne złudzenia / przemieniają się w gorzki wieczór. Jest / później niż myślicie”.

Wspomniałem o obrazku – nie do końca on święty, bo w gąszczu Madonn ukrył się Tadeusz Rydzik. A w ogóle „wycinanki polskie” Alicji Białej (będzie wystawa!) studiować można długo i w tym narodowym imaginariu wciąż się znajduje coś nowego. Nawet samego Świetlickiego (melancholijnie spogląda z okna autobusu, w sąsiednim oknie państwo Kwaśniewscy), nawet wydawcę, Jarosława Borowca (stoi w kolejce do Supersamu/MięsaWędlin/ModyPolskiej wraz z Lajkonikiem, kobietami w strojach ludowych, Czterdziestolatkiem, Starszymi Panami, Klossem i tłumem innych). Czytajcie więc i oglądajcie. A na koniec jeszcze jeden cytat: „To ten sam wiatr, który poruszał stronicami Księgi, / przywiał w tej chwili Hostię w ręce Prezydenta. // To te same, uparcie te same trupięgi, to ten sam supermarket i to ten sam cmentarz”.

©



Co wtorek o godz. 14.30

w Radio Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika”.

Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM |

Krynica Zdrój – 102,1 FM | Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM |

Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM | Gorlice – 97,4 FM

www.radiokrakow.pl

PAWEŁ

Bravo:

Kłeska materii



14 MILIARDÓW. ZA TYLE DOLARÓW GIGANT handlu internetowego Amazon kupił w zeszłym roku amerykańską sieć sklepów Whole Foods, z żywnością biologiczną, ekologiczną, zdrową i moralnie słuszną. I natychmiast zaczął ją zmieniać, wstawiając do ponad 400 placówek ułożonych w najlepszych dzielnicach i suburbiach swoje produkty elektroniczne i punkty odbioru wszelakich towarów. Ale zachował przy tym jednak podstawowy charakter tych miejsc: nadal w ładnych wnętrzach, zaprojektowanych tak, by pobudzić najgłębiej zaszyte pokusy związane z potrzebą bezpieczeństwa i zdrowia, dominują produkty spożywcze wszelkich kategorii.

Czyżby właśnie jedzenie stało się granicą tego, co możemy jeszcze w świecie codzienności zwirtualizować? Czy zakup indyka, marchewek i batatów na kolację okaże się wreszcie tym doświadczeniem, wobec którego poddaje się nawet szef Amazona Jeff Bezos? W przeciwieństwie do prezydenta Trumpa, który dopiero co na Twitterze ogłosił siebie mianem „stabilnego geniusza” (w odpowiedzi na zarzuty, iż jest rozchwytanym emocjonalnie durniem), Bezos nie praw sobie komplementów. Za to działa jak geniusz i jest znany z tego, że wyprzedza konkurencję o krok w wymyślaniu, co by tu jeszcze wcisnąć, panowie.

Nie, to nie jest tak, że Amazon dopiero odkrył, iż ludzie muszą coś zjeść. Od jakiegoś czasu sprzedaje wysyłkowo żywność w ograniczonym zakresie, w tym świeże warzywa. Banał, powiecie, nawet na dumnych peryferiach Zachodu coraz częściej sięgamy podstawowe zakupy przez sieć. W całej tej operacji z przejściem sieci fizycznych sklepów chodzi nie o to, żeby uznać, iż w pewnych sprawach ludzie jednak pozostaną tacy jak zawsze, związani z bezpośrednim doświadczaniem materii – bo niczego takiego jak materia już dawno nie ma i nikt poza nielicznymi maniakami nie odczuwa głębszej łączności ze światem poprzez otrzepywanie z piachu jędrnej marchewki czy przecinanie nożem włóknistego mięśnia udźca. Nie, tu chodzi o to, by jeszcze mocniej otoczyć konsumenta siecią nowego rodzaju doświadczeń, w których nie czyni wielkiej różnicy to, czy danego dnia kupuje on coś nie ruszając się z kanapy, czy akurat zwałół się z niej i zjawił w miejscu przypominającym tradycyjny sklep przy głównej ulicy. Doświadczeń, których zasadniczo jedynym motorem egzystencjalnym jest gnuśność, a jedyną zasadą natychmiastowa gratyfikacja.

Tak jak niektórzy charyzmatyczni politycy potrafią przez dłuższy czas odgadywać, jakie konkretnie emocje stanowią skuteczny klucz do elektoratu, tak ludzie odpowiedzialni za najbardziej udane przedsięwzięcia handlu internetowego zrozumieli, że jeśli uda im się osiodłać naszą gnuśność, to zajądą na niej bardzo daleko: aż do punktu, gdy bogatsza i syta część gatunku ludzkiego po prostu wymrze, bo uzna, że nawet oddychanie jest męczące. Zanim jednak wymrze, można ją w całości zaprzuć do programu lojalnościowego (w Amazonie zwie się on Prime i wedle niektórych statystyk korzysta zeń nawet połowa gospodarstw domowych

w USA), który nie tylko wiąże człowieka ze sklepem, ale pozwala sklepowi programować to, co w danym momencie człowiek odczuje jako potrzebne i dla siebie korzystne.

W tym szatańskim planie fizyczne placówki handlowe będą tylko odnogą wirtualnej rozległej maszyny pompującej nieustanny strumień przedmiotów i usług. Przekraczający ich progi ludzie będą jak konsumenci zombie, całkowicie ulepiani przez interakcje z aplikacją znającą ich myśli, uczynki i zaniechania, bardziej zależni w swoich wyborach od tego, co wyświetla się im na ekranie, niż od banalnej pokusy, jaką niosą pomarańcze ułożone w apetyczną pryzmę na prawo od wejścia. W tym sensie strawa, której niestety ciągle musimy dostarczać żołądkowi, stanie się już wyłącznie usługą, której materialny substrat – czyli suma zmysłowych wrażeń i fizjologicznych reakcji – nie ma znaczenia, jest wtórny wobec „doświadczenia”.

Biedna materia próbuje się jeszcze czasem bronić – w przypadku żywności jej ostateczną bronią w walce o szacunek jest proces psucia, któremu zawsze łatwo ulegała. Spleśniały jogurt przypomina: pamiętaj, że lodówka nie jest maszyną wiecznej młodości, czas w niej też biegnie, tylko nieco wolniej. Amazon i na to ma sposób – zamierza masowo wdrożyć testowaną dotąd tylko na użytek wojska nową technologię utrwalania gotowych dań z pomocą promieni mikrofalowych znaną pod akronimem MATS. Ponoć umożliwiała ona zachowanie np. łazanii z mięsem w niemal dziewięćdziesięciu procentach świeżości poza lodówką nawet przez rok.

Paczkowane dania będą czekać na półkach do momentu, aż sztuczna inteligencja zdecyduje, że właśnie na nie przyszedł nam apetyt.

© P



PAWEŁ BRAVO / PIXABAY.COM

Próbowałem uczciwie wgrzyźć się w to, co fachowa prasa pisze o „trendach” jedzeniowych na nowy rok – stąd ten ponury tekst. Dla odreagowania coś bardzo materialnego, ciepłego i prostego, a zarazem wymagającego inicjatywy. Słone ciasto z mokrym nadzieniem. Roztrzepujemy 3 jajka ze 150 ml mleka, dolewamy 60 ml oliwy, solimy, dodajemy stopniowo 200 g białej maki, ucieramy masę, dodajemy garść tartego parmezanu i ok. 6-7 g proszku do pieczenia, a na koniec skórkę startą z 1 cytryny. Wykładamy formę o ok. 22-23 cm średnicy papierem do pieczenia, wylewamy ok. połowy ciasta. Na to wykładamy farsz: ja ostatnio dałem trzy drobno posiekane pory, które uduśiłem krótko na maśle z odrobiną mleka i zmieszałem z podsmażonymi paskami boczku. Zalewamy wszystko resztą ciasta, rozsmarowujemy je tak, żeby przykryło farsz. Pieczemy ok. pół godziny w 180 stopniach, aż wierzch się ozłoci. Do tego rodzaju ciasta nadają się przeróżne dość mokre nadzienia – np. resztką wczorajszego ratatouille. A może sami podsuniecie mi inne? Czekam na propozycje.

NYŻA NA SPRZEDAŻ

Dwa pokoje z kuchnią są do kupienia
za 700 tysięcy. Położone w środku świata,
w środku Warszawy Konwickiego.
50 metrów kwadratowych kosmosu.

MAREK BIEŃCZYK

PAMIĘTAM, W SIERPNIU 1989 R. ZAJECHALIŚMY INSTYTUTOWĄ WYCIECZKĄ do Nowej Wilejki. Byli wśród nas czytelnicy Tadeusza Konwickiego, byli i starsi, co o Konwickim wiele już napisali. Dzień był gorący, nadchodził ciepły wieczór, bezwietrzny, miękki, przyjazny, narkotyczny od zapachu kwiatów. Kilku szczupłych wyrostków taplało się rozkosznie w rzece, w Wilejce.

Scena zwyczajna, lecz tego wieczoru stężonego niczym likier wydawała się inscenizacją. Najpierw wiecznego porządku rzeczy – ciepło, lato, woda, młodzieńcy, litewscy czy polscy, ale mogliby być i greccy czy włoscy, jakkolwiek, u zarania życia ciesząc się własnym tu byciem, beztroską godziną. Po chwili porządku ukonkretnionego: czar miejsca był tak wielki, że nie sposób go nie było połączyć z tym, co znane i bliskie. „Jak u Konwickiego”, mówiliśmy, „jesteśmy u Konwickiego”. Nigdy indziej nie przyszło mi odczuć takiej gęstości miejsca przez medium czyjeś dawnej obecności. Krople potu na skórze – skwar ciągle trzymał – zagęszczały wspólne doświadczenie, jego i nasze, wileńska młodość Konwickiego, tak przez niego umietyczniona, wylegała na ciało, intymnie je oblepiała.

Dom Wiktora Hugo, dom Goethego, dom Gałczyńskiego i tak dalej pozostawiają obojętnymi. Nie lubię z zasady zwiedzać pisarskich pomieszczeń i ogrodów, w tych tężniach przemijania (obok stołu i krzesła zwiedza się głównie puste powietrze) nic się już nie dzieje, nic nie promieniuje, a *exegi monumentum* pachnie tu stęchlizną.

Są wyjątki, na przykład pokój Jana Jakuba Rousseau w wiejskiej posiadłości na Wyspie Świętego Piotra na jeziorze Bieline. Jak wszędzie pryzca, stół, krzesło, szafka. Ale coś jeszcze: dziura w podłodze. Rodzaj zapadni czy skrytki, do której Jan Jakub schodził, by schronić się, gdy ktoś do posiadłości zajeżdżał; wiadomo, że cierpiał na manię prześladowczą. Ta skrytka jakoś trwa bardziej, do dzisiaj, i ożywia miejsce. Ale też wzmacnia go najbliższa, sielankowa okolica, tak współgrająca z Roussowską miłością do idylli. Pasące się kozłeta, malutkie i pluszowe – nic tylko wziąć je na rękę i głaskać. Obok kwiaty, zioła i w powietrzu ich perfumy. W ziołach Rousseau



CHRIS NIEDENTHAL / FORUM

był mocny, na poziomie Herbacpolu co najmniej. To wszystko czyniło z tego miejsca żywy krąg, z którego nie chciało się wychodzić, było się „u Jana Jakuba”.

Tak było – tak jest – z przestrzenią Konwickiego. Wtedy, tam nad Wilejką, i cały czas, tutaj, w Warszawie. Byliśmy – może nawet jeszcze bywamy – „u Konwickiego”.

Ból fantomowy

Nigdy dość mówić o wpływie topografii na literaturę. Jest Warszawa Prusa, jest Warszawa Białoszewskiego i Tyrmanda, i jest Warszawa Konwickiego. To geopolitarski kwartet miasta. Od dawna nie przybywa Warszawie nowych widm; oni nasączały miasto sobą, dali jego dzielnicom i ulicom symboliczną nadwyżkę, czyli dobre papiery na istnienie.

Kiedy przez lata na Nowym Świecie spotykało się Konwickiego z Guciem Holoubkiem idących zapewne z Czytelnika bądź do Czytelnika, zanurzonych w gorączkowej rozmowie,



Tadeusz Konwicki ze swoim kotem Iwanem na balkonie mieszkania przy ul. Górskiego, 1982 r.

dostawało się samemu glejt na bycie tutaj; byli żywymi paginami miasta, ich obecność nazywała i utwierdzała tę – tak na oko raczej okropną – warszawską przestrzeń, nadawała jej nie tylko szwung, lecz także prawomocność. Oni przepastnie ją zamieszkali, to znaczy byli w niej, a ona była w nich; doświadczało się uczucia przystawalności ludzi z miastem. Dzięki temu Warszawę lepiej się przyswajało, lepiej się w nią wrastało.

Słynna droga Konwickiego z Czytelnika na Wiejskiej przez Aleje Ujazdowskie ze SPATIF-em do ulicy Górskiego na tyłach Nowego Świata, niekiedy za Świętokrzyską, aż po Ogród Saski, jest złotym traktem Warszawy powojennej; traktem kultury polskiej. Dziś trakt jest już nieczynny; miasto się przepoczwarza, kultura szuka swoich przybytków na lewo i prawo, wędruje, bo czasy nie sprzyjają trwałym zakorzenieniom.

Trakt żył z otwartą perspektywą na Pałac Kultury, będący drugim architektonicznym bohaterem prozy Konwickiego. Kiedy światło umysły ministerialne i poselskie wskrzesiły niedawno

ideę zburzenia Pałacu, pomyślałem najpierw o nim, Konwickim. Że głupty chca mu zrobić krzywdę, unicestwić fragmenty jego książek, zasypać je ramionami buldożerów, zniszczyć nimi należący do dziejów polskiej literatury widok na Pałac z balkonu jego mieszkania, widok, który tak mocno grał w „Nieвинnych czarodziejach” Wajdy. Bo też głupty nie wiedzą, czym jest konkretnie życie codzienne; sądzą, że burząc, można zahukać przeszłość, wyczyścić ją, z dziedzictwa narodowego uczynić narodowe dziewictwo. Dedykuję im sławetny napis na koszulce siostry zakonnej z „Młodego papieża” Sorrentino: „*I am a virgin. But it is an old T-shirt*”.

Konwicki i Białoszewski wykradli Warszawę władzy. Konwicki zabrał Biuro Politycznemu Pałac Kultury, przerobił go na własny. Nadal straszący, porażający, lecz własny. Rozwalaający się i odrastający na nowo, wrogi i oswojony zarazem, potworny, lecz niekiedy jakoś ciepły i przyjazny. Dzisiejsze gdybanie na Pałac w ramach ideowego wyścigu zbrojeń jest →



Zdjęcia mieszkania Tadeusza Konwickiego, udostępnione na stronie agencji pośrednictwa.

→ pomyślem na czystą przemoc, jest zamachem na naszą, Konwickiego i jego czytelników, warszawiaków w ogóle, prywatność, na prywatną własność należącą do naszego dzieciństwa, dojrzałości, niekiedy już starości. Pałac kiedyś i tak zniknie, lecz niech to będzie skutkiem nieprzewidywalnej *psyche* miasta, jego własnej logiki trwania i przeobrażania się, a nie konkursu wniebogłosy na najlepszą dekomunizację.

Konwicki oblekał się w Warszawę jak w nowe ciało; nie bardzo mu ono pasowało, zrywał się na nie nieraz, swędziało go, był w końcu, w odróżnieniu od pozostałych kwartecistów, późnym przyjezdnym. Narzekał na nią jak Mickiewicz na Lozanę czy Paryż, miasta pozbawione krajobrazów, na których, jak na Litwie, „zaraz można położyć się i zasnąć”.

Powileński fantomowy ból sączył swe słodkie jady, Warszawa Konwickiego od nich puchła i straszyla, szczepienie Wilna na niej odbywało się z różnym powodzeniem i nie zawsze z dobrym literackim skutkiem, lecz ostatecznie ta wileńska Warszawa stała się – mieszkaniem na Górskiego i miało na to wielki wpływ – jakoś warszawska, a dziś jest już warszawianistyczna, należąca do istoty miasta.

Rozpaczliwa enklawa

Mieszkanie Konwickiego na ulicy Górskiego, do której dochodzi się przez bramy Nowego Świata, gdyby od tej strony tam zaglądać – lecz można też iść od Kubusia Puchatka, Wareckiej czy od Szpitalnej – stało się samym centrum jego świata. Z czasem coraz istotniejszym; w „Kalendarzu i klepsydrze”, w „Nowym Świecie i okolicach”, we fragmentach innych pism przemienia się w jego prywatną *axis mundi*, mityczny środek, z którego Konwicki rozgląda się wokół, wyziera na zewnątrz. Rysuje i zamieszcza w tej drugiej książce wspomniane widoki z balkonu: to jego, można by rzec, prywatny „papieski” balkon, z którego przemawia do tłumu niewidzialnych czytelników, spogląda w wileńską przeszłość i w apokaliptyczną przyszłość.

Niekiedy miewa napady bezdennej smuty, napisze o życiu na ziemi: „trochę robactwa na oślizłym kartoflu lecącym przez mroźny, czarny kosmos”. Tym bardziej okopuje się w swym mieszkaniu, czyni zeń mikrokosmos, nieświętą świątynię, w której odprawia swe pisarskie gusła w towarzystwie kota Iwana, mądrego jak egipskie bóstwo. Opowiada więc w *lędziennikach* o swojej „nyży”, norze, żrenicy jaskini, w której się zagrzebał i z której płyną nocą słowa. Niepewne, melancholijne, niepretendujące do twardych mądrości, świadome cieniów ledwie, które rzucają na ściany nyży, lecz wciąż napę-

dzane platońską tęsknotą za prawdami pierwszymi, niepodważalnymi.

Skoro Warszawa jest środkiem Europy, nyża jest środkiem środka; skoro środek wszechrzeczy nie zna czasu, to i tu czas nie płynie. Na dobre i na złe; z Konwickim jesteśmy w Warszawie wyrwanej, pół idiotycznie, pół zawadiacko, ze światowego trwania, w enklawie rozpaczliwej i cwanej zarazem, wyjącej do księżycy, lecz niezrezygnującej z sensu i z prób samorozumienia.

Mało który pisarz napisał tyle książek w jednym miejscu, na tych samych przez sześćdziesiąt lat pięćdziesięciu metrach kwadratowych, typowych peerelowskich dwóch pokojach z kuchnią. Jeśli można osiąść jakieś miasto przez zasiedzenie, to to jest ten przypadek. Mieszkanie Konwickiego zostało włożone w dzieje polskiej literatury, tak jak w dzieje literatury francuskiej słynny pokój Prousta obity korkiem. Nie porównuję tu obu twórczości rzecz jasna, tak bardzo zapatrzonych w minione, lecz sposób, by tak rzec, zasiedlenia pisarstwa, w obu przypadkach tak mocno, somatycznie wręcz związanego z jednym zamkniętym miejscem wydłubanym z wielkomiejskiej przestrzeni.

Znałem mieszkanie, choć nigdy w nim nie byłem. Bez większej przesady mogę wręcz powiedzieć, że od czasu liceum mi towarzyszyło. Moją licealną wychowawczyni i polonistkę, pani Alina Sawicka, mieszkała w tej samej klatce, dwa piętra wyżej, jeśli tylko pamięć mnie nie zawodzi. Nieraz o Konwickim na lekcjach wspominała. Przyjaźnili się; do ostatnich lat życia spotykali się po dzienniku, później wiadomościach wieczornych, omówić nowości dnia.

Gdy zachodziło się do Profesor, wiedziało się, że Konwicki tu jest, parę schodków w dół. Gdy szło się Nowym Światem i okolicami, myślało się – był w końcu ulubionym pisarzem „współczesnym” – o jego bliskiej obecności, tu obok, na Górskiego, w nyży, w tej jego psiej budzie czy lisiej norze. Nawet dzisiaj, gdy zdarza mi się tam przechodzić, poczucie to powraca, niewinna mania czy automatyzm powtórzenia.

Teraz, gdy jego mieszkanie wystawiono na sprzedaż i znowu się o nim mówi, umiem chyba sprecyzować sposób istnienia tego miejsca w pamięci. Jest proustowski, czyli nietęskliwy; jest zmysłowy, a nie konceptualny; jest mimowolny, a nie uświadomiony.

Proustowska pamięć mimowolna, przywołująca zmysłowe przeszłe zdarzenia, pracuje bez obrazów figuratywnych w tradycyjnym sensie; wspomnienia nie mają obrazu ani formy, lecz są jak zapach niewidoczne, bezkształtne. Czujemy

je, tak jak rybak czuje po ciężarze w sieci, że ryba wzięła, choć nie wie, co się w sieci znalazło. Pamięć taka otwiera się nie na wspomnienia wysłuchanych rozmów, nie na streszczenia wypowiedzianych niegdyś słów, nie na widoki konkretnych osób, lecz na zmysłowe promieniowania bijące z głębi czasów. Takie reminiscencje są jak podmuch wiatru na twarz; z przeszłości wznosi się ku nam (tak jak wznosi się wiatr) nieokreślona czyjaś obecność.

W ten sposób odczuwam obecność Konwickiego w Warszawie. Nic w tym doznaniu muzealnego, żałobnie odrąbionego; raczej podmuchy wiatru przynoszące odległe i nagle ożywione smaki, zapachy, drżenia; raczej dotyk przestrzeni, geograficzna czułość, niż pomnikowa pamięć o zawartości jego książek. Odczucie to należy do *real feeling* miasta. Miasta mają swoją oficjalną pogodę, oficjalny stan rzeczy, oficjalną przestrzeń, wszystko to, co faktycznie jest i czemu nie można zaprzeczyć. Ale jest też w nim „temperatura odczuwalna”, to, co jest uchwytnie na własnej skórze i co jest realniejsze od faktów.

Intymność w bonusie

Agencja dość głośno wystawiająca na sprzedaż mieszkanie Konwickiego zachowała się jak marszand i postawiła na kartę „kulturalną”; ewidentnie jej ogłoszenie skierowane jest w domyśle, przez mrugnięcie okiem, nie tylko do snobów, lecz także do jakiegosć mecenasa kultury czy do ministerstwa. Konwicki przedstawiony zostaje implicytnie jako wspólne dobro, wszystkim bliskie, nasz „pan Tadeusz”. W tekście reklamującym mieszkanie, a towarzyszącym sześciu fotografiom, pojawiają się odniesienia czytelne dla „znawców” kultury, mowa jest na przykład o „słynnym balkonie, na którym Chris Niedenthal zrobił panu Tadeuszowi słynne zdjęcie z kotem”. Fotografie przedstawiają wnętrza, jakich w „normalnych” ogłoszeniach by nie ujawniono, gdyż wyglądałyby na niemiłosiernie zagracone, lecz tutaj pokazane są jako szczególna atrakcja; im większy bałagan, im więcej śladów przeszłości, tym lepiej. Dostrzec można nawet nyżę, dotąd znaną z rysunków autora i jednego czy dwóch dokumentów jemu poświęconych.

Fotografie robią dziwne wrażenie. Ukazują przestrzeń, jak się wydaje, w nie tak dużym stopniu dotkniętą, wstrząśniętą po śmierci Konwickiego. Naruszają intymność miejsca i człowieka, wywołują koszmarnie wręcz doznanie *vanitas vanitatum*, grozę przemijania, lecz po chwili, gdy się już z nimi oswoimy, miejsce „obiektywizuje się”, zamienia w pracownię artysty, jaką dałoby się umieścić w długim rzędzie przedstawień literackich i ikonograficznych.

Można się zżymać na rękę rynku, która handluje naszymi małymi świętościami, lecz dostrzec również, że nazwisko Konwickiego ma stać się magnesem, niczym nazwisko nowoczesnego twórcy, takiego Jeffa Koonsa, którego wartość dzieł określa nie sama ich jakość, lecz marka ustalona przez marszandów.

Gdyby nie autentyczność ogłoszenia i groźba szybkiej transakcji, można by nawet pomyśleć, że chodzi tu o performance. Pokazuje się *atelier de l'artiste* z sugestią, że jest do kupienia. Podrabia się ogłoszenie po to, by pokazać przez prowokacyjną falsyfikację niesprzedawalną wyjątkowość miejsca, jego skromne, wszak trwałe *sacrum*, jego godny podziwu nieporządek. Inscenizuje się sprzedaż, by postawić parę zasadniczych pytań o dziedzictwo materialne, o sposoby aranżacji małych, lecz znaczących przeszłości (małych niczym małe ojczyzny).

Tak dobrze jednak nie ma, po kolejnej dłuższej chwili wpatrywania się w zdjęcia powraca wrażenie, że jest to po prostu mieszkanie po śmierci człowieka, jeszcze zawieszane między pamięć-

cią a zapomnieniem, lecz już także umierające i równie bezradne jak bezradni zdają się jego spadkobiercy.

Fotel bujany, zwrócony tyłem do balkonu. Obraz postawiony na ziemi z napisem „zmarłychwstanie”. Rozdarte pudło, do którego wrzucono numery pisma literackiego z napisem „Konwicki” na okładce. Książki, oczywiście, wszędzie. Słownik frazeologiczny leżący na komodzie, kilka numerów „Odry” na półce, resztę trudno zidentyfikować. Dużo filizanek, porcelany, ale czy to porcelana jest najkruchsza?

Byle nie w kapciach

Od dobrych trzydziestu lat zmieniło się w miastach europejskich podejście do własnych dziejów. Długie trwanie zaczęło dopuszczać trwanie krótkie; z pomnikami wielkimi, wiekopomnymi, zaczęły rywalizować pomniki małe, lokalne. Już nie jeźdźcy na koniach, nie politycy zmieniający bieg historii, nie prawdziwi i domniemani zbawcy narodu, wyzwoliciele od ciemnej władzy, lecz „niespieszni przechodnie”, którzy przycupnęli na ławeczkach czy na kawiarnianych krzeselkach. Patrzą przed siebie, na innych przechodniów, niekiedy czytają mosiężną gazetę albo miedzianymi ustami piją kawę z miedzianej filizanki. To nie herosi, generałowie czy prezydenci, lecz dobre duszki miejsc, które rozgrzewały niegdyś tutejsze ulice i skwery swoją wieloletnią obecnością i teraz podarowują ją innym.

Tych metalowych postaci jest już mrowie i chyba nie chciałbym figurki Konwickiego zagląającego wiecznie przez witrynę kawiarni Amatorska na Nowym Świecie, by sprawdzić, czy siedzi w niej Gucio. Obawiam się zresztą, że w dziedzinie pomników do postawienia Warszawa (i inne miasta) stoi dziś na straconej pozycji.

Ale o mieszkanie na Górskiego chciałoby się jakoś szczególnie powalczyć. Zamienione w *entire apartment* dla Airbnb zabolałoby dotkliwie – to jednak byłoby jak porwanie (kawałka) Warszawy. Pojawiły się już apele z literackich i teatralnych środowisk, nawoływanie do składowego zakupu mieszkania, przemienienia go w muzeum. Tego Konwickiemu bym nie zrobił, oglądanie nyży zza czerwonego sznurka w papuciach filcowych przerasta wyobraźnię jego czytelnika. Wolałbym dla luksusu własnych fantazji, by mieszkanie trwało w wiecznym *statu nascendi*; by jego obecność była taka jak niegdyś dla Konwickiego obecność Wilna w Warszawie: guślarska, skryta, widmowa. Elektrownia ducha, zamknięta, lecz promieniująca jak zawsze na okolice, porządkująca (nowy) świat swoją energią, podnosząca „odczuwalną temperaturę” miasta.

To w głowie; realnie można by myśleć o nieregularnych spotkaniach literackich, wieczorkach, małych promocjach. Dać mieszkaniu spokojnie spać i niekiedy budzić je delikatnie. Ustanowić tu właśnie wręczaną nagrodę „Nyży” dla, nie wiem, najlepszego łze-dziennika czy innej literatury. I tym podobne.

Na rok, może trochę więcej, przed jego śmiercią minęliśmy się z Konwickim przy Ogrodzie Saskim; było wietrznie i pusto, szedł w kierunku Górskiego. Rozpoznałem jego sylwetkę, coś mnie wzięło, ku własnemu zdziwieniu odwróciłem się i nie wiedzieć dlaczego zawołałem: „Panie Tadeuszu!”.

Odwrócił się również, podaliśmy sobie rękę i bez słowa oddaliśmy się w swoich kierunkach. Uśmiechnął się jakby, lecz oczy miał już nie stąd. Był i nie był. I niech tak zostanie. ©

MAREK BIEŃCZYK

Dziękuję za rozmowę Marcie Zielińskiej, autorce książki „Warszawa – dziwne miasto”.

STANISŁAW

Mancewicz:

Morfologia bajki



PROFESOR ZYBERTOWICZ ZAPOWIADAJĄC stworzenie Maszyny Bezpieczeństwa Narracyjnego poruszył temat bardzo ważny i stary. Niesłuchanie nam też bliski, bo doprawdy nikogo nie trzeba przekonywać, że maszyna do opowiadania, a zwłaszcza

do opowiadania o nas, to jedno z podstawowych marzeń humanistycznych, rozrywkowych i oczywiście technologicznych.

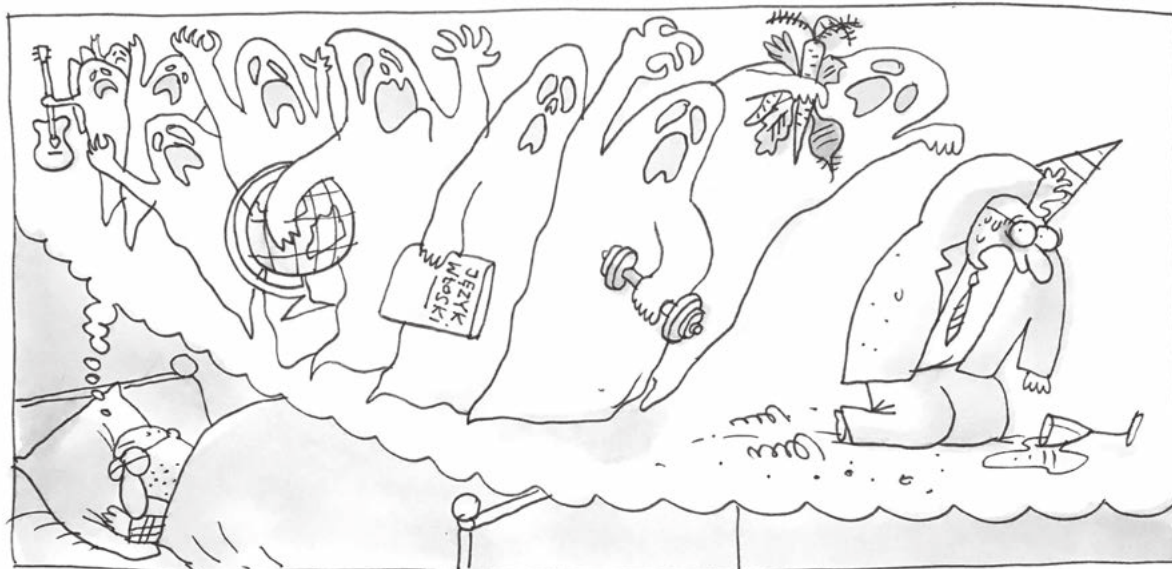
Weźmy pierw, że mamy taką maszynę na podorzędziu. Do użytku osobistego, a nie państwowego. Jest to model mini, ze spersonalizowaną bazą danych. Maszyna taka łączy po ludziach i mówi o nas wyłącznie dobrze, chodzi za nami na bankiety, gdzie nas wychwala pod niebiosa, opowiada barwnie o naszym niezrównanym poczuciu humoru, o naszych oszałamiających zdolnościach fizycznych i umysłowych. Ma opcje zaawansowane, biega więc zamiast nas na randki, gdzie daje popisy zupełnie brawurowe, spotyka się także służbowo z naszym światłym kierownictwem, któremu sęczy rzeczy o nas najlepsze. Maszyna ta przekłada na język zrozumiały nasze najbardziej niezrozumiałe poglądy, z pomysłów głupich robi mądre, z opinii zaściankowych robi opinie globalne i oczywiście jest gotowa – pstryk! – uczynić z najbrzydszego ładne. Naturalnie model z segmentu premium ma ukryty nożyk antydyfamacyjny, służący do skalpowania ludzi nam nieprzychylnych.

Wróciwszy teraz do maszyny dużej, państwowej, planowanej, do owej Maszyny Bezpieczeństwa Narracyjnego, wypada nam

jednak rzec kilka zdań gorzkich. Otóż taka maszyna już jest, a właściwie było kilka jej prototypów. Od lat słyszymy – właściwie zewsząd – że maszyny opowiadające o nas są bardzo słabe. Doprawdy, kto tu rządzi, nie ma znaczenia, jeśli idzie o ich jakość. Maszyn narracyjnych próbujemy używać od dawna, i były, i są one do kitu. Teraz zwłaszcza. Maszyny te przeraźliwie nudzą, a gdy nie nudzą, to kłamią, a gdy nie kłamią, to bredzą. Nadają, bez względu na okoliczności, rzeczy ogólnie niezrozumiałe, bowiem rzec to trzeba szczerze, w opowiadaniu nie tylko o sobie, ale w ogóle, jesteśmy bardzo słabi, o czym świadczy pozycja polskiego powieściopisarstwa w skali globu. Boski dar narracji nie został nam dany. Został nam za to dany dar nieustannego bredzenia i kłamania głównie na własny temat, oraz dar towarzyszący, czyli wiara i w te brednie, i w te kłamstwa oraz precyzyjne umiejętności nieziewania przy tych opowieściach. Narratorom gładzącym przez głośnieki owych urzędzeń nie tylko brakuje języka w sensie parabolicznym, ale i dosłownym, a na domiar złego – co zdarza się także w życiu towarzyskim, narratorzy Gospodarka gdy nudzą, widząc, że ich mozoły są na nic, skłonni są także za niesłuchanie tego wszystkiego grozić. Na przykład sądami. Jest to specyficzna sytuacja, groźenie bowiem za niesłuchanie kulawych bajek na nasze oko nie zdarza się nawet wśród plemion nieznających ani koła, ani alfabetu, ani krzesiwka.

Wydaje się, że mnogość poradników czy poważniejszych prac na temat narratologii, ot choćby sławna „Morfologia bajki” Władimira Proppa, wystarczałyby na dobry początek do konstruowania spójnej opowieści, wyposażonej w klasyczny wstęp, rozwinięcie, zakończenie oraz w gracki prąd snucia. Są znakomite szkoły, w których można się nauczyć gładzenia z sensem. Każdy człowiek mający do tej czynności nieco drygu powie profesorowi Zybertowiczowi ze śmiechem, że żadna „maszyna” nie jest do tego potrzebna, że wystarczy być przekonującym, mniej bredzić, mniej kłamać, i że nawet, a raczej zwłaszcza – nawet bujda na resorach musi mieć wdzięk, bo bez wdzięku i inteligencji to można sobie uprawiać bezpieczną narrację w polskiej telewizji. ©P

BARTOSZ MINKIEWICZ



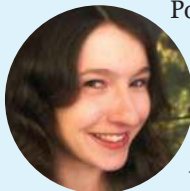
DUCHY MINIONYCH POSTANOWIEŃ NOWOROCZNYCH



**Book's
not dead**

Opowiadamy o książkach

W ciągu kilku tygodni od premiery podcast literacki „Tygodnika Powszechnego” – „Book's not dead” stał się jednym z największych w Polsce. Znani z łamów „Tygodnika” **KATARZYNA TRZECIAK** i **MICHAŁ SOWIŃSKI** w każdym odcinku rozmawiają z pisarką lub pisarzem, a aktorzy krakowskich teatrów czytają fragmenty książek gości podcastu.



W pierwszych odcinkach rozmawiali z Michele Faberem (autorem bestsellera „Szkarłatny płatek i biały”), Colmem Tóibínem (autorem „Testamentu Marii”) i Michaeliem Cunninghamem (autorem „Godzin”, arcydziełnie zekranizowanych przez Stephena Daldry'ego) oraz Idą Linde, autorką m. in. „Jeśli o tobie zapomnę, stanę się kimś innym”.



Podcasty trwają ok. 15-20 minut i świetnie sprawdzają się np. w podróży – można ich słuchać przez aplikację **SoundCloud** lub na stronie soundcloud.com/booksnotdead. By nie przeoczyć kolejnych odcinków, kliknij w „**OBSERWUJĘ/FOLLOW**”!

Dołącz do dyskusji

Drugim elementem „Book's not dead” jest grupa dyskusyjna na Facebooku, którą moderuje **MONIKA OCHĘDOWSKA**.



Dyskutujemy nie tylko o budzących największe zainteresowanie książkach, ale też szczegółowo przyglądamy się polu literackiemu. To tam rozmawiamy o protekcjonalizmie zastępującym krytykę literacką (kiedy krytykiem jest starszy mężczyzna, a pisarką młoda kobieta), o braku wyrazistych literackich youtuberów czy o znikaniu poezji z łamów gazet. 1600 członkiń i członków ciągle rosnącej grupy jest chętnych do dyskusji o tym, co czytać, czego unikać, którą książkę dać w prezencie. A także o tym, czy krytycy mają interes w promowaniu jednych książek kosztem innych i o znaczeniu nagród literackich.

Dołącz pod adresem powszech.net/bnd

**TYGODNIK
POWSZECHNY**



Wolny głos w Twoim domu.

Premiera już 10 stycznia!



**Specjalny kod rabatowy -35%
dla czytelników Tygodnika!**

Kod: Tygodnik35

Do wykorzystania na

znak.com.pl
KSIĄŻKI Z DOBREJ STRONY

znak